

Kieraciński, Radościński:  
Punkty na sprzedaż

Włoskowicz:  
Czasopisma nakazane

Jajszczyk:  
Pułapki ewaluacji

# FORUM

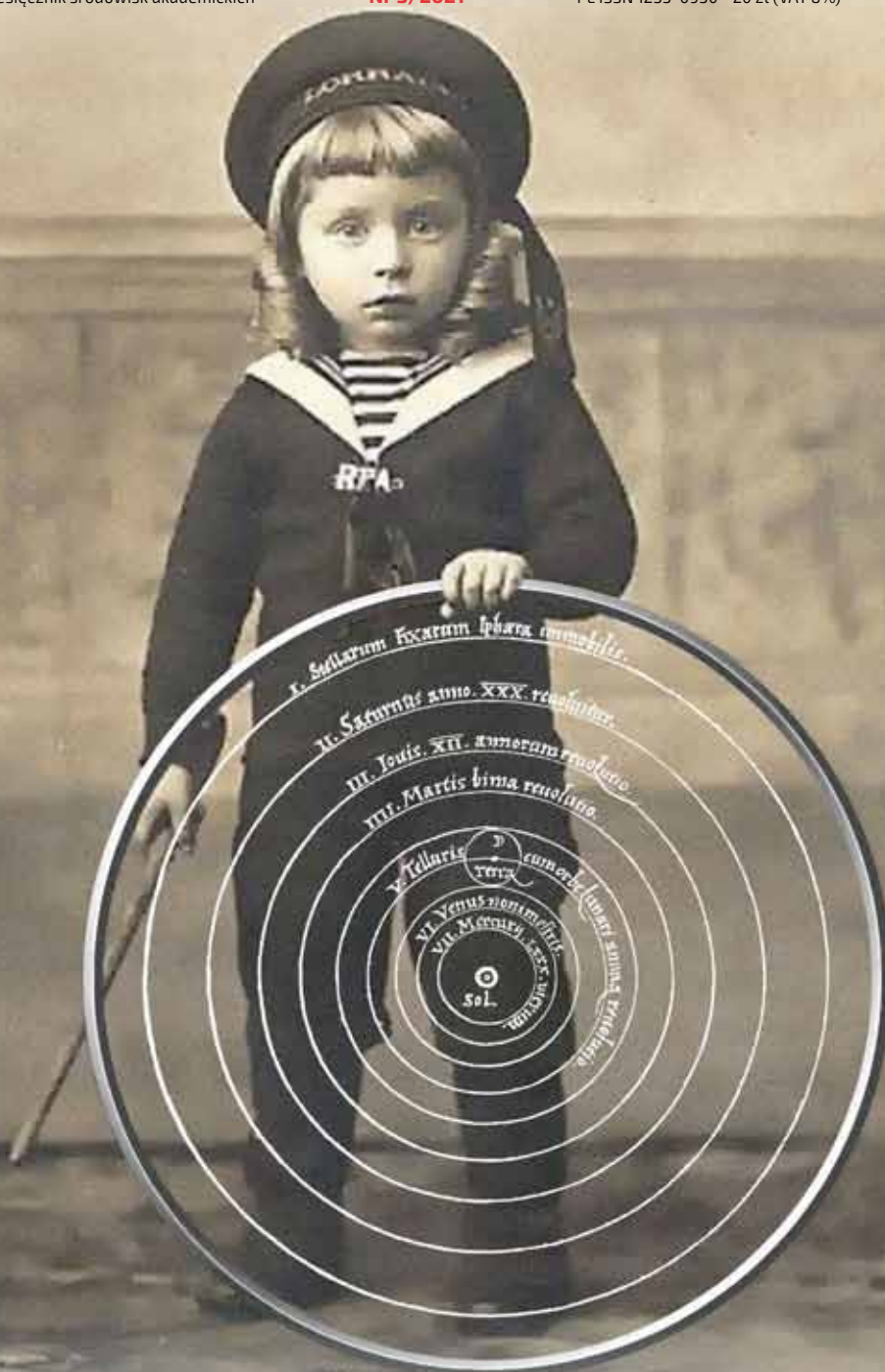
---

## AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Nr 3/2021

PL ISSN 1233-0930 20 zł (VAT 8%)



**Mit, rytuał, zabobon** Str. 20-39

Ciepliński, Proń, Szatyłowicz, Pilc:  
Luminarze i cytowania

Średniawa:  
Jak wykształcić projektanta

Woźniak:  
Polszczyzna Dwudziestolecia

POMORSKA KONFERENCJA

# OPEN SCIENCE

UDOSTĘPNIANIE  
DANYCH BADAWCZYCH

14–16.04.2021 r.

NAUKOWA KONFERENCJA

# ONLINE



Organizacyjne i prawne aspekty  
udostępniania danych badawczych



Data Stewardship  
i jego profesjonalizacja



Projekty i inicjatywy wspierające  
udostępnianie danych badawczych



Narzędzia i repozytoria  
dla danych badawczych



Udostępnianie danych badawczych  
w różnych dyscyplinach naukowych

D O W I E D Z   S I Ę   W I Ę C E J   N A :

<https://event.mostwiedzy.pl/e/PKOS4>



## INFORMACJE I KOMENTARZE

Wydarzenia	2
Special issue	
– Piotr Kieraciński	6
Nie tylko ERSJ	7
Afera czy cud?	
– Piotr Kieraciński	8
Studiów nie kończy 25% studentów	
– Marcin Gruchała	9
Strategia niedoskonała	
– Mariusz Karwowski	10
30 lat i koniec	
– Piotr Kieraciński	11
Otwiera się druga perspektywa Erasmus+	12
Perfekcyjna Akademia	13
Cytowani a doceniani	
– Krzysztof Ciepliński	14
(Nie)szlachetne zdrowie	16
I bez Covidu źle, a co dopiero po nim	
– Bartosz Molik	16
AWF-y na zdrowie	17
Inspiracje w rękopisie Mistrza	
– Elżbieta Żądzińska	18
Nagroda Kotarbińskiego	18
ICM i otwarta nauka	
– Wojtek Sylwestrzak, Jakub Szprot, Marek Michalewicz	19
Nowi profesorowie	51

## NA POGRANICZACH NAUKI

Heurystyki, z którymi się zmagamy	
– Łukasz Afeltowicz	20
Inne linie frontu w „wojnie o naukę”	
– Radosław Kazibut	23
Filozofia (pograniczny) nauki	
– Paweł Polak	26
Zachodni ezoteryzm	
– Zbigniew Drozdowicz	29
Nauka kultu cargo	
– Tomasz Witkowski	32
Bocheńskiego pojęcie zabobonu a gender studies	
– Zdzisław Kieliszek	36

## ŻYCIE NAUKOWE

Indeks czasopism nakazanych	
– Wojciech Włoskowicz	40
Pułapki ewaluacji	
– Andrzej Jajszczyk	44
Wesołe zabawy i figle rankingowe dwojga chemików	
– Adam Proń, Halina Szatyłowicz	47
PAN w analizie Stanford University	
– Andrzej Pilc	52
Punkty na sprzedaż	
– Edward Radościński	54

## Polemiki

Należy zawsze sięgać do źródła	
– Michał Gałędek	56

## Z LABORATORIÓW

Przełomowe dwudziestolecie	
– Ewa Woźniak	63
Protokoły przyszłości	
– Mariusz Karwowski	66

## ŻYCIE AKADEMICKIE

Nie kontrola, nie audyt	
– rozmowa z dr. hab. Markiem Średniawą, prof. ASP w Gdańsku, ekspertem PKA w dyscyplinie sztuk projektowych	58
Czytelnia czasopism	
– Aneta Zawadzka	62

## W stronę historii

„Nie chcemy masowej produkcji magistrów”	
– Krzysztof Lesiakowski	68
W niesprzyjających warunkach	
– Michał Mustielak	70

## Kartki z dziejów nauki w Polsce (235)

Z miłości własnej i nie tylko	
– Piotr Hübner	74

## OKOLICE NAUKI

## Książki

Książki nadesłane	53
Fajny film wczoraj widzieliśmy	
– Marek Misiak	77
Pamiętanie o Krasieńskim	
– Tomasz Klusek	77
Budynki mają głos	
– Aneta Zawadzka	78
Badanie listów samobójców	
– Adam Czabański	78
Jesteś pyłem tagrowym	
– Bogdan Bernat	79
Bajki dla dzieci Polonii	
– Marcin Lutomiński	78

## FELIETONY

## Szkieleto w oku

Dialog jednoosobowy	
– Piotr Müldner-Nieckowski	76

## Na marginesach nauki

Zdalne nauczanie	
– Leszek Szaruga	80
Projekt okładki – Sławomir Makal	

## Z ministerstwa do POLSA

**WARSZAWA** Prof. Grzegorz Wrochna, były wiceminister nauki i szkolnictwa wyższego, został powołany na stanowisko prezesa Polskiej Agencji Kosmicznej. Zastąpił Michała Szaniawskiego, który kierował POLSA od 2019 roku. Nowy prezes jest profesorem nauk fizycznych. W latach 1991–1998 w CERN uczestniczył w projektowaniu i budowie eksperymentu CMS przy Wielkim Zderzaczu Hadronów LHC. Był inicjatorem utworzenia Narodowego Centrum Badań Jądrowych w 2011 r. i jego dyrektorem do 2015 r. Współtworzył Polską Sieć Astrofizyki Częstek. Był jednym z prowadzących eksperyment „Pi of the Sky” śledzący optycznie



Fot. NCBJ

błyski promieniowania gamma wykrywane przez sieć satelitów. POLSA została utworzona w 2014 roku. Do jej zadań należy m.in. wspieranie rozwoju oraz promocji dorobku i potencjału przedsiębiorstw i instytucji naukowo-badawczych krajowego sektora kosmicznego oraz opracowanie Krajowego Programu Kosmicznego.

## Na czele nowego instytutu

**WARSZAWA** Prawnik i politolog dr hab. Bogumił Szmulik, prof. UKSW, został powołany przez premiera Mateusza Morawieckiego na stanowisko dyrektora Instytutu De Republica. Od 2010 r. związany jest z Uniwersytetem Kardynała Stefana Wyszyńskiego, gdzie kieruje Katedrą Prawa Konstytucyjnego Porównawczego i Współczesnych Systemów Politycznych na Wydziale Prawa i Administracji. Od 2012 roku jest członkiem Polskiej Komisji Akredytacyjnej. Prowadzi Kancelarię Radców Prawnych Szmulik i Wspólnicy Sp. k. Instytut De Republica to państwowa jednostka



Fot. UKSW

budżetowa podległa premierowi, która ma działać na rzecz promocji polskiej nauki. Rozpoczęła działalność 22 lutego.

## Rekordowy wynik w MSCA IF

**BRUKSELA/WARSZAWA** Ponad 2,2 mln euro wynosi wartość 14 polskich grantów indywidualnych MSCA dla doświadczonych naukowców przyznanych w ostatnim konkursie w programie Horyzont 2020. To rekordowy wynik, mimo największej konkurencji (ponad 10 tys. złożonych wniosków). Po dwa granty trafiły do Politechniki Wrocławskiej, Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu i Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Pozostałe realizowane będą w: Uniwersytecie Warszawskim, Uniwersytecie Gdańskim, Politechnice Warszawskiej i Politechnice Gdańskiej, Instytucie Fizyki PAN, Instytucie Biochemii i Biofizyki PAN i Narodowym Centrum Badań Jądrowych. Po raz pierwszy jeden z grantów indywidualnych trafił do firmy – Saule Technologies SA. W sumie na badania prowadzone przez 1630 doświadczonych naukowców przeznaczono 328 mln euro.

## Doktorat h.c. – prof. Stefan Sokołowski

**LUBLIN/LWÓW** Prof. Stefan Sokołowski z Instytutu Nauk Chemicznych Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie został doktorem honoris causa Narodowej Akademii Nauk Ukrainy we Lwowie. To pierwszy pracownik naukowy UMCS reprezentujący nauki ścisłe, który uzyskał najwyższą godność akademicką od zagranicznej instytucji naukowej. Doceniono jego wkład w rozwój fizyki materii skondensowanej oraz wieloletnią polsko-ukraińską współpracę naukową. Zainteresowania prof. Sokołowskiego koncentrują się



Fot. Bartosz Proń

wokół zastosowań termodynamiki statystycznej do opisu różnych procesów fizykochemicznych, przede wszystkim zaś dotyczą teorii płynów. Oprócz badań o charakterze teoretycznym, prowadził prace dotyczące interpretacji wyników doświadczeń z zakresu adsorpcji i chromatografii. Z uwagi na epidemię koronawirusa tytuł wręczył mu Konsul Generalny Ukrainy w Lublinie Wasyl Pavluk.

## Politechnika Bydgoska coraz bliżej

**WARSZAWA/BYDGOSZCZ** Ministerstwo Edukacji i Nauki pozytywnie oceniło wniosek o przekształcenie Uniwersytetu Technologiczno-Przyrodniczego im. Jana i Jędrzeja Śniadeckich w Politechnikę Bydgoską. Stosowny projekt ustawy został skierowany do prac legislacyjnych. O zmianie nazwy społeczność akademicka UTP dyskutowała od wielu lat. Na początku lutego br. odbyło się ogólnouczelniane referendum w tej sprawie. Ponad 80% głosujących opowiedziało się za zmianą nazwy. UTP jest największą i najstarszą państwową uczelnią w Bydgoszczy. Powstał w 1951 roku jako Wieczorowa Szkoła Inżynierska; potem przez lata uczelnia nosiła miano Akademii Techniczno-Rolniczej. Pod obecnym szyldem funkcjonuje od 2006 roku. Na 7 wydziałach kształcą się ponad 5,9 tys. studentów. Mają do wyboru 34 kierunki studiów I stopnia i 20 kierunków studiów II stopnia. UTP zatrudnia 566 nauczycieli akademickich, w tym



Fot. Ryszard Wzrostek

58 prof., 127 dr. hab., 299 dr. i 82 mgr. UTP posiada prawo doktryzowania w 3 dziedzinach i w 7 dyscyplinach (nauki inżynieryjno-techniczne: inżynieria lądowa i transport, informatyka techniczna i telekomunikacja, inżynieria mechaniczna, inżynieria środowiska, górnictwo i energetyka; nauki ścisłe i przyrodnicze: nauki chemiczne; nauki rolnicze: zootechnika i rybactwo, rolnictwo i ogrodnictwo) oraz 3 do habilitowania (nauki inżynieryjno-techniczne: inżynieria mechaniczna; nauki rolnicze: zootechnika i rybactwo, rolnictwo i ogrodnictwo). Konferencja Rektorów Polskich Uczelni Technicznych zrzesza 22 uczelnie członkowskie (w tym 14 z „politechniką” w nazwie) i 7 stowarzyszonych.

## Pontyfikał od podszewki

**WARSZAWA** Pierwsze naukowe opracowanie Pontyfiakał Płockiego przygotowali naukowcy z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie i Uniwersytetu Warszawskiego. W efekcie ich prac powstała monografia obejmująca krytyczną edycję tekstu łacińskiego, jego przekład na język polski oraz facsimile. W trzytomowym dziele mieści się obszernie studium teoretyczne z interpretacją treści teologicznych, kanoniczno-prawnych, polityczno-społecznych oraz zapisów muzykologicznych. Przeprowadzono dogłębną analizę kodykologiczną, paleograficzną i technologiczną z użyciem nowoczesnych metod analizy atramentów i pigmentów, a także samego podłoża pergaminowego, na którym napisano kodeks. W badaniach porów-



Fot. Jacek Tomaszewski

nawcznych składu atramentów zastosowano tzw. metodę „odcisku palca”, udowadniając różnice i podobieństwa pomiędzy poszczególnymi fragmentami tekstu. Ustalono, że najstarszy kompletny pontyfiKał w zbiorach polskich powstał w latach 1180–1215 i ma wielu autorów, a „pierwszy pisarz wywodził się z opactwa św. Wawrzyńca w Liège”. PontyfiKał składa się z 211 kart pergaminowych i zawiera opisy oraz normy 85 obrzędów, znajdując się w nim 233 miejsca, w których tekstowi liturgicznemu towarzyszy zapis melodii.

## Harmonogram konkursów ERC

**BRUKSELA** Komisja Europejska przedstawiła harmonogram prac Europejskiej Rady ds. Badań Naukowych na 2021 r. Budżet trzech głównych programów ERC: Starting Grant, Consolidator Grant i Advanced Grant, wyniesie 1,9 mld euro. Jako pierwszy wystartował konkurs dla początkujących naukowców. O SG można aplikować do 8 kwietnia (budżet 619 mln euro). Od 11 marca otwarty jest konkurs o CG (633 mln euro, deadline: 20 kwietnia). Wreszcie 20 maja ruszy AG (626 mln euro, deadline: 31 sierpnia). Ogłoszony harmonogram jest pierwszym w nowym unijnym programie ramowym badań naukowych i innowacji „Horyzont Europa”, obejmującym lata 2021–2027. ERC ma otrzymać z niego ponad 16 mld euro, a więc o 22% więcej niż z Horyzontu 2020. Do tej pory ERC sfinansowała prace około 80 tys. naukowców. Od stycznia funkcję wiceprzewodniczącego Rady pełni prof. Andrzej Jajszczyk.

## Medal Uznania dla AZS

**LJUBLJANA/WARSZAWA** Akademicki Związek Sportowy otrzymał od Europejskiej Federacji Sportu Akademickiego (EUSA) Medal Uznania dla Stowarzyszeń członkowskich za organizację Integrycyjnych Mistrzostw Polski.



To prowadzony od 2016 roku, w ramach upowszechniania sportu, cykl zawodów sportowych dla osób z niepełnosprawnościami. Uczestniczą w nich zawodnicy z całej Polski. Możliwość sportowej rywalizacji pozwala im włączyć się lub powrócić do czynnego życia.

W dotychczasowych pięciu edycjach zorganizowano w sumie 39 imprez, w których wzięło udział 1700 studentów i pracowników uczelni. Rywalizowali w takich dyscyplinach, jak: badminton, bilard, boccia, bowling, e-sport, goalball, pływanie, showdown, szachy, tenis stołowy, strzelectwo sportowe i żeglarstwo. W grudniu ub.r. projekt znalazł się w TOP-3 całej Unii Europejskiej w konkursie #BeInclusive.

## EUA coraz liczniejsza

**BOLONIA** Uniwersytet Gdański i Akademia WSB dołączyły do grona pełnoprawnych członków Europejskiego Stowarzyszenia Uniwersytetów. Tym samym do organizacji należy już 36 polskich instytucji. UG powrócił na łono stowarzyszenia po kilku latach nieobecności. EUA to największa organizacja reprezentująca europejskie uniwersytety. Powstała w 2001 roku. Zrzesza ponad 850 podmiotów z 48 krajów. Odgrywa kluczową rolę w procesie bolońskim, działa na rzecz rozwoju szkolnictwa wyższego w Europie i reprezentuje ten sektor na forach społecznych i politycznych (np. Komisja Europejska, Parlament Europejski), które decydują o kształcie regulacji dotyczących kształcenia, badań czy innowacji. Na wszystkich uczelniach należących do organizacji studiuje 17 mln osób. W zarządzie EUA zasiada w tej kadencji były rektor Uniwersytetu Warszawskiego dr hab. Marcin Pałys.

## Nagrody IAHR dla bulwarów i kanału

**WARSZAWA** Bulwary Wiślane w Warszawie i Kanał Augustowski (na fot.) zostały nagrodzone przez Międzynarodowe Stowarzyszenie Inżynierii i Badań Wodno-Środowiskowych (IAHR). To najważniejsze wyróżnienie hydrologiczne w Europie. Europejscy hydrologowie uhonorowali warszaw-



Zdjęcie: Wikipédia

skie bulwary wiślane nagrodą „Industry Innovation Award” jako wyróżniający się przykład nowoczesnego nabrzeża łączącego odpowiedź na potrzeby mieszkańców z ochroną natury. Ich historia sięga przełomu XIX i XX stulecia. Obecny wygląd zawdzięczają przebudowie, którą rozpoczęto w 2013 roku. Dziś stanowią jedną z głównych atrakcji stolicy. Kanał Augustowski, powstały w latach 1824–1839 i łączący drogą okrężną dopływ Wisły z Bałtykiem, zdobył natomiast „Regional Hydro-Environment Heritage Award” jako skarb inżynierii hydraulicznej. Nagrody wręczono w Warszawie podczas VI europejskiego kongresu IAHR zorganizowanego przez Polską Akademię Nauk i Szkołę Główną Gospodarstwa Wiejskiego. Wzięło w nim udział prawie 500 specjalistów z 53 krajów.

## Nagroda za badania klimatu

**TORUŃ** Prof. Hans Joachim Schellnhuber, niemiecki fizyk teoretyk, fizyk atmosfery i klimatolog, został tegorocznym laureatem międzynarodowej nagrody naukowej Ratio et Spes przyznawanej wspólnie przez Uniwersytet Mikołaja Kopernika i Watykańską Fundację Joseph Ratzinger-Benedetto XVI. Do drugiego konkursu o tematyce *Human development and the global environment* zgłoszono 14 kandydatów. Prof. Schellnhubera uhonorowano za serię interdyscyplinarnych publikacji otwierających nowe lub poszerzających dotychczasowe pola badawcze nad wpływem globalnego ocieplenia na wiele istotnych z punktu widzenia środowiska i życia człowieka elementów, takich jak zdrowie, ekonomia czy relacje społeczne, a także poruszających kwestie rozumienia przez ludzkość zagrożeń będących następstwem zmiany klimatu. W 1992 roku utworzył on sławny Potsdam Institute for Climate Impact Research; był także jego wieloletnim dyrektorem.



Fot. Arch. prywatne

## Synchrotron się powiększa

**KRAKÓW** Hala eksperymentalna krakowskiego synchrotronu zostanie rozbudowana. Prace rozpoczną się w drugim półroczu. W nowej części o powierzchni ponad 2 tys. m<sup>2</sup> zaplanowano linię SOLCRYS, przezna-



Fot. UJ

czoną do badań strukturalnych, której stacje końcowe umożliwią m.in. analizy struktury białek, wirusów, kwasów nukleinowych i polimerów. Badania te dostarczą wiedzy o molekularnych podstawach funkcjonowania organizmów żywych oraz o architekturze makrocząsteczek. SOL-CRYS będzie jedyną tego rodzaju infrastrukturą badawczą w całej Europie Środkowo-Wschodniej. Przewidziano także instalację mikroskopów w ramach rozwoju Krajowego Centrum Kriomikroskopii Elektronowej. Miejsce znajdzie tutaj także instalacja odzysku i skraplania helu używanego do eksperymentów oraz infrastruktura serwerowni. Inwestycja powinna się zakończyć w 2022 roku. Narodowe Centrum Promieniowania Synchronotronowego SOLARIS zostało wybudowane w latach 2010–2015 przy Uniwersytecie Jagiellońskim.

### Nowa dyrektorka IF PAN

**KRAKÓW** Prof. Małgorzata Filip objęła 1 marca funkcję dyrektorki Instytutu Farmakologii im. Jerzego Maja PAN na kadencję 2021–2025. Zastąpi kierującego placówką od 2017 r. prof. Władysława Lasonia. Jej zaintereso-



Fot. IF PAN

wania badawcze koncentrują się wokół lęku, depresji i uzależnień lekowych. Pracuje w Zakładzie Farmakologii Uzależnień. Jest autorką książki pt. *Uzależniony od kokainy ludzki mózg – osiągnięcia funkcjonalnej diagnostyki obrazowej*. IF PAN utworzono w 1954 r. jako Zakład Farmakologii PAN. W samodzielny instytut przekształcono go w roku 1974. To wiodący w Polsce ośrodek naukowy, specjalizujący się w dziedzinie neuropsychofarmakologii. Badania naukowe, prowadzone w 14 zakładach, pracowniach oraz na terenie nowoczesnej zwierzętarni, koncentrują się wokół zaburzeń funkcji układu nerwowego oraz poszukiwania nowych substancji biologicznie czynnych, które działają na ośrodkowy układ nerwowy i mogą znaleźć zastosowanie jako leki w terapii chorób psychicznych i neurologicznych.

### Polska MOOC edukacji

**WARSZAWA** Ponad 30 tys. osób zarejestrowało się dotychczas na platformie edukacyjnej NAVOICA. Od uruchomienia platformy zrealizowano już blisko 150 szkoleń opracowanych przez ekspertów z ponad 30 polskich uczelni i instytucji. Zaświadczenia o ich ukończeniu otrzymało 12,5 tys.



uczestników. NAVOICA to platforma edukacyjna, która oferuje bezpłatne kursy typu MOOC (Massive Open Online Courses), czyli szkolenia online otwarte dla wszystkich. Dzięki wykorzystaniu nowoczesnych technologii opracowanych przez Ośrodek Przetwarzania Informacji – PIB każdy, bez względu na wiek, miejsce zamieszkania czy poziom wykształcenia, może w bezpieczny sposób i bezpłatnie podnieść swoje kwalifikacje. Zdecydowana większość kursów prowadzona jest w języku polskim, ale są także w języku angielskim i rosyjskim. Tematyka dotyczy m.in. technologii informatycznych, zasad programowania, kluczowych kompetencji w biznesie, metodyki pisania prac dyplomowych, zarządzania przedsiębiorstwem, projektowania gier.

### Współpraca ESA z ALK

**WARSZAWA** Europejska Agencja Kosmiczna nawiązała stałe partnerstwo z Akademią Leona Koźmińskiego. Celem inicjatywy pod nazwą „ESA Lab” jest współpraca z najlepszymi ośrodkami akademickimi w Europie zarówno w dziedzinie badań naukowych, jak i realizacji wysokiej jakości programów edukacyjnych. Koźmiński jest obecnie jedyną krajową uczelnią, która kształci kadry menedżerskie dla przemysłu kosmicznego. W ub.r. uruchomiono studia podyplomowe, dzięki którym już w czerwcu rynek wzbogaci się o kilkunastu nowych specjalistów przygotowanych

do zarządzania projektami kosmicznymi. Uczelnia prowadzi także badania nad prawnymi aspektami działalności kosmicznej oraz regulacjami systemowymi, jest też współorganizatorem European Rover Challenge, a wraz z Akademią Sztuki Wojennej realizuje projekt dotyczący cyberbezpieczeństwa w sektorze kosmicznym. W „ESA Lab” zrzeszonych jest 13 europejskich uczelni. W grudniu 2020 r. partnerem została Politechnika Gdańska.

### Nowym bolidem na tory F1

**RZESZÓW** Studenci Politechniki Rzeszowskiej z PRz Racing Team zaprezentowali swoją najnowszą konstrukcję PMT-03. To już trzeci bolid wyścigowy w ich warsztacie. Powstał 334 dni, a pracowało nad nim 45 osób.



Fot. Dominika Rymasz

Silnik zastosowany w najnowszym bolidzie ma moc 85 KM. Prędkość 100 km/h pojazd osiąga w około 4 s. Samochód waży 215 kg, czyli o 20 kg mniej od poprzedniej konstrukcji. Aby uzyskać te wyniki, zastosowano takie materiały, jak wytrzymałe stopy aluminium, tytan, kevlar, aramid oraz włókno węglowe. Konstrukcja nośna bolidu jest oparta na rurach ze stali chromowo-molibdenowej o zwiększonej wytrzymałości. Aby poprawić właściwości jezdne, użyto nowych, 10-calowych opon o lepszej charakterystyce niż w poprzednim pojeździe. W tegorocznych planach są starty w zawodach Formuła Student odbywających się na torach F1.

### UAM ze znakiem jakości IEP

**POZNAŃ** Uniwersytet im. Adama Mickiewicza pomyślnie zakończył procedurę międzynarodowej ewaluacji instytucjonalnej – Institutional Evaluation Programme, która przeprowadzona została przez ekspertów European University Association. UAM jest piątą szkołą wyższą



Fot. UAM

oraz pierwszym klasycznym uniwersytetem w Polsce, który poddał się tej ewaluacji. Wcześniej prawo do posługiwania się prestiżowym znakiem jakości EUA-IEP uzyskały: Politechnika Gdańska (2018), Politechnika Łódzka (2019), Uniwersytet Ekonomiczny we Wrocławiu (2019) i Politechnika Wrocławska (2020). Szczegółowej analizie poddano nową strukturę uniwersytetu, infrastrukturę, możliwości rozwoju dla studentów, współpracę z otoczeniem zewnętrznym, system nauczania, badania oraz umiędzynarodowienie. Znakiem jakości EUA-IEP uczelnia będzie mogła się posługiwać przez 5 lat.

### Nie tylko homo sapiens

**ŁÓDŹ** Centrum Badań Posthumanistycznych zainaugurowało działalność na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Łódzkiego. To pierwsza

jednostka o takim profilu w Polsce. Zajmuje się badaniami z pogranicza nauk humanistycznych, środowiska naturalnego oraz nowych technologii. Ma za zadanie upowszechniać wiedzę o posthumanizmie, transhumanizmie, kulturze i społeczeństwie cyfrowym oraz podmiotach pozaludzkich. Centrum ma tworzyć pomost pomiędzy humanistyką a naukami ścisłymi, wzmacniać więź między kulturą, sztuką i technologią. Doceľowo naukowcy zaangażowani w działalność nowego podmiotu chcą stworzyć nowe czasopismo naukowe. Współzałożycielkami jednostki są dr hab. Katarzyna Ostalska (kierownik) i dr Justyna Stępień z Instytutu Anglistyki na Wydziale Filologicznym UŁ.

## Żubry w nowym miejscu

**JANÓW LUBELSKI/WARSZAWA** Relokacja żubrów na teren Nadleśnictwa Janów Lubelski i utworzenie tam stada wolnego to jedno z zadań zaplanowanych w ramach projektu „Kompleksowa ochrona żubra w Polsce”, realizowanego przez Szkołę Główną Gospodarstwa Wiejskiego we



Fot. Ryszard Stasiewicz

współpracy z Białowieskim Parkiem Narodowym oraz 25 jednostkami Lasów Państwowych. Stado założycielskie w Lasach Janowskich liczące obecnie 8 żubrów (w tym 4 samice) ma być początkiem subpopulacji składającej się z około 40 osobników. Zwierzęta pochodzą z populacji w Puszczy Boreckiej oraz z rezerwatu Żubrowisko w Nadleśnictwie Kobiór. Transportowane były w drewnianych skrzyniach zapewniających im bezpieczeństwo w czasie podróży. Po 5 tygodniach adaptacji do nowych warunków stado opuściło zagrodę aklimatyzacyjną. Opiekunowie mogą śledzić żubry poprzez sygnał nadawany z obroży telemetrycznej.

## Centra nauki w wersji mini

**WARSZAWA** Minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek (na fot. w środku) podpisał z Centrum Nauki Kopernik umowę, na podstawie której powstaną Strefy Odkrywania, Wyobraźni i Aktywności. SOWA to



Fot. MEiN

minicentra nauki, które zostaną uruchomione przy istniejących już instytucjach kultury, m.in. bibliotekach, muzeach czy domach kultury. W ciągu najbliższych czterech lat resort przeznaczy na ten cel 44 mln zł, z czego 12 mln zł już w tym roku. Strefy Odkrywania, Wyobraźni i Aktywności będą składać się z wystawy (15–18 eksponatów ukazujących zjawiska związane z różnymi dziedzinami nauki, np. kolorowe cienie – mechanizmy powstawania cienia; rysowanie w lustrze – koordynacja oka i ręki; idealna symetria) i Masterni, czyli przestrzeni, w której można samo-

dzielnie lub grupowo podejmować wyzwania logiczne, konstruktorskie i inżynierskie („Skonstruuj zamek do drzwi”, „Zbuduj tor magnetyczny dla piłki”, „Zagraj na kieliszkach”). Dwa pierwsze minicentra zostaną ulokowane w Raciborzu oraz Piotrkowie Trybunalskim, a 30 kolejnych będzie uruchomionych w latach 2022–2023.

## Ustandaryzować geodane

**WROCLAW** Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu jest pierwszą uczelnią w Polsce, która została członkiem globalnej organizacji OGC (Open Geospatial Consortium), czuwającej nad opracowaniem i popularyzacją standardów danych przestrzennych. Skupia ona ponad 500 firm, agencji rządowych, organizacji badawczych i uczelni. Standaryzacja umożliwi zapis w ogólnie przyjętych formatach, a ich wykorzystanie w różnych systemach pozwala na uzyskanie użytecznej informacji. Geodane to nie tylko zdjęcia satelitarne czy chmury punktów uzyskane przy pomocy skaningu laserowego, ale także dane pochodzące z różnego rodzaju urządzeń o znanej lokalizacji. Wchodzą one w skład Internetu Rzeczy, a różne obszary ich wykorzystywania (np. monitoring powodziowy, planowanie przestrzenne, zagrożenia sejsmiczne, rolnictwo) sprawiają, że użycie danych pochodzących z wielu źródeł w niestandardowanej postaci byłoby kłopotliwe. Dydaktykę oraz badania z zakresu geoprzestrzeni prowadzi Instytut Geodezji i Geoinformatyki UPWr.

## Nagrodzeni przez ministra

**WARSZAWA** Minister edukacji i nauki przyznał badaczom 74 nagrody, w tym 57 indywidualnych i 17 zespołowych, za znaczące osiągnięcia



Fot. MEiN

w zakresie działalności naukowej, dydaktycznej, wdrożeniowej lub organizacyjnej oraz całokształt dorobku (lista nagrodzonych na [www.forumakademickie.pl](http://www.forumakademickie.pl)). Oceną merytoryczną wniosków zajmował się specjalny zespół doradczy, w skład którego powołano 32 członków reprezentujących środowisko szkolnictwa wyższego i nauki oraz stosowne dziedziny i dyscypliny nauki bądź sztuki. Pracom tego gremium przewodniczył prof. Tomasz Szapiro. W 2020 r. do resortu wpłynęły 124 wnioski o przyznanie nagród, z których do oceny merytorycznej zostało zakwalifikowanych 111. Nazwiska laureatów ogłoszono podczas spotkania online, które odbyło się w Dniu Nauki Polskiej, 19 lutego.

Opracował Mariusz Karwowski

Współpraca: Ewa Bartlik, Marcin Czyżniowski, Katarzyna Dominiak, Magdalena Drwał, Damian Gębarowski, Piotr Karwowski, Szymon Różański, Sławomir Rybka, Przemysław Stanuła, Krzysztof Szwejk, Paweł Śpiechowicz, Łukasz Wspaniały

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej

[www.forumakademickie.pl](http://www.forumakademickie.pl)

oraz na naszych profilach na Facebooku

i na Twitterze



czyli polska afera międzynarodowych publikatorów

Artykuł Marka Wrońskiego z ostatniego „Forum Akademickiego” całkiem przypadkiem zbiegł się z opublikowaniem przez Ministerstwo Edukacji i Nauki uzupełnienia do listy czasopism punktowanych. Spotkało się to z gwałtownymi protestami środowisk i gremiów akademickich (wiele z nich przedstawialiśmy na bieżąco na portalu forumakademickie.pl), zwykle tylko protestami. Bodaj jedynie KRASP zdobyła się na krytykę konstruktywną, czyli zawierającą też pewną propozycję. Dotyczy ona czasopism, które choć ważne dla pewnych środowisk, nie powinny – zdaniem rektorów – znaleźć się na liście czasopism naukowych, ale na innej, stworzonej z myślą o trzecim kryterium ewaluacji. To wskazówka warta rozważenia przez ministerstwo nauki.

Swoją drogą, minister Przemysław Czarnek nie ma dobrej prasy w środowisku akademickim. W podobny sposób listy czasopism i wydawnictw uzupełniał min. Jarosław Gowin, ale nie spotkał się z aż takimi protestami. Nierówność w traktowaniu przez akademików obu panów ministrów jest znamieną. Niedobrze, że pewne procedury nie są zachowywane, ale dzieje się tak nie od dzisiaj. Jestem przekonany, że, wbrew medialnym enuncjacjom, ministrowie nie łamali prawa uzupełniając listę poza „procedurą KEN-owską” (w uproszczeniu).

Problem jednak nie tylko w tych kilkudziesięciu dopisanych przez ministra – na podstawie rekomendacji jego doradców – czasopismach ani w podniesieniu punktacji kolejnym około dwustu czy trzystu czasopismom. Gdyby taka zmiana punktacji – w większości wypadków niewielka i dotycząca 1% czasopism na liście – miała zmienić znacząco wyniki całej ewaluacji, to by znaczyło, że jej zasady są źle przygotowane. Znacznie poważniejszym problemem, jak sądzę, jest obecność na krajowej liście punktowanych czasopism i materiałów konferencyjnych takich publikatorów, które spełniają kryteria czasopism drapieżnych, które stosują nierzetelne praktyki wydawnicze, a u nas mają 70, 100, a nawet więcej punktów (nie te skromne 20 czy 40 punktów, które zwykle zyskały dzięki decyzji min. Czarnka niektóre polskie czasopisma).

Od dwóch lat wiele zagranicznych czasopism, wcześniej całkiem rzetelnych, poczuło, że polska nauka (być może dotyczy to także innych krajów) ma pieniądze do wydania. Zmieniło zatem zasady publikacji. Zaczęło tworzyć specjalne numery (special issue) dla polskich naukowców. Oczywiście za pieniądze, różne – od niecałych 300 dolarów do nawet 2 tys. franków szwajcarskich (o takich kwotach wiem, może są też wyższe stawki. . .) za artykuł. Niektóre z tych publikatorów są w międzynarodowych bazach, nawet mają IF, a zgłaszane artykuły poddają recenzjom. Często należą one do wydawców, którzy mają wiele czasopism (od kilku do kilkuset). Zwykle wydawnictwa te powstały w ostatnich kilkunastu latach, czując koniunkturę na publikacje naukowe w otwartym dostępie – płatne przez autorów i instytucje naukowe, które ich zatrudniają. Pojawia się wzajemne cytowanie – łatwo to zorganizować, gdy się ma kilka, a co mówić o kilkudziesięciu czy większej liczbie czasopism – a zatem także IF. Czescy naukowcy opublikowali 7 lutego w „Scientometrics” tekst (streszczony 8 lutego w „Nature”), w którym stwierdzają m.in., że w Scopusie są 324 czasopisma, czyli ok. 1% czasopism w bazie, które w latach 2015-17 opublikowały 164 tys. artykułów, czyli 2,8% artykułów w bazie, a równocześnie są one na liście czasopism podejrzanych o drapieżne praktyki.

Dlaczego obecność na liście ministerialnej drapieżnych wydawców i czasopism jest znacznie bardziej niebezpieczna niż obecność kilkudziesięciu, choćby słabych, ale ważnych dla pewnych środowisk, czasopism polskich? Po pierwsze, ponieważ kryteria publikacji są marne, właściwie ograniczają się do uiszczenia stosownej opłaty, a liczba wyškanych za odpłatnie publikowane w nich artykuły punktów do ewaluacji jest zdumiewająco wysoka. Po drugie, niewiele o nich wiemy. Przede wszystkim nie wiemy, ile ich jest na naszej liście (podobno KEN ma wiedzę o kilkunastu takich czasopismach, ale tu pytanie, dlaczego nie dzieli się tą wiedzą ze środowiskiem, by je uprzedzić), ale wiemy, że w tych, które dotychczas dzięki naszym czytelnikom zidentyfikowaliśmy, ukazują się setki artykułów polskich autorów (w sumie to zapewne tysiące artykułów), a za tym wy wpływają z Polski – z podobno skromnych budżetów polskich instytucji naukowych – miliony złotych/euro/dolarów. Płacimy za siano, jak za zboże.

Liczba publikacji, które odkryliśmy, wskazuje na to, że nie tylko płacimy wiele, ale, jak wspomniałem, punkty uzyskane w tych czasopismach mogą znacząco wpłynąć na wyniki ewaluacji – fałszując je. Zapewne nie można tak do końca winić naukowców, którzy powodowani chęcią uzyskania dobrego wyniku ewaluacyjnego instytucji, w których pracują, publikują za granicą za duże publiczne pieniądze, ale i wysokie punkty. To dość racjonalne, skoro poprawia pozycję ich samych i instytucji, które ich zatrudniają. Jeśli jednak ci badacze orientują się w sytuacji, a przecież nie są to bezradne dzieci, tylko polska elita intelektualna, na pewno jest to trudne do zaakceptowania ze względów etycznych. To są lewe, kupione, a nie wypracowane punkty ewaluacyjne. Podkreślę, że w takich czasopismach publikują nie tylko naukowcy z regionalnych czy podrzędnych uczelni, ale także ci z uczelni badawczych wyłonionych w konkursie IDUB. Te publikacje kosztują w skali kraju miliony złotych.

**Najbliższa ewaluacja nie będzie miarodajna**, ale nie dlatego, że ministrowie Przemysław Czarnek, a wcześniej Jarosław Gowin dodali kilkadziesiąt polskich czasopism



rys. Sławomir Medal

Czytelnicy nie pozostawili bez odpowiedzi artykułu M. Wrońskiego *Jak zapłacić sloty* ani też rozszerzenia listy czasopism przez min. P. Czarnka. Rozgorzała zacięta dyskusja, której rezultatem są kolejne listy do redakcji i artykuły. (red.)

## Nie tylko ERSJ

Piszę w nawiązaniu do artykułu pt. *Jak zapłacić sloty* („Forum Akademickie” 2/2021). Cieszę się, że Pan poruszył ten temat, bo w czasie, gdy wszyscy oburzają się niemerytorycznymi zmianami na liście czasopism wprowadzonymi przez ministra Czarnka, wciąż jest zaskakująco cicho o znacznie poważniejszym problemie, który mocno wpłynie na wyniki najbliższej ewaluacji, a w niektórych dyscyplinach nawet zdeterminuje jej wyniki. Mowa o obecności na liście (ministerialnej – red.) czasopism drapieżnych, takich jak przedstawiony przez M. Wrońskiego „European Research Studies Journal”, ale jest ich więcej. Wśród nich prym wiodą te wydawane przez MDPI.

Np. tylko w jednym z jego flagowych czasopism, tj. „Sustainability” (70 pkt.) – które, gwoli ścisłości, posiada impact factor – w latach 2019–2020 ukazało się 892 artykułów, w których co najmniej jeden autor miał polską afiliację (a przeważnie cały skład autorski miał polską afiliację), zaś w 2021 roku do dnia dzisiejszego (list otrzymaliśmy 26 lutego 2021 r. – red.) polscy autorzy opublikowali w „Sustainability” już 101 artykułów. Czasopismo nie jest wybredne, jeśli chodzi o tematykę, można tam opublikować dosłownie wszystko i to bardzo szybko, bo w ekspresowym tempie 1,5–2 miesięcy. Nie ma też wyśrubowanych wymogów co do jakości, publikacja jest niemal pewna, oczywiście pod warunkiem uiszczenia opłaty. Wystarczy wspomnieć, że łączna liczba artykułów opublikowanych w „Sustainability” tylko w roku 2020 wynio-

śła ponad 10 tysięcy (tak, tysięcy!), podczas gdy szanowane czasopisma z impact factorem zwykle publikują maksymalnie kilkadziesiąt artykułów rocznie. Obecnie opłata za publikację w „Sustainability” wynosi 1900 franków szwajcarskich, czyli niemal 8000 zł, na początku 2019 była niewiele niższa.

Od co najmniej dwóch lat w najlepsze trwa proceder kupowania punktów do ewaluacji przez wydziały, m.in. w tym czasopiśmie. Wszyscy wiedzą, że wygrają te, które więcej zainwestują, zasilając kasę wydawców, takich jak MDPI. Im bliżej ewaluacji, tym bardziej paniczne pompowanie punktów. Nawet jeśli przyjmijemy, że nie wszystkie z tych prawie tysiąca artykułów z lat 2019–2021 były opłacone przez polskie uczelnie publiczne, to i tak łatwo oszacować, że tylko na to jedno czasopismo już przeznaczone zostały grube miliony z pieniędzy polskiego podatnika. Pieniądzy wyrzucanych w błoto na rozpowszechnianie pseudonauki i windowanie kategorii naukowych słabych ośrodków.

Pozdrawiam serdecznie i życzę wytrwałości w walce o naukową rzetelność.

*Marek (nazwisko znane redakcji)*

Na str. 40 publikujemy artykuł dr. Wojciecha Włoskowicza „Indeks czasopism nakazanych”, a na str. 54 artykuł prof. Edwarda Radościńskiego „Punkty na sprzedaż”.

do listy punktowej. Winę za to będą w znacznie większym stopniu ponosić czasopisma zagraniczne, międzynarodowe, które zrobiły biznes na polskiej nauce oraz nasi naukowcy – powtórzę: także z uczelni badawczych (doskonałość naukowa!) – którzy nie licząc się z rzetelnością akademicką, publikują za publiczne pieniądze w „badziwnych” miejscach. Ale najbardziej winni są ci z nich, którzy w tym procederze biorą czynny udział, podejmując się – zapewne nie za darmo – funkcji redaktorów owych „numerów specjalnych” (wbrew nazwie, zwykle wcale nie tematycznych, ale publikujących na tematy od Sasa do Lasa), a przy okazji pełnią rolę „naganiaczy” (tak to określili nasi czytelnicy) polskich naukowców do tych dochodowych „stajni”.

Przypomnijmy, że listę czasopism i przypisanych im punktów stworzyli sami naukowcy – dyscyplinowe zespoły, w których pracowało ponad 400 osób. Oni ponoszą częściową odpowiedzialność za błędy na liście, w tym dotyczące liczby przyznanych punktów; być może byli wśród nich „lobbyści” pewnych tytułów, być może wpływali też na ministrów (którzy dołożyli do końcowego rezultatu swoje trzy grosze). Część winy zapewne spada na KEN, która powinna monitorować sytuację, a także szybciej i bardziej zdecydowanie reagować na nieprawidłowości (może to się wkrótce zmieni; jeden z moich rozmówców widzi też nadzieję w czujności ekspertów w procesie ewaluacji). Skoro wieści o nich dotarły do redakcji „Forum Akademickiego”, to znaczy, że jest to wiedza dość powszechna w środowisku naukowym. Być może nawet przekazywana z ust do ust w imię „dobra” uczelni podczas ewaluacji.

Widzę potrzebę przerwania tego szaleństwa. Pilną koniecznością jest przejrzenie przez uczelnie i ministerstwo, które je nadzoruje, publikacji płatnych oraz dokładna analiza praktyk czasopism i wydawców z naszej listy. I to nie ze względu na najbliższą ewaluację, bo tu chyba nic się nie da zmienić (podobno wyrzucenie drapieżnych czaso-

pism z listy może rodzić problemy prawne), ale z uwagi na kolejną i na pieniądze, które wydajemy na publikacje całkiem bez sensu. Powinniśmy wiedzieć, kto, gdzie i za jakie pieniądze publikował. Z listy punktowanych publikatorów powinny w końcu zostać wyrzucone te, które sprzeniewierzyły się standardom wydawniczym. Tym, które nie dość pilnują zasad, można obniżyć punktację, np. dać 20 zamiast 70 czy 100 punktów. Naukowcy, którzy brali udział w wyprowadzaniu publicznych środków z budżetów krajowych uczelni na nieczyste publikacje, powinni ponieść środowiskowe konsekwencje, choćby w postaci nieformalnego ostracyzmu. Wiemy, że wśród badaczy pracujących dla prelatorów są osoby o niezwykle wysokim statusie akademickim, w tym zajmujące wysokie stanowiska w Radzie Doskonałości Naukowej. Może przy okazji ewaluacji, uczelnie, które tego typu publikacji mają najwięcej, które stworzyły sobie taki system zdobywania punktów, powinny być poddane szczególnie uważnej obserwacji ekspertów i instancji kontrolnych. Przecież o karach nie ma mowy, bo prawo raczej nie było łamane.

Trzeba dodać, że cała ta afera dotyczy głównie nauk humanistycznych i społecznych. W zasadzie nie wchodzi w grę nauki ścisłe i przyrodnicze, choć nawet matematycy i fizycy mają na celowniku podejrzane czasopisma ze swoich branż. Powraca pytanie o zasadność jednakowego sposobu oceny humanistyki i przyrodznawstwa. To powinni rozstrzygnąć w debacie sami naukowcy. Jak dotąd się nie udało. Pora na kolejną próbę.

No i pytanie, czy system, który miał promować doskonałość naukową nie został niecień wykorzystany i wykrzywiony. Czy się przez to nie zdelegitymizował? Czy można go jeszcze uratować? Kto i kiedy (kontekst terminów kolejnych ewaluacji) miałby to zrobić?

*Piotr Kieraciński*

Nie dajmy się zwariować – tak powinno się odpowiedzieć na publikację nagrania rozmowy profesorów anatomii, którzy po zakończonych zajęciach nie wyłączyli mikrofonu. Co nagrano? Rozmowę o zdawalności egzaminu z anatomii i żarty o „funduszu Morysia”. Media zrobiły z tego AFERĘ. A cała historia była wynikiem CUDU na zdalnych egzaminach z anatomii.

Fakty pokazał prof. Michał Szpinda w oświadczeniu, które wydał kilka dni po medialnej burzy, gdy emocje trochę opadły. Jak się okazuje, nagrani profesorowie dyskutowali o rozbieżności w zdawalności egzaminów z anatomii przeprowadzanych zdalnie i tych, które odbywały się w trybie stacjonarnym. Prof. Szpinda podaje: „Kołokwia i egzaminy zdawane przez studentów on-line wyróżniają się zdawalnością na poziomie 95-100%”. Tymczasem w ciągu ostatnich dwudziestu lat poziom zdawalności kolokwium i egzaminów z anatomii przeprowadzanych stacjonarnie wynosił w Bydgoszczy w pierwszym terminie średnio 55-65%. Zdumiewająca rozbieżność. Jak to skwitował prof. Szpinda w nagranej rozmowie? „Studenci kombinują”. Wszystko wskazuje na to, że wyniki prowadzonych zdalnie egzaminów z anatomii nie oddają rzeczywistego stanu wiedzy studentów. Możemy się oburzać na formę profesorskiej rozmowy, ale fakty są nieublagane.

Michał Szpinda przytacza kolejne dane: egzamin końcowy z anatomii przeprowadzany na platformie Teams w lipcu 2020 r. zdawało 232 studentów Collegium Medicum UMK. I stał się cud: „oceny pozytywne uzyskało 225 studentów, a negatywne – 7”. Potem studenci mają dwa bezpłatne egzaminy poprawkowe; uczelnia nie pobiera pieniędzy za tę możliwość. W rezultacie anatomię w 2020 r. zdali w Bydgoszczy wszyscy studenci. Cud! Nikt z wykładowców ani byłych studentów nie pamięta takiego wydarzenia z przeszłości. Kto ten cud wymodlił? Może twórcy platform do zdalnego zdawania egzaminów, którzy chcieli w ten sposób potwierdzić jakość swoich produktów?

Dalej prof. Szpinda omawia wyniki kolokwium z anatomii w bieżącym roku akademickim. „Studenci pierwszego roku kierunku lekarskiego (studia stacjonarne i niestacjonarne) przystępowali do czterech kolokwium zaliczeniowych w trybie on-line. Na ostatnim takim kolokwium z materiału dotyczącego miednicy, na 230 przystępujących studentów, nie zdały 4 osoby. Z kolei na jedynym stacjonarnym kolokwium zaliczeniowym z kończyny dolnej przeprowadzonym w bieżącym roku akademickim uzyskano poziom zdawalności ok. 50%”. W dalszej części oświadczenia profesor z CM UMK przedstawia wynik pewnego eksperymentu: „Tylko dla potrzeb kolokwium uformowano «specjalną grupę» studentów pierwszego roku kierunku lekarskiego, którzy mieliby zdawać test w warunkach stacjonarnych, a więc tak jak wszyscy pozostali studenci. Jedynym kryterium doboru tychże studentów była lista rankingowa sporządzona w oparciu o wyniki uzyskane z dotychczas przeprowadzonych on-line na platformie Teams czterech testów zaliczeniowych (kończyna górna, klatka piersiowa, jama brzuszna i miednica). Do tej grupy zostało wstępnie zakwalifikowanych 41 studentów z całego roku kierunku lekarskiego (studia stacjonarne i niestacjonarne), z których 3 zrezygnowało bez żadnych konsekwencji. W efekcie, do testu zaliczeniowego z kończyny dolnej przystąpiło 38 studentów, z których 21 (czyli 55% – red.) uzyskało wymaganą liczbę punktów (do zdania egzaminu wystarczy uzyskać 60% punktów – red.). Zaskakującym dla mnie okazał się fakt, iż pomimo jednolitego kryterium doboru, ta «grupa specjalna» okazała się być bardzo niejednorodna, gdyż najlepsze wyniki były na poziomie 26-28 na 30 punktów, a najslabsze na poziomie 4-8 na 30 punktów”. Okazały się one po prostu być takie same jak w dotychczasowej historii „przedzdań” egzaminów z anatomii. Prof. Szpinda podkreśla, że „zarówno ten test, jak i wszystkie wcześniejsze były

porównywalne pod względem trudności i dotyczyły w 100% wiedzy merytorycznej przekazanej przeze mnie osobiście podczas synchronicznych wykładów on-line”.

Dalej autor oświadczenia odcina się od – oczywiście w świetle przytoczonych faktów – wypowiedzi: „Zdawalność jest zdecydowanie za wysoka w formie zdalnej i coś z tym musimy zrobić”. Media i studentów zaniepokoił końcowy fragment „coś z tym musimy zrobić”. Rzucono podejrzenie o spisek profesorów anatomii przeciwko studentom, podszyty chciwością – opłatami na „fundusz Morysia”. I tu trzeba dodać: nieistniejący; takie pojęcie to dowcip od lat krążący wśród studentów GUMed. Ich przedstawiciele uczestniczą jednak w posiedzeniach Senatu i Komisji Budżetowej GUMed, więc wiedzą, że nie ma takiego funduszu.

O znaczeniu anatomii w kształceniu lekarzy napisał do redakcji FA prof. Janusz Morys: „Od ponad 40 lat uczę anatomii człowieka i zawsze naczelną przesłanką dla tego nauczania była dbałość o jak najbardziej rzetelne przedstawienie wiedzy (. . .). Badania prowadzone w zachodnich uczelniach jednoznacznie łączą stopień przygotowania studentów i później lekarzy z wykonywaną przez nich pracą. W wielu publikacjach wykazano, że niedostateczna znajomość anatomii jest przyczyną ponad 30% błędów lekarskich. (. . .) przekazanie i egzekwowanie wiadomości z anatomii staje się kluczowym elementem przygotowania studenta do wejścia w działą medycyny klinicznej”. Autor przekonuje dalej, że skuteczność współczesnych metod diagnostycznych w dużej mierze zależy od znajomości anatomii. Jeśli zatem egzamin zdały osoby, które nie znają anatomii wystarczająco dobrze, a przecież najpewniej zostaną kiedyś lekarzami, to niewątpliwie może to być zagrożeniem dla zdrowia ich przyszłych pacjentów. Prof. Morys wskazał także na rozbieżności między zdawalnością egzaminów z anatomii przed i w czasie pandemii. „Cały czas poszukujemy systemu, który w rzetelny i sprawliwy sposób oceni wiedzę studentów” – napisał. Przekonuje nas też, że sposób prowadzenia i oceny egzaminów ma szereg zabezpieczeń przed manipulacjami ze strony. . . wykładowców. Ponadto istnieje procedura odwoławcza od wyniku oceny. Warto też zauważyć, że stosowane za granicą, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, kryteria oceny egzaminu z anatomii są ostrzejsze niż w Polsce.

Natychmiast po ukazaniu się pierwszych doniesień medialnych na temat nagrań prof. Morys pokajał się za niestosowne żarty. Niepotrzebnie. To nie on powinien się kajać, ale ci, którzy zaliczyli egzamin, a nie znają anatomii dość dobrze, aby rzetelnie wykonywać zawód lekarza. Przepraszać powinni ci którzy oszukują na egzaminach. Podobno zakaz stosowania niedozwolonych pomocy, w tym ściągania, jest rygorystycznie – i dobrowolnie – przestrzegany na najlepszych uczelniach zachodnich. Za jego złamanie grożą surowe kary. U nas, jak widać na przykładzie zdawalności anatomii w okresie epidemii, można reguły uczciwości łamać, a odium rzucać na tych, którzy się zastanawiają, jak przywrócić normalność, zadbać o rzetelność ocen z przedmiotu. Poziom zdawalności prowadzonych - nomen omen - zdalnie egzaminów z anatomii jest albo cudem (kto wierzy w cuda, palec do góry!), albo aferą. Niezależnie od tego, czy to jedno czy drugie, i jedno i drugie dotyczy studentów, a nie profesorów. Czekamy zatem - potencjalni pacjenci niedouczonych lekarzy - na rzetelne wyjaśnienie tej sprawy przez władze uniwersytetów medycznych. Wyjaśnienia nie domagają się sposoby weryfikacji wiedzy przez egzaminatorów, ale przyczyny niezwykle wysokiej zdawalności egzaminów z anatomii.

„Nie dajmy się oszukać, nie dajmy się ogłupić, są na tym świecie rzeczy, których nie można kupić” – śpiewał kiedyś mądrze Stanisław Soyka. Należy do nich wiedza.

Piotr Kieraciński

# Studiów nie kończy 25% studentów

Prof. Marcin Gruchała, rektor Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego, mówi o zdawalności egzaminów na studiach medycznych.

**Czy przedstawiciele studentów GUMed nie są dopuszczani do udziału w posiedzeniach Senatu i komisji uniwersyteckich? Z ich pisma do władz uniwersytetu wynika, że nie wiedzieli o istnieniu opłat za powtarzanie egzaminów i lat studiów?**

Studenci jako pełnoprawni członkowie wspólnoty akademickiej od lat uczestniczą w posiedzeniach Senatu i w pracach komisji senackich, w tym Komisji Budżetowej GUMed. To wynika z obowiązujących przepisów ustawowych oraz statutu uniwersytetu. Natomiast nie wiem, jak głęboko wnikają w prace, w których uczestniczą i na ile szeroko prezentują społeczności studenckiej problemy, w których rozważaniu uczestniczą.

**Jednak zadali pytanie o istnieniu funduszu, na temat którego żartował – tak to odebrałem – prof. Janusz Moryś.**

Muszę przyznać, że ja też nie wiem nic na temat „funduszu Morysia”, ale rozumiem, że wśród studentów taka wiadomość – nawet podana żartem – mogła wzbudzić zaniepokojenie i zostać odebrana negatywnie. Zwłaszcza mogło paść podejrzenie, że uczelnia tworzyła plany dotyczące liczby studentów, którzy mieliby powtarzać rok i to z myślą o środkach, które miałyby z tej okazji wpływać do specjalnego funduszu o niejasnym przeznaczeniu. Przy okazji tej niefortunnej i przykrych sytuacji, bo bez wątpienia obraz Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego ucierpiał, pewne informacje stają się jaśniejsze i dla studentów, i dla opinii publicznej. Powiedzieliśmy otwarcie skąd biorą się opłaty za powtarzanie roku czy przedmiotu oraz że ta opłata nie jest karą dla studenta, tylko wynika z potrzeby pokrycia dodatkowych kosztów kształcenia.

**Jak wysokie są na GUMed opłaty za powtarzanie jednego przedmiotu, np. anatomii, czy całego roku?**

Anatomia jest przedmiotem ważnym z punktu widzenia kształcenia lekarza, zatem obejmuje wiele godzin zajęć nie tylko wykładowych, ale także ćwiczeniowych, laboratoryjnych, prosektoryjnych. Prowadzone są w małych grupach, w szczególnych warunkach, co sprawia, że są rzeczywiście kosztowne, podobnie jak całe studia medyczne. Opłata za powtarzanie anatomii wynosi około 10 tys. zł. To niebagatelna kwota. Roczne koszty kształcenia studenta kierunku lekarskiego to ok. 50 tys. zł.

**Jak jest wyliczany ten koszt?**

Wynika on z liczby punktów ECTS przypisanych do przedmiotu. W naszym uniwersytecie anatomia ma 20 punktów, co przy cenie 530 zł za jeden punkt, daje wspomnianą kwotę.

**Ile zatem pieniędzy z tego tytułu, tj. za powtarzanie przedmiotu czy roku, wpływa rocznie do kasy GUMed?**

W roku 2020 r. uczelnia wystawiła 561 faktur za warunek i repetę na łączną kwotę ok. 2 mln 680 tys. zł. Dane te dotyczą trzech Wydziałów GUMed: Lekarskiego, Farmaceutycznego i Nauk o Zdrowiu. Wspomniane opłaty stanowią zaledwie 1% ogólnych przychodów.

**Ile osób na GUMed powtarza anatomię, ile nie kończy studiów lekarskich z powodu niezaliczenia anatomii, a ile z powodu oblań innych egzaminów (a może w ogóle nie kończy studiów)?**

Anatomię powtarza mniej niż 10% studentów. W ubiegłym roku akademickim było to odpowiednio 14 osób na studiach niestacjonarnych i 34 na stacjonarnych przy ogólnej liczbie 422 studentów na I roku. To nie jest odsetek, który przy tak trudnym przedmiocie budziłby mój niepokój. W ostatnich latach obserwujemy widoczną tendencję malejącą w tym zakresie. Dla przykładu, w roku akademickim 2017/2018 było to łącznie 96 osób (67 studia stacjonarne, 29 niestacjonarne), a w roku 2018/2019 – 88 osób (61 studia stacjonarne, 27 niestacjonarne). Jak już wspomniałem, nie dotyczy to tylko anatomii. Liczba kandydatów na miejsce na kierunku lekarskim należy do najwyższych w województwie, zdecydowana większość naszych studentów kończy studia w terminie. Według raportu dla Polskiej Komisji Akredytacyjnej (dane z 12.04.2018 r.) tzw. odsiew studentów wynosi w Gdańskim Uniwersytecie Medycznym około 25%. To nie tylko osoby, które nie dają rady zaliczyć egzaminów, ale także te, które z różnych powodów rezygnują ze studiów, a to jest około 30 osób rocznie.



Fot. Paweł Sudzina GUMed

**Ile osób nie zdaje anatomii za pierwszym podejściem? Ile razy można podejść do egzaminu, nie narażając się na znaczące dodatkowe koszty?**

Są trzy terminy. W ubiegłym roku akademickim na liście zajęciowej z przedmiotu anatomia z elementami neurobiologii na studiach magisterskich stacjonarnych polskojęzycznych było łącznie 339 studentów, z których w pierwszym terminie 133 uzyskało ocenę niedostateczną, a 39 nie zostało dopuszczonych do egzaminu. W kolejnych terminach zdawalność była znacząco wyższa – przedmiotu nie zaliczyło 15 osób w drugim terminie i 8 w trzecim terminie.

**Kwalifikacja kandydatów na studia medyczne odbywa się na podstawie wyników matur. Uczelnie medyczne mają pod tym względem wyjątkowo wysokie wymagania. Ale czy to wystarczy, aby ocenić predyspozycje do wykonywania zawodu lekarza?**

Rzeczywiście, przyjmujemy na studia tylko na podstawie wyników matur. Byłoby świetnie znaleźć sposób na ocenienie predyspozycji do zawodu i przeprowadzić taką ocenę. Wiemy dobrze, że zawody medyczne wiążą się nie tylko z wiedzą, ale także posiadaniem szczególnych predyspozycji charakterologicznych, takich jak empatia, odporność psychiczna, radzenie sobie ze stresem, otwartość na cierpienie i potrzeby drugiego człowieka. To zawody związane z wysoką odpowiedzialnością. Tego typu dodatkowe kryteria kwalifikacji byłyby korzystne, ale są niezmiernie trudne do praktycznego wprowadzenia. Należy spojrzeć prawdzie w oczy: ilość roszczeń, która mogłaby się pojawić po wprowadzeniu tego typu miękkich kryteriów kwalifikacyjnych, zwłaszcza przy tak konkurencyjnej rekrutacji, jak na kierunku lekarskim, byłyby nie do udźwignięcia dla uczelni i powodowałyby paraliż.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

# Strategia niedoskonała

Realizacja strategicznych programów badań naukowych w latach 2011–2020 przyczyniła się do rozwoju kadr naukowych, lecz nie wpłynęła istotnie na realizację celów polityki naukowej państwa – oceniła Najwyższa Izba Kontroli po audycie w Narodowym Centrum Badań i Rozwoju.

Institucja ta, będąca obecnie pod nadzorem Ministerstwa Rozwoju, Pracy i Technologii, a w badanym okresie – Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, realizowała pięć programów: STRATEGMED (3 konkursy, 340 złożonych wniosków, 44 skierowane do finansowania), BIOSTRATEG (3/249/38), TECHMATSTRATEG (3/122/32), GOSPOSTRATEG (1/79/30) i INFOSTRATEG (do czasu zakończenia kontroli nie przeprowadzono konkursów). Dotyczyły chorób cywilizacyjnych; środowiska naturalnego, rolnictwa i leśnictwa; nowoczesnych technologii materiałowych; społecznego i gospodarczego rozwoju kraju oraz zaawansowanych technologii informacyjnych, telekomunikacyjnych i mechatronicznych. Ich łączny budżet wyniósł 2,3 mld zł, z czego najwięcej pochłonął STRATEGMED (800 mln zł), a pozostałe po 500 mln zł. Z tej puli NCBR dofinansowaniem objęło 166 projektów o łącznej wartości 1,8 mld zł.

Oprócz wzrostu liczby nowych zespołów badawczych, uzyskanych stopni naukowych, publikacji i cytowań, ich efektów nie widać – ocenili kontrolerzy. „Inne wskaźniki, jak np. liczba przedsiębiorstw utworzonych do komercjalizacji nowych rozwiązań, zwiększenie przychodów ze sprzedaży lub licencji praw własności przemysłowej bądź wzrost nakładów na działalność badawczo-rozwojową (B+R) podmiotów pozabudżetowych zrealizowano w niewielkim stopniu” – czytamy w raporcie.

Najsurowszą ocenę wystawiono programowi STRATEGMED, którego cele i wskaźniki zostały opracowane nieprawidłowo, wskutek czego zasadniczy postęp w zwalczaniu chorób cywilizacyjnych oraz medycyny regeneracyjnej na bazie jego wyników, będzie trudny lub niemożliwy do osiągnięcia. Co więcej, uzyskane rozwiązania cechuje niska innowacyjność. Zastrzeżenia NIK budzą także programy TECHMATSTRATEG i BIOSTRATEG, przy opracowaniu których NCBR nie określiło wszystkich wymaganych ryzyk. Z kolei GOSPOSTRATEG i INFOSTRATEG przygotowano rzetelnie i prawidłowo, jednak w wyniku audytu okazało się, że w tym pierwszym doszło do niezgodnego z ustawą o NCBR przyznania dofinansowania w wysokości 4,84 mln zł.

Kontrolerzy wytknęli NCBR naruszenie przepisów w zakresie kontroli projektów, obsługi komitetów sterujących i weryfikacji raportów z realizacji badań. Centrum powierzyło te zadania odrębnemu pomiotowi – NCBR+ sp. z o.o., co w ocenie NIK mogło ograniczyć obiektywizm działań dotyczących programów strategicznych. Dodatkowo NCBR naruszała własne procedury wewnętrzne i zasady zarządzania programami strategicznymi, m.in. powoływało ich koordynatorów bez przeprowadzenia otwartego konkursu (2 przypadki) oraz dopuszczała do konfliktu interesów poprzez niewyłączenie się członków komitetów sterujących z udziału w ocenie merytorycznej projektów i ich zmian (3 przypadki).

„Nie osiągnięto też wszystkich oczekiwanych wskaźników, a ich wartości wykazywane w rocznych sprawozdaniach oparte były na

nieweryfikowanych, a więc mało wiarygodnych deklaracjach wykonawców. NCBR nie porównywało również danych o wskaźnikach z poprzednim okresem sprawozdawczym, co wykluczało analizę tendencji wzrostowej lub spadkowej, ustalenie jej przyczyn i ewentualną reakcję na niekorzystne zjawiska” – raportują inspektorzy NIK. I dodają, że ministerialna agencja nierzetelnie monitoruje realizację założeń i harmonogramów, co wyklucza bieżącą ocenę programów i ewentualne reakcje w postaci działań naprawczych. Kontrolerzy nie mieli uwag co do zakupionej lub wytworzonej w projektach aparatury, która była wykorzystywana zgodnie z przeznaczeniem. Dziesięciu skontrolowanych przez NIK wykonawców projektów w prawidłowy sposób utworzyło też konsorcja naukowe i wydatkowało przyznane środki. Wśród przykładów nieprawidłowości po stronie wykonawców raport wymienia m.in.: niezapewnienie wkładu własnego partnerów konsorcjum (Pomorski Uniwersytet Medyczny), niezgodne z umową wnioski patentowe i o ochronę praw (Wojskowy Instytut Techniki Inżynierskiej), ryzyko niezrealizowania projektu na skutek utraty partnera przemysłowego (Politechnika Warszawska). Tylko w przypadku Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu nie stwierdzono żadnych uchybień.

Udział finansowy przedsiębiorców w projektach realizowanych z programów strategicznych był niski. Wyniósł łącznie 0,27 mld zł, podczas gdy w kosztach Programu Operacyjnego Inteligentny Rozwój 2014–2020 przedsiębiorcy partycypowali na poziomie 9,31 mld zł.

W raporcie krytycznym okiem spojrzano na działania nadzorującego NCBR ministra, który nie w pełni weryfikował zasadność planowanych przez Centrum kosztów realizacji i obsługi programów, a ponadto nie dokonywał weryfikacji kosztów, przyjmując, że obsługa poszczególnych zadań wynosi tyle samo. Choć przygotowaniem Krajowego Programu Badań wskazującego strategiczne kierunki zajmował się Komitet Polityki Naukowej, szef resortu nie korzystał jednak z opinii i konsultacji tego ciała.

„Minister nie przeprowadził też ewaluacji KP, co byłoby celowe w kontekście prac nad nowym dokumentem strategicznym – polityką naukową państwa. W rezultacie nie miał wiedzy, w jaki sposób ogłoszone na podstawie KP programy badań wpłynęły na realizację polityki naukowej państwa” – zauważono w raporcie.

NIK wnioskuje do ministra nauki o zwiększenie nadzoru nad przygotowaniem, realizacją i obsługą programów strategicznych przez NCBR, szczególnie pod względem finansowym oraz liczby przeprowadzanych w Centrum kontroli. Ponadto powinien dokonać kompleksowej oceny efektów Krajowego Programu Badań i wykorzystać jej wyniki w pracach nad założeniami polityki naukowej państwa.

Wśród zaleceń dla NCBR znalazły się m.in.: rzetelne przygotowywanie strategicznych programów badań naukowych i prac rozwojowych oraz konkursów, wypłata środków zgodnie z harmonogramami płatności, przyznawanie środków na podstawie pozytywnie zaopiniowanych wniosków wykazanych na liście rankingowej.

Mariusz Karwowski



## 30 lat i koniec

Z końcem 2020 r., po trzydziestu latach działalności, zakończyła swój żywot Centralna Komisja ds. Stopni i Tytułów. Instytucja kontrowersyjna, ale chyba nikt nie wyobrażał sobie na serio awansów naukowych w Polsce bez niej. Przypisywano jej różne cechy i właściwości, najczęściej chyba „sądu kapturowego”. Ale także komunistyczny rodowód. Spór o pochodzenie rozstrzygnął w książce *Centralna Komisja ds. Stopni i Tytułów (1991-2020)*, wydanej na podsumowanie działalności CK, dostępnej bezpłatnie w wersji elektronicznej, prof. Hubert Izdebski – człowiek w pewnym sensie odpowiedzialny za kształt Komisji jako współautor (a są tacy, którzy twierdzą, że główny autor) ustawy ją powołującej.

Prof. Izdebski, który oprócz tego, że współtworzył ustawy, był także członkiem CK i jej przedostatnim sekretarzem, sprzeciwia się przypisywaniu CK komunistycznego rodowodu, a jego tezę ma dokumentować art. 43 ustawy z 12 września 1990 r. powołującej Centralną Komisję ds. Tytułu Naukowego i Stopni Naukowych, bo tak wówczas brzmiała jej nazwa. Od Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej do spraw Kadr Naukowych, instytucji, która bezpośrednio poprzedzała naszą, niekomunistyczną Komisję, różnił ją fakt wyłaniania członków przez środowisko naukowe w bezpośrednich wyborach. Izdebski wskazuje też na znacznie szerszy zakres kompetencji CK.

Skoro jednak autor opracowania, podsumowującego trzydziestoletnią działalność Komisji, uznał za stosowne poświęcić sporo miejsca poprzedniczkom CK z okresu Polski Ludowej, to może warto przynajmniej jej wymienić: Rada Główna do spraw Nauki i Szkolnictwa Wyższego (1947-1952), Centralna Komisja Kwalifikacyjna dla Pracowników Nauki (1952/53-1958/60), Rada Główna Szkolnictwa Wyższego i (Główna) Komisja Kwalifikacyjna przy Polskiej Akademii Nauk (1959/60-1973), no i wreszcie wspomniana już Centralna Komisja Kwalifikacyjna do spraw Kadr Naukowych (1973-1990). O ich zadaniach i sposobach działania, a także związkach ze współczesnymi instytucjami o podobnych nazwach, można się dowiedzieć ze wspomnianej książki.

Prof. Izdebski omawia następnie skład – także prezydiów – poszczególnych kadencji Komisji, konstatując, że pozostawanie w kolejnej 60-70% składu poprzedniej kadencji świadczyć miało o zaufaniu środowiska profesorskiego (bo takie mogło być wybierane do Komisji i wybierało jej skład) do członków CK oraz utrwaleniu tożsamości i stabilizacji pod względem osobowym. Istnieje w tym obszarze pewna nieścisłość, bowiem o ile Izdebski pisze, że pierwszym przewodniczącym Komisji przez dwie kadencje (a zatem w latach 1991-1996) był prof. Jerzy Pelc, o tyle w zestawieniu osobowym wskazano, że pierwszym przewodniczącym w kadencji 1991-93 był prof. Czesław Olech, a prof. Pelc pełnił tę funkcję w drugiej kadencji w latach 1994-96.

Autor – bo należy go uznać także za głównego autora książki, gdyż cała jej treść, poza zestawieniami osobowymi i statystycznymi, jest jego dziełem – przedstawia kompetencje i uprawnienia Komisji w różnych okresach jej działania, a także rezultaty tegoż w postaci podstawowych danych liczbowych. CK zatem tworzyła i korygowała wykaz dziedzin i dyscyplin naukowych (były jeszcze obszary); przyznawała jednostkom naukowym uprawnienia do nadawania stopni i tytułów – Izdebski wspomina o odsetku decyzji negatywnych: 28% w pierwszej kadencji, 44% w drugiej, a później w granicach 30%; kontrola doktoratów, rozpatrywanie wniosków jednostek o nadanie tytułu profesora – autor pisze o podniesieniu wymogów w stosunku do stosowanych w CKK i aż 21,8% decy-

zji odmownych w 1992 r.; zatwierdzanie uchwał rad jednostek o nadaniu habilitacji oraz rozpatrywanie odwołań od decyzji rad jednostek – tu autor podaje odsetki decyzji pozytywnych. Kolejne zmiany legislacyjne prowadziły do zmniejszenia kompetencji Komisji. W kolejnym rozdziale prof. Izdebski omawia orzecznictwo CK w całym okresie jej funkcjonowania, a zatem pod obiema nazwami: Centralnej Komisji ds. Tytułu Naukowego i Stopni Naukowych (1991-2003) i Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów.

Drugą część książki zajmują zestawienia osobowe i akty prawne regulujące działalność CK. Zaistniała poważna niekonsekwencja w sporządzeniu owych zestawień. Dotyczą one bowiem nie tylko działalności CK, ale także CKK. Tak jakby ich autorzy (może to redaktorzy wymienieni w książce, bo autorzy nie są wskazani?) widzieli jednak w CK kontynuację działalności CKK, a nie zupełnie nową jakość, jak chce prof. Izdebski. Zatem mamy zestawienia wszystkich przewodniczących i wiceprzewodniczących CKK i CK. Podobnie jest z alfabetyczną listą członków. Trudno przez to zorientować się, ilu profesorów przewinęło się przez CK. Warto jednak zauważyć, że CK miała 6 przewodniczących (autor, jak wspomniałem, uważa, że 5). Najdłużej – trzy kadencje, lata 1997-2006 (w międzyczasie CK przeszła z kadencji trzyletnich na czteroletnie) – pełnił tę funkcję historyk, prof. Janusz Tazbir. Inną ciekawostkę poznałem podczas ostatniego walnego zebrania CK – okazało się, że jednym profesorem, który był członkiem CK przez wszystkie kadencje, całe 30 lat, był prof. Jerzy Brzeziński, psycholog (metodolog psychologii) z UAM. Osobiste wspomnienie profesora na temat Komisji opublikowaliśmy w lutowym numerze FA.

Piotr Kieraciński



# Otwiera się druga perspektywa Erasmus+

Nowa edycja unijnego programu ma pomóc przywrócić normalność w europejskiej edukacji. Na realizację przeznaczono 26 mld euro – niemal dwukrotnie więcej niż w latach 2014–2020. Co już udało się osiągnąć dzięki Erasmusowi+ i w jaki sposób polskie uczelnie mogą wykorzystać ten potencjał w najbliższych siedmiu latach?

Pierwsza edycja Erasmus+ przechodzi do historii. Między 2014 a 2020 r. program wspierał przede wszystkim rozwijanie kompetencji kluczowych u osób uczących się w każdym wieku, szlifowanie umiejętności zawodowych wśród kadry dydaktycznej oraz wykorzystywanie technologii informacyjno-komunikacyjnych w procesie kształcenia. Najwięcej środków przeznaczono na sektor szkolnictwa wyższego. Projekty zrealizowane w tym obszarze pochłonęły prawie 450 mln euro, niemal połowę siedmioletniego budżetu Erasmus+ w Polsce. Co ważne, po środki sięgały nie tylko największe uczelnie, lecz także i te położone w mniejszych ośrodkach akademickich. W projektach realizowanych w ramach wszystkich pięciu sektorów Erasmus+ uczestniczyło ponad 300 uczelni i ośrodków naukowo-badawczych. W efekcie, po siedmiu latach na mapie Polski nie ma białych plam, które wskazywałyby na brak zainteresowania tej grupy beneficjentów międzynarodowymi projektami edukacyjnymi.

Wśród studentów wyjazd do zagranicznej uczelni stał się „obowiązkowym” etapem studiów. Dynamicznie rozwija się także mobilność pracowników. Projekty Erasmus+ dały im szansę na ukończenie kursu lub poprowadzenie zajęć w uczelniach poza granicami kraju. Najwięcej swoich studentów i pracowników wystawiły za granicę Uniwersytet Warszawski, Uniwersytet Wrocławski i Uniwersy-

tet Jagielloński. – Efekty międzynarodowych wymian widać w coraz większej otwartości środowiska akademickiego. Bardziej docenia się wpływ różnych form umiędzynarodowienia kształcenia na jego jakość i atrakcyjność, a zadania edukacyjne i dydaktyczne są coraz lepiej realizowane – mówi Beata Skibińska, dyrektor Biura Szkolnictwa Wyższego w Fundacji Rozwoju Systemu Edukacji, Narodowej Agencji Erasmus+.

Dzięki zmianom wprowadzonym w zasadach programu od 2015 r. studenci i pracownicy dydaktyczni mogli wyjeżdżać do placówek na całym świecie – kształcili się i pracowali w niemal 120 krajach. W czołówce uczelni i firm wybieranych przez studentów znalazły się podmioty z Niemiec, Hiszpanii, Francji, Włoch i Portugalii. Studenci coraz chętniej wybierali wyjazdy na staże, choć w liczbach bezwzględnych to studiowanie utrzymało czołową pozycję. Wybory kraju docelowego pracowników uczelni były nieco inne – pierwszeństwo przypadło instytucjom z Hiszpanii, ze Słowacji, z Czech, Włoch i Niemiec.

Program wspierał również międzynarodowe, wielostronne projekty służące podnoszeniu jakości nauczania lub funkcjonowania instytucji szkolnictwa wyższego. W ten sposób uczelnie, ośrodki badawcze i naukowe osiągały cele związane z umiędzynarodowieniem, określone w swoich misjach lub strategiach. Osią tych projektów było najczęściej wdrażanie i upowszechnianie innowacyjnych rozwiązań dydaktycznych, a efektem – modernizacja oferty kształcenia oraz jej lepsze dostosowanie do potrzeb społeczeństwa i gospodarki. Dzięki funduszom Erasmus+ polskie uczelnie wzięły udział w niemal 150 tego rodzaju strategicznych partnerstwach. Polscy naukowcy opraco-



Uczestnicy konferencji *Education to business – creative highway to development* zamykającej projekt DiamonDT („Development of Innovative AcadeMy ON the basis of DT teaching”), 6 października 2017 r. Projekt był poświęcony zastosowaniu design thinking w kształceniu na uczelniach i realizowany przez Politechnikę Łódzką w ramach partnerstwa strategicznego razem z Universidad de Vigo, Uniwersytetem w Tromsø i Uniwersytetem Technologiczno-Przyrodniczym w Bydgoszczy w latach 2015–2017.

wali m.in. e-podręczniki do chirurgii krtani, badali zastosowanie robotów rozpoznających emocje w terapii dzieci z autyzmem, stworzyli gry wspomagające zarządzanie dziedzictwem kulturowym czy kursy gry na instrumentach wykorzystujące możliwości wirtualnej orkiestry.

### Znane zasady, ważne wyzwania

Efekty siedmiu lat Erasmus+ na uczelniach można zaobserwować w trwałych relacjach z zagranicznymi partnerami, bliskiej współpracy nad nowymi inicjatywami i bogatej ofercie dydaktycznej prowadzonej w językach europejskich lub wykorzystującej nowe technologie. Nie inaczej będzie w nowej siedmioletniej perspektywie. Dzięki zwiększeniu środków szkoły wyższe jeszcze bardziej otworzą się na kontakty i współpracę międzynarodową.

Co już wiadomo o nowym Erasmusie? Na pewno wciąż obejmować będzie pięć sektorów edukacji, a sektor szkolnictwa wyższego nadal będzie wspierał finansowo wyjazdy na studia i praktyki do zagranicznych uczelni i przedsiębiorstw. Z oferty będą mogli skorzystać studenci wszystkich cykli kształcenia i młodzi absolwenci. Wsparcie uzyskają także pracownicy polskich uczelni wyjeżdżający w celu poszerzenia wiedzy i wymiany doświadczeń. Nadal będą mogli prowadzić zajęcia dydaktyczne za granicą oraz brać udział w kursach podnoszących kompetencje zawodowe.

Program w nowej odsłonie będzie jeszcze bardziej promować włącznie społeczne i innowacyjność. Lepszy dostęp uzyskają osoby o mniejszych szansach lub ze specjalnymi potrzebami. W ciągu najbliższych siedmiu lat nadal będzie można starać się o środki w ramach wielostronnych projektów współpracy międzynarodowej. W tym obszarze Erasmus+ będzie sprzyjał wdrażaniu innowacji w uczeniu się i nauczaniu, ale będzie też promować umiejętności cyfrowe i działania ekologiczne.

### Nowe formy współpracy

Fundacja Rozwoju Systemu Edukacji, która koordynuje program Erasmus+ w Polsce, od niedawna wspiera także upowszechnianie dorobku naukowego. W ramach autorskiego programu Fundacja ogłosiła konkurs wydawniczy na najlepsze monografie poświęcone edukacji. Mogą w nim wziąć udział badacze i naukowcy specjalizujący się w różnych dyscyplinach nauk społecznych i humanistycznych. Zwycięskie prace ukażą się nakładem Wydawnictwa FRSE w językach polskim i angielskim, będą bezpłatnie udostępniane w internecie i repozytoriach cyfrowych oraz uzyskają punkty niezbędne do ewaluacji dorobku naukowego.

Tegoroczna edycja konkursu odbywa się pod patronatem „Forum Akademickiego”. Więcej informacji na temat konkursu można uzyskać pod adresem [www.frse.org.pl/wydawnictwo](http://www.frse.org.pl/wydawnictwo).

KK

## Perfekcyjna Akademia

Ze środków programu Regionalna Inicjatywa Doskonałości w Akademii WSB z Dąbrowy Górniczej realizowany jest projekt „Perfekt – RDI”. Ma on na celu poprawienie jakości badań naukowych, ich umiędzynarodowienia i interdyscyplinarności, a także wpływu na rozwój społeczno-gospodarczy regionu.

Uczelnia nawiązała partnerstwa z wiodącymi ośrodkami, a jej naukowcy brali udział w międzynarodowych konferencjach naukowych i zespołach badawczych, zagranicznych szkołach letnich (25 wyjazdów). Pełnili również funkcje *visiting professors* na europejskich uczelniach.

Znacznie wzrosła liczba cytowań w bazie Scopus (16,1% publikacji pracowników Akademii WSB ukazało się na łamach TOP 10% najczęściej cytowanych tytułów na świecie; w Polsce wskaźnik ten wynosi 9,1%). Wskaźnik publikacji współtworzonych z instytucjami zagranicznymi wynosi 55,9% i jest wyższy niż ogólnopolski (33,7%). Opublikowano ponad 40 artykułów w czasopismach z listy TOP 10 bazy Scopus oraz monografi.

Czasopisma wydawane przez Akademię WSB, „Cultural Management: Science and Education” oraz „Forum Scientiae Oeconomia” zostały umieszczone na ministerialnej liście i włączone do największej na świecie bazy literatury recenzowanej Scopus-Elsevier.

Pracownicy Akademii WSB podnosili swojej kompetencje w szkoleniach i warsztatach (860 godzin), m.in.: „Praca z danymi i obiektami wynikowymi”, „Efektywne wykorzystanie portali internetowych dla naukowców” oraz warsztatach statystycznych i językowych (160 godzin). Do doktorantów skierowana była coroczna konferencja z cyklu „Paradygmaty współczesnego zarządzania organizacjami” wraz z warsztatami metodologicznymi, a także granty, których celem jest podniesienie jakości prowadzonych badań naukowych oraz przygotowanie publikacji/kolejnego etapu pracy doktorskiej (do 10 tys. zł).

Zasoby biblioteczne wzbogacono o dostęp do pełnotekstowych, zagranicznych baz elektronicznych. Planowana jest digitalizacja czasopism naukowych wydanych nakładem Wydawnictwa Naukowego Akademii WSB celem zapewnienia otwartego dostępu do publikacji przez Internet.

Utworzono także pracownię Analizy Danych i Badań Jakościowych, do której zakupiono specjalistyczny sprzęt i oprogramowanie (Atlas, EndNote 19 (X9) EDU, PS IMAGO PRO Academic). Umożliwia on prowadzenie badań w zakresie metodologii, rozwijania technik i algorytmów wspomaganą komputerowo analizy danych jakościowych, adaptacji nowych rozwiązań metodologicznych w naukach społecznych oraz realizacji projektów wdrożeniowych w nauce i w biznesie, wykorzystujących efekty realizowanych prac naukowo-badawczych.

Powstał także Instytut Studiów nad Współpracą Terytorialną i Międzyorganizacyjną, który koordynuje współpracę kadry Akademii WSB z zagranicznymi badaczami reprezentującymi około 40 ośrodków, specjalizujących się w problematyce zarządzania terytorialnego i publicznego, współpracy transgranicznej oraz zrównoważonego rozwoju.

Instytut rozwija badania nad zarządzaniem publicznym w procesach współpracy transgranicznej w ramach „Programu badań nad współpracą terytorialną i międzyorganizacyjną”. Jest także zaangażowany w realizację projektów międzynarodowych z programów: Horyzont 2020, Erasmus Plus czy INTERREG Czecho-Polska, Polska-Słowacja i Interreg Central Europe. Z inspiracji Komisji Europejskiej podjęto badania nad tworzeniem transgranicznych obszarów funkcjonalnych na wewnętrznych granicach Unii Europejskiej.

Zorganizowano The International Congress on Sustainable Development, Public Management and Territorial Governance oraz International Conference on Territorial and Inter-Organizational Cooperation. W latach 2018-2020 pracownicy Instytutu wzięli udział w ok. 30 międzynarodowych wydarzeniach naukowych, wydali około 50 publikacji i 4 międzynarodowe monografie naukowe. Z wyników badań skorzystały już min. Komisja Europejska – DG REGIO (Dyrekcja Generalna ds. Polityki Regionalnej i Miejskiej), miasta: Sejny, Żywiec, Cieszyn, gminy: Jeleśnia, Ujsoły, Puńsk, Krasnopol, Szypliszki, Sejny, Wiżajny, a także miasta i rejony litewskie, czeskie oraz wiele polskich i zagranicznych organizacji.

(oprac. MK)

# Cytowani a doceniani

Ponieważ zestawienie S6, o którym pisałem w „Forum Akademickim” trzy miesiące temu, zawierające informacje o 2% autorów 176 poddyscyplin o najwyższym długookresowym (za lata 1996-2019) złożonym indeksie cytowań, było często przedstawiane jako lista najlepszych naukowców, więc spróbujemy teraz sprawdzić, czy jest to uprawnione. A dokładniej przyjrzymy się korelacji tego zestawienia z powszechnie uznanymi w polskiej nauce wyróżnieniami: pozyskaniem grantu ERC, zdobyciem Nagrody FNP i uzyskaniem członkostwa PAN.

## Granty ERC

Granty Europejskiej Rady ds. Badań Naukowych (European Research Council) zapewniają ich beneficjentom międzynarodowy prestiż i wysoki budżet (np. w przypadku Advanced Grant sięga on 2,5 mln euro z możliwością zwiększenia o dodatkowy milion), zabiegają więc o nie najlepsze europejskie instytuty badawcze i uczelnie. Od 2007 roku Rada wybrała do finansowania już ok. 12 tys. projektów, z czego jedynie 45 (taka liczba grantów wraz z ich wykazem znajduje się na stronie Krajowego Punktu Kontaktowego PR Horyzont Europa, wg. innych źródeł jest ona nawet nieco mniejsza) w polskich jednostkach (przede wszystkim w Uniwersytecie Warszawskim i instytutach Polskiej Akademii Nauk). Z trzech podstawowych rodzajów grantów, tzn. Starting Grant, Consolidator Grant i Advanced Grant, dwa pierwsze przeznaczone są dla naukowców z mniejszym doświadczeniem (odpowiednio 2-7 i 7-12 lat po doktoracie), a trzeci dla doświadczonych uczonych o ugruntowanej już pozycji w świecie nauki. Warto podkreślić przy tym szeroki zakres dyscyplinarny (z zasadniczym podziałem na trzy dziedziny, choć wysoko cenione i finansowane – w szczególności w ramach Synergy Grants – są także projekty interdyscyplinarne) grantów ERC oraz międzynarodowy charakter oceny projektów i podejmowania decyzji o ich finansowaniu. W kontekście cytowań interesująca jest także informacja ze strony Rady o tym, że wg. danych z bazy Scopus z 2018 roku ponad 6100 artykułów będących efektem realizacji grantów należało do 1% najczęściej cytowanych.

Laureaci grantów (wg. ich dziedziny) ERC z polskich instytucji w zestawieniu S6

Dziedzina	Laureaci	Laureaci w S6	Odsetek osób z S6 wśród laureatów
Physical Sciences & Engineering	19	7	36,84%
Life Sciences	9	1	11,11%
Social Sciences & Humanities	9	0	0%
Synergy Grant	2	1	50%
<b>Ogółem</b>	<b>38</b>	<b>8</b>	<b>21,05%</b>

Laureaci grantów (wg. ich rodzaju) ERC z polskich instytucji w zestawieniu S6

Rodzaj	Laureaci	Laureaci w S6	Odsetek osób z S6 wśród laureatów
Starting Grant	27	3	11,11%
Consolidator Grant	9	1	11,11%
Advanced Grant	5	5	100%
Proof of Concept	3	1	33,33%
Synergy Grant	2	1	50%
<b>Ogółem</b>	<b>38</b>	<b>8</b>	<b>21,05%</b>

Nadmienimy, że Synergy Grant – uzyskany wspólnie przez Bożenę Czerny i Grzegorza Pietrzyńskiego – nie jest przypisany do żadnej dziedziny. Warto też zauważyć, że w zestawieniu S6 (tak samo jak

w S7) nie ma m.in. informatyka Piotra Sankowskiego, który jako jedyny naukowiec z polskiej instytucji uzyskał aż trzy granty ERC. Natomiast jedynym laureatem tych grantów reprezentującym nauki przyrodnicze/o życiu w S6 jest biolog o błyskotliwej karierze (będący m.in. członkiem korespondentem PAN) Janusz Bujnicki, podwójny laureat grantów ERC. W poddyscyplinie Developmental Biology zajmuje on miejsca 1275 (bez uwzględniania autocytoowań) i 957 (z autocytoowaniami) na 105 600 autorów.

Ponieważ zdecydowana większość „polskich” grantów została uzyskana przez naukowców z mniejszym doświadczeniem, którym siłą rzeczy trudniej było trafić do zestawienia S6, więc przyjrzymy się jeszcze, jak przedstawia się sytuacja w zestawieniu S7 opartym na cytowaniach tylko z roku 2019.

Laureaci grantów (wg. ich dziedziny) ERC z polskich instytucji w zestawieniu S7

Dziedzina	Laureaci	Laureaci w S7	Odsetek osób z S7 wśród laureatów
Physical Sciences & Engineering	19	8	42,11%
Life Sciences	9	2	22,22%
Social Sciences & Humanities	9	0	0%
Synergy Grant	2	0	0%
<b>Ogółem</b>	<b>38</b>	<b>10</b>	<b>26,32%</b>

Laureaci grantów (wg. ich rodzaju) ERC z polskich instytucji w zestawieniu S7

Rodzaj	Laureaci	Laureaci w S7	Odsetek osób z S7 wśród laureatów
Starting Grant	27	6	22,22%
Consolidator Grant	9	1	11,11%
Advanced Grant	5	4	80%
Proof of Concept	3	1	33,33%
Synergy Grant	2	0	0%
<b>Ogółem</b>	<b>38</b>	<b>10</b>	<b>26,32%</b>

Jak widać, w zestawieniu S7 jest dwukrotnie więcej laureatów Starting Grant niż w S6, choć nadal nie jest to specjalnie imponująca liczba. Nowymi w stosunku do zestawienia S6 są w tym gronie: Marek Cygan (na miejscach 256 i 245 wśród 16 572 autorów w poddyscyplinie Computation Theory & Mathematics), Krzysztof Fic (2954 i 2560 na 186 014 autorów w poddyscyplinie Energy) i Marcin Nowotny (2862 i 2684 na 105 600 autorów w poddyscyplinie Developmental Biology). W S7 nie ma z kolei pojawiającego się w S6 Grzegorza Pietrzyńskiego – laureata Advanced Grant i Synergy Grant.

## Nagrody FNP

Nagrody Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, nazywane „polskimi Nobelami”, przyznawane są od roku 1992 uczonym związanym z polskimi instytucjami lub za osiągnięcia dotyczące polskiej problematyki. Co roku nagradza się nią maksymalnie 4 naukowców (czasami w którymś z obszarów nagrody się nie przyznaje), po jednym z obszaru nauk: o życiu i o Ziemi, chemicznych i o materiałach, matematyczno-fizycznych i inżynierskich oraz humanistycznych i społecznych (taki podział obowiązuje od roku 2011, w pierwotnym były to dziedziny nauk: medycznych i przyrodniczych, technicznych, ścisłych oraz humanistycznych; w roku 1998 do tej ostatniej dodano nauki społeczne). Wysokość Nagrody FNP wynosi obecnie 200 tys. zł, a otrzymało ją dotąd 106 uczonych.

Laureaci Nagrody (wg. jej obszaru/dziedziny) FNP w zestawieniu S6

Obszar/Dziedzina	Laureaci	Laureaci w S6	Odsetek osób z S6 wśród laureatów
Nauki humanistyczne (i społeczne)	28	1	3,57%
Nauki ścisłe	17	15	88,24%
Nauki techniczne	14	7	50%
Nauki i medyczne i przyrodnicze/biologiczne	19	12	63,16%
Nauki matematyczno-fizyczne i inżynierskie	10	7	70%
Nauki chemiczne i o materiałach	10	8	80%
Nauki o życiu i o Ziemi	8	4	50%
<b>Ogółem</b>	<b>106</b>	<b>54</b>	<b>50,94%</b>

Niektórzy laureaci mają w S6 niepolską afiliację. Dotyczy to w szczególności jedyne go pojawiającego się w S6 laureata reprezentującego nauki humanistyczne i społeczne, tzn. językoznawczyni Anny Wierzbickiej, związanej od 1973 roku z Australijskim Uniwersytetem Narodowym. W poddyscyplinie Languages & Linguistics (nie reprezentowanej w S6 przez nikogo z polską afiliacją) zajmuje ona wysokie miejsca 15 i 13 na 11 932 autorów. Wymieńmy też jeszcze polskiego fizyka z hiszpańską afiliacją Macieja Lewensteina – laureata trzech Advanced Grant ERC, członka Academia Europaea i członka zagranicznego PAN. W poddyscyplinie General Physics, reprezentowanej przez 62 527 autorów, jest on 49 i 43. Z nieobecnych w S6 wspomnijmy z kolei jedynie o niezującym już wybitnym embriologu Andrzeju Tarkowskim, m.in. członku rzeczywistym PAN, członku Francuskiej Akademii Nauk, Amerykańskiej Akademii Nauk i Academia Europaea oraz jedynym polskim laureacie prestiżowej Nagrody Japońskiej.

### Członkostwo PAN

Status członka krajowego (rzeczywistego lub korespondenta) Polskiej Akademii Nauk może posiadać jednocześnie nie więcej niż 350 uczonych (na początku marca 2021 roku na stronie internetowej PAN znajdowały się nazwiska 172 członków rzeczywistych i 155 członków korespondentów). Każdy z nich wchodzi w skład jednego z pięciu wydziałów: Nauk Humanistycznych i Społecznych, Nauk Biologicznych i Rolniczych, Nauk Ścisłych i Nauk o Ziemi, Nauk Technicznych lub Nauk Medycznych (najliczniejszy jest trzeci, a najmniej liczny piąty). Nowi członkowie są wybierani przez Zgromadzenie Ogólne Akademii spośród uczonych o wyróżniającym się dorobku naukowym.

Przyjrzymy się teraz sytuacji w dwóch wydziałach. Ponieważ w przypadku laureatów grantów ERC i nagród FNP do S6 najczęściej trafiali przedstawiciele nauk ścisłych, a najrzadziej nauk humanistycznych i społecznych, więc przeanalizujemy zrzeszające ich Wydziały I i III.

Członkowie krajowi PAN (Wydział III Nauk Ścisłych i Nauk o Ziemi) w zestawieniu S6

Rodzaj członkostwa	Członkowie PAN	Członkowie PAN w S6	Odsetek osób z S6 wśród członków PAN
Członkowie korespondenci	39	18	46,15%
Członkowie rzeczywisci	53	25	47,17%
<b>Ogółem</b>	<b>92</b>	<b>43</b>	<b>46,74%</b>

Trzech członków PAN (jeden rzeczywisty i dwóch korespondentów) pojawiających się w S6 ma amerykańskie afiliacje. Jednym z nich jest słynny radioastronom Aleksander Wolszczan, współodkrywca pierwszych (potwierdzonych) planet pozasłonecznych (za odkrycie innej takiej planety, krążącej wokół gwiazdy typu słonecznego, a nie pulsara, Nagrodę Nobla w dziedzinie fizyki otrzymało w 2019 roku dwóch szwajcarskich astronomów). W poddyscyplinie Astronomiy & Astrophysics zajmuje on miejsca 1233 i 1530 na 42 624 autorów i wyprzedza go m.in. odpowiednio 7 i 9 astronomów z polską afiliacją (najwyżej, na miejscach 150 i 86, jest członek rzeczywisty PAN oraz laureat Advanced Grant ERC i Nagrody FNP – Andrzej Udalski z Uniwersytetu Warszawskiego). Inny to wybitny matematyk Henryk Iwaniec (w poddyscyplinie General Mathematics zajmuje on miejsca 576 i 740 na 48 314 autorów), prawdopodobnie najpoważniejszy powojenny polski kandydat do Medalu Fieldsa, który medalu co prawda nie dostał, ale w roku 2015 został nagrodzony (jako jedyny Polak) „Noblem Wschodu” – Nagrodą Shawa. Co ciekawe, promotora jego doktoratu Andrzeja Schinzla, prelegenta na Międzynarodowym Kongresie Matematyków w 1970 roku, Węgierskiej Akademii Nauk i Niemieckiej Akademii Przyrodników Leopoldina, który tytuł profesora nadzwyczajnego uzyskał w wieku zaledwie 30 lat, w wykazie S6 nie ma.

Członkowie krajowi PAN (Wydział I Nauk Humanistycznych i Społecznych) w zestawieniu S6

Rodzaj członkostwa	Członkowie PAN	Członkowie PAN w S6	Odsetek osób z S6 wśród członków PAN
Członkowie korespondenci	26	0	0%
Członkowie rzeczywisci	25	0	0%
<b>Ogółem</b>	<b>51</b>	<b>0</b>	<b>0%</b>

Wymieńmy w tym miejscu jedynie kilku nieobecnych w S6 członków rzeczywistych PAN, którzy są także laureatami nagród FNP: historyka sztuki Stanisława Mossakowskiego, archeologa (egiptologa) Karola Myśliwca, znanego m.in. z odkrycia grobowca wezyra Merefnebefa, historyka Jerzego Strzelczyka, socjologa Piotra Sztompkę – członka Academia Europaea i American Academy of Arts and Sciences oraz byłego przewodniczącego Międzynarodowego Stowarzyszenia Socjologicznego, psychologa Bogdana Wojciszke.

Krzysztof Ciepliński, Akademia Górniczo-Hutnicza



European Research Council  
Established by the European Commission



Fundacja na rzecz  
Nauki Polskiej



POLSKA AKADEMIA NAUK

## (Nie)szlachetne zdrowie

Komitet Zdrowia Publicznego PAN opublikował raport, w którym na podstawie dostępnych wyników badań zanalizowano poziom aktywności fizycznej Polaków w różnych grupach wiekowych, w tym na tle innych europejskich krajów. To efekt prac powołanego w marcu 2019 r. ponad 50-osobowego zespołu ekspertów reprezentujących różne środowiska naukowe i zawodowe.

Autorzy zwracają uwagę, że w latach 2000–2014 oczekiwana długość życia – najważniejsza syntetyczna miara stanu zdrowia ludności – wzrosła u Polek z 78 do 81,6 lat, zaś wśród Polaków z 69,7 do 73,8 lat. Ale od 2014 roku ten korzystny trend został zahamowany, pomimo że w 15 innych krajach notuje się dużo wyższe wartości długości życia. Od II wojny światowej podobna sytuacja miała u nas miejsce tylko raz – na przełomie lat 70. i 80. Jak dowodzą naukowcy, za ok. 8% wszystkich zgonów w Polsce, niezależnie od przyczyny, odpowiedzialny jest brak aktywności fizycznej. Jej ograniczenie lub wręcz zaniechanie w wyniku pandemii tylko pogłębi te niepokojące zmiany.

Aż 85% badanych przedszkolaków nie spełnia minimum aktywności fizycznej, niezbędnego dla zdrowia i prawidłowego rozwoju dziecka. Nieco lepiej jest u 8-latków. Mniej niż zalecaną godzinę dziennie (lub wcale) spędza w sposób aktywny w tygodniu co szóste dziecko. W weekendy niemal co dziesiąte. Przeciętnie dzieci średnio spędzają aktywnie jedynie 4 dni. Za najbardziej niepokojący naukowcy uznają fakt, że prawie 1/5 dziewcząt wcale nie poświęca czasu na aktywność fizyczną w wolnym czasie lub przeznaczają na nią mniej niż jedną godzinę dziennie. W zorganizowanych zajęciach sportowych brało udział prawie 2/3 badanych uczniów, przy czym częściej i dłużej chłopcy (4 i więcej godzin w tygodniu) niż dziewczęta (do 2 h).

U młodzieży w wieku 11–18 lat wskaźnik MVPA, wyrażający aktywność fizyczną w liczbie dni na nią przeznaczonych, wyniósł średnio 4,01. W kolejnych grupach wiekowych był jednak coraz niższy: od 4,60 (11 lat) przez 3,82 (15 lat), po 3,27 (17 lat). Tylko 15,6% uczniów w wieku 11–18 lat spełniało kryteria umiarkowanej do intensywnej aktywności fizycznej, czyli ćwiczyło codziennie przez minimum 60 minut. Odsetek ten obniża się z 23,2% w piątych klasach szkoły podstawowej do 9,6% w drugich klasach liceum lub technikum. Zalecane minimum spełniało 18,1% chłopców oraz 13,2% dziewcząt. Z kolei aktywność o dużej intensywności, rozumianą jako powodującą brak tchu lub pocenie się, co najmniej 4 razy w tygodniu podjęło 31% osób w tej grupie wiekowej. Co piąty ankietowany unika tego typu zajęć w wolnym czasie. Odsetek intensywnie ćwiczących zmienił się od 39,7% w przedziale 11–12 lat do 23% w grupie najstarszych uczniów szkół ponadpodstawowych.

W populacji dorosłych udział osób realizujących rekomendacje WHO co do aktywności nie przekracza 30%. Jednocześnie ostatnie lata

wydają się przynosić zmianę trendu w zakresie rekreacyjnej aktywności fizycznej. Wskazywać na to mogłyby (brak jeszcze badań) rosnąca liczba osób zgłaszających akces do klubów sportowych (w 2019 r. przekroczyła milion) oraz dynamika wzrostu komercyjnych form aktywności, głównie w klubach fitness (w 2018 r. prawie 3 mln uczestników). Siłownia jest jedyną aktywnością, która od 2013 r. zanotowała wzrost udziału (z 10% do 12% Polaków). Pozostałe najpopularniejsze pozycje – jazda na rowerze, pływanie, turystyka piesza, bieganie – mają już mniej zdeklarowanych zwolenników.

Wśród osób starszych (60+) jedynie co czwarta uczestniczy w sporcie i rekreacji ruchowej, przy czym tylko jedna na dziesięć czyni to regularnie i często. Dominuje ogrodnictwo (64,6%), spacer (39%), jazda na rowerze (37,3%), gimnastyka (18,2%) i taniec (12,8%).

Podobne co w Polsce tendencje obserwuje się również w Europie. W 2009 r. niski poziom aktywności deklarowało 39% badanych mieszkańców Starego Kontynentu, a niespełna dekadę później już blisko połowa (46%). „Oznacza to, że około 200 mln Europejczyków nie podejmuje żadnej korzystnej dla zdrowia aktywności fizycznej, a dalsze 60 mln (14%) robi to rzadko. Zalecaną, regularną aktywność fizyczną uprawiało zaledwie 7% badanych (ok. 30 mln osób)” – czytamy w raporcie KZP PAN.

Przywoływane w nim obliczenia brytyjskiej firmy konsultingowej Centre for Economics and Business Research pokazują, że aktywizacja wszystkich osób nieaktywnych w Polsce mogłaby zapobiec prawie 30 tys. zgonów. Podejmując aktywność fizyczną na umiarkowanym poziomie można żyć o 1,5–3,6 lat dłużej. Nie bez znaczenia są też koszty pośrednie. W 2012 r. choroby, w tym głównie niedokrwienna serca, obciążły polską gospodarkę kwotą 1,3 mld euro. Jak obliczono, zmniejszenie liczby nieaktywnych o 1/5 pozwoliłoby na zaoszczędzenie 259 mln euro rocznie. Zwiększenie o 10 pp. liczby Polaków wykonujących zalecenia WHO przełożyłoby się też na wzrost liczby pracujących w gospodarce o 37 tys. osób oraz około 2-procentowy spadek absencji pracowniczych. W efekcie dałoby to oszczędności na poziomie 1 mld zł. Polityka prozdrowotna, w tym promocja zdrowego stylu życia, poprawiłaby tym samym długoterminowe wyniki firm, ich produktywność i zaangażowanie pracowników.

Raport *Niedostateczny poziom aktywności fizycznej w Polsce jako zagrożenie i wyzwanie dla zdrowia publicznego* został opracowany pod redakcją naukową prof. Wojciecha Drygasa, dr Małgorzaty Gajewskiej i prof. Tomasza Zdrojewskiego. Jest do pobrania ze strony Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego ([www.pzh.gov.pl](http://www.pzh.gov.pl)).

MK

## I bez Covidu źle, a co dopiero po nim

W ostatnich tygodniach pojawiły się informacje dotyczące pogarszającego się poziomu sprawności fizycznej dzieci i młodzieży w Polsce, jak również możliwości negatywnego wpływu pandemii koronawirusa na ich zdrowie fizyczne. Akademii wychowania fizycznego, podobnie jak inne jednostki naukowe, od kilkudziesięciu lat starają się systematycznie monitorować sytuację w kraju. Warszawski AWF od lat 70. XX wieku, za sprawą zespołów kierowanych przez prof. Ryszarda Przewędę oraz dr. Janusza Dobosza, dokonuje weryfikacji poziomu sprawności fizycznej dzieci i młodzieży. Wyniki badań potwierdzają proces pogarszania się poziomu sprawności fizycznej

młodzieży szkolnej w Polsce. Szybko rośnie liczba dzieci z otyłością i nadwagą, co negatywnie wpływa na ich zdrowie fizyczne. Kolejnym zagrożeniem, dokumentowanym w badaniach, jest stale wzrastająca liczba wad postawy. W ostatnich latach bóle kręgosłupa deklarowane są już przez młodzież szkolną. Bezpośredni wpływ na raportowane trendy ma zmieniający się styl życia, w tym systematycznie ograniczana aktywność fizyczna.

Istotny wpływ na pogarszający się stan kondycji fizycznej dzieci i młodzieży może mieć opisywany aktualnie w najnowszych pozycjach piśmiennictwa tzw. efekt pocovidowy (ang. long COVID, post-COVID

syndromie). Badania opisują tzw. efekt long COVID u dzieci (zwykle od 9 do 15 roku życia), które w większości przypadków przechodzą COVID bezobjawowo. U części z nich w okresie od 2 do 8 miesięcy od zakażenia pojawiają się: zmęczenie, duszności, bóle w klatce piersiowej, palpacje serca, omdlenia, bóle i zawroty głowy, przejściowa utrata pamięci, zaburzenia poznawcze, depresja, osłabienie i bóle mięśni. Najdłużej utrzymującym się objawem, opisywanym zarówno u dzieci, jak i dorosłych, jest chroniczne zmęczenie i osłabienie, które uniemożliwia powrót do szkoły czy pracy w normalnym wymiarze czasowym.

Opisywane zmiany sprawności fizycznej dzieci i młodzieży oraz prawdopodobny wpływ efektu pocovidowego wraz z istotnym ograniczeniem aktywności fizycznej wymaga podjęcia natychmiastowych działań. Dlatego też eksperci z akademii wychowania fizycznego pod-

jęli się, przy współpracy z Ministerstwem Edukacji i Nauki, opracowania programu skoncentrowanego na poprawie zdrowia fizycznego dzieci i młodzieży, która po okresie wielomiesięcznej pracy zdalnej narażona jest na ryzyko pogłębienia wad postawy, otyłości i nadwagi i obniżającego się poziomu sprawności fizycznej. Program ma na celu, w pierwszej kolejności, przekazanie nauczycielom wychowania fizycznego oraz nauczania wczesnoszkolnego wytycznych dotyczących aktywizacji ruchowej podopiecznych po okresie pandemii. W drugim etapie wdrożone zostaną działania zachęcające młodzież szkolną do podejmowania regularnej aktywności fizycznej w czasie wolnym.

*Bartosz Molik, rektor AWF w Warszawie*

## AWF-y na zdrowie!

Minister edukacji i nauki dr hab. Przemysław Czarnek mówi o programach wspierających kondycję i zdrowie dzieci i młodzieży.

Naszą odpowiedzią na ostatnie doniesienia naukowe dotyczące stale pogarszającego się poziomu kondycji fizycznej dzieci i młodzieży są cztery programy wspierające uczniów w powrocie do szkół po pandemii. Pierwszy z nich, co chciałbym bardzo wyraźnie podkreślić, został opracowany we współpracy z rektorami akademii wychowania fizycznego w Polsce. Dotyczy on powrotu do pełnej sprawności fizycznej. Kolejne trzy, o których będziemy sukcesywnie informować, to wsparcie psychologiczno-pedagogiczne, działania profilaktyczne dotyczące wad wzroku oraz pomoc w uzupełnieniu wiedzy. Dziś skupiamy się przede wszystkim na tym pierwszym, który kierujemy do nauczycieli edukacji wczesnoszkolnej oraz do nauczycieli wychowania fizycznego ze szkół podstawowych i średnich. Przygotowaliśmy specjalne szkolenia, które poprowadzą specjaliści z akademii wychowania fizycznego w całej Polsce.



Program „Aktywny powrót do szkoły po pandemii” podzielony jest na 2 etapy. Pierwszy z nich, czyli szkolenia dla nauczycieli, zacznie się już w kwietniu i potrwa do końca 2021 r., a drugi – dodatkowe zajęcia sportowe dla uczniów – chcielibyśmy rozpocząć we wrześniu. Te dodatkowe zajęcia sportowe będą przygotowane przez specjalistów z akademii wychowania fizycznego, a prowadzić je będą właśnie przeszkoleni wcześniej nauczyciele.

Celem planowanych szkoleń jest dostarczenie nauczycielom poszerzonej wiedzy na temat problemów, z jakimi będą się borykali uczniowie po powrocie do nauki stacjonarnej. Chcemy, żeby po naszych szkoleniach nauczyciele byli gotowi do prowadzenia bardziej efektywnych zajęć wychowania fizycznego. Na ten cel przeznaczymy w tym roku 42 mln zł, ale z całą pewnością program będzie kontynuowany w kolejnych latach.

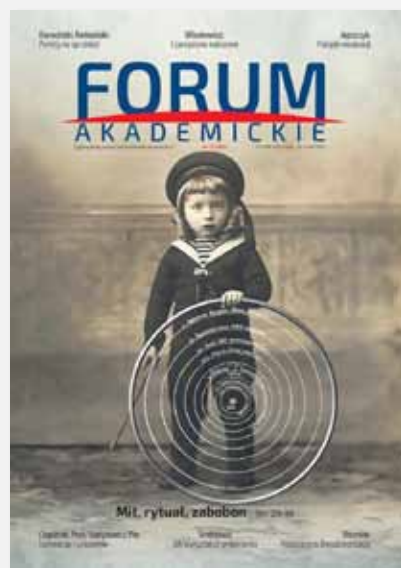
## Prenumerata „Forum Akademickiego” w 2021 r.

Szanowni Państwo,  
Drodzy Czytelnicy i Sympatycy „Forum Akademickiego”,  
Serdecznie zapraszamy do prenumeraty „Forum Akademickiego” w 2021 roku.

Roczna prenumerata dla instytucji będzie kosztowała 230 zł;  
prenumerata numerów 1-6: 120 zł, a 7-12: 110 zł.

Prenumeratorom indywidualnym oferujemy specjalną bonifikatę,  
w związku z czym koszt prenumeraty wyniesie 166 za cały rok  
i 86 zł za pół roku.

*Redakcja*



# Inspiracja w rękopisie Mistrza

Prof. Elżbieta Żądzińska, biolog-antropolog, rektor Uniwersytetu Łódzkiego i przewodnicząca Kapituły Konkursu o Nagrodę Pierwszego Rektora Uniwersytetu Łódzkiego Prof. Tadeusza Kotarbińskiego, mówi o nowych inspiracjach tego konkursu i zapowiada jego siódmą odsłonę.

Kiedy we wrześniu 2020 roku objęłam funkcję rektora Uniwersytetu Łódzkiego, równocześnie zostałam przewodniczącą Kapituły Konkursu o Nagrodę Pierwszego Rektora Uniwersytetu Łódzkiego Tadeusza Kotarbińskiego. Muszę przyznać, że jako biolog miałam tremę, znalazłszy się w gronie znakomych humanistów i przedstawicieli nauk społecznych, którzy tę kapitułę tworzą. Wiem, jak zabrzmi to, co teraz powiem, ale w sukurs przyszedł mi wtedy sam Prof. Kotarbiński. Otóż, na początku września przyszli do mnie Państwo Rajkiewiczowie (prof. Antoni Rajkiewicz z małżonką – red.), małżeństwo absolwentów Uniwersytetu Łódzkiego, którzy studiowali u nas w czasach patrona konkursu. Przekazali mi rękopis jego niewielkiej pracy pod tytułem *O walorach nauki* z roku 1948. Odbieram to jako pewien znak. Dla mnie w tym krótkim tekście Mistrza Kotarbińskiego wybrzmiewa przesłanie, które jest bardzo dobitne w czasach podziału nauk na wiele wyspecjalizowanych poddyscyplin: Wszyscy badacze, niezależnie od tego, czy biolog, czy historyk, czy filozof, choć mówią innymi słowami, stosują odmienne metodologie, wciąż uprawiają jedną naukę. Jako biolog nie ustawiam się w kontrze do humanistów.

O nauce pisał Kotarbiński tak: „Nauka nie dlatego jest tak bardzo ważna, że nasycy ciekawość i urabia finezyjnie interesujące intelekty, nie dlatego, że sztuce w kształtowaniu wytworności pokrewna i ze sztuką bywa jednym tchem wspominana nie bez uszczerbku dla własnej powagi, lecz dlatego, że jest nieodzowną preparacją, nieodzownym przygotowaniem dzielnego gospodarstwa i służącej gospodarstwu techniki, przygotowaniem obrony przed chorobami i zgonem przedwczesnym, obrony przed klęskami

społecznymi, a w szczególności przed klęską porażki w walce o istnienie w sposób godny istnienia”. W zacytowanym fragmencie Tadeusz Kotarbiński zrobił to, co dla niego tak charakterystyczne – połączył teorię z praktyką życia. Zaczęłam po tej lekturze trochę inaczej patrzeć na nagrodę i oceniane dzieła. Prace, które wpływają na konkurs, oprócz tego, że zapewne są ważne w swoich dyscyplinach i obszarach naukowych, dla nas wszystkich mają także takie znaczenie, jak opisał patron nagrody: umożliwiają nam istnienie w sposób godny. Na Uniwersytecie Łódzkim chcemy promować humanistykę w najlepszym wydaniu. Zależy nam na tym, aby humaniści, zwłaszcza młodzi, widzieli w swojej pracy i dziełach właśnie to wspaniałe przesłanie. I żeby chcieli swoje dzieła przedkładać do wyróżnienia nagrodą Kotarbińskiego.



Mistrz otwiera w tym samym tekście drugą perspektywę, pisząc: „Niepodobna okiełznać umyślnie nauki w jej polocie. Ma ona w sobie dynamikę pędu niepowstrzymanego. Stała się ona pasją, namiętnością człowieka, istoty o czole wyniosłym. I nie ma drogi powrotu do naiwności”. Chcemy wyróżnić badacza i jego dzieło z dziedziny humanistyki, jako reprezentujące naukę w najlepszym wydaniu, ale także chcemy promować postawę, coś wzniósłego i najlepszego w każdym z nas, a przecież praktycznego, wyrażającego się w życiu.

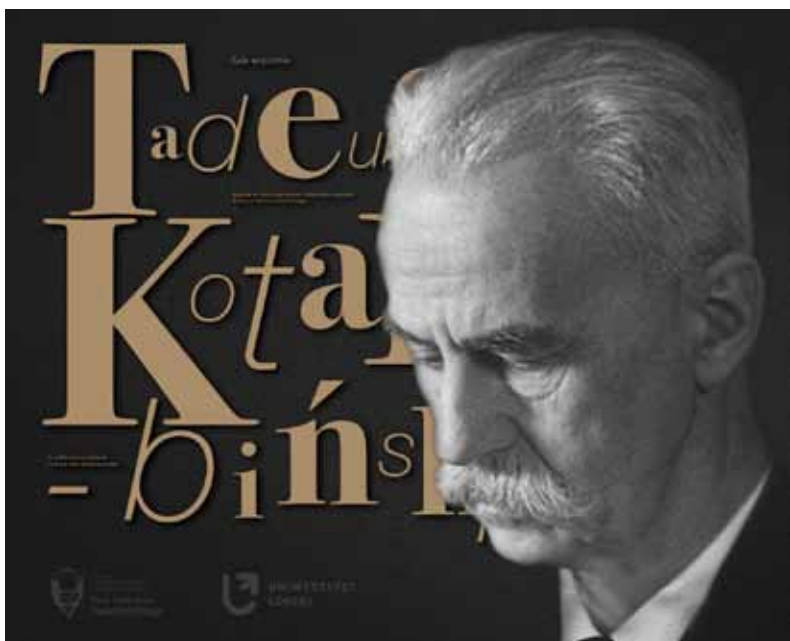
Nasza nagroda ma szlachetne przesłanie, a teraz jest tak dobrze rozpoznawalna, że popiera ją także otoczenie, w tym biznesowe. Właśnie tam znajdujemy jej sponsorów. Zapraszam wszystkich humanistów i przedstawicieli nauk społecznych do Łodzi na siódmy konkurs o nagrodę im. Tadeusza Kotarbińskiego, który niedługo ogłosimy.

## Nagroda Kotarbińskiego

Nagroda im. Pierwszego Rektora Uniwersytetu Łódzkiego Profesora Tadeusza Kotarbińskiego za wybitną pracę naukową z zakresu nauk humanistycznych to wyróżnienie rangi ogólnopolskiej. Uniwersytet Łódzki, gdzie narodziła się idea nagrody, zawsze konsekwentnie wspierał humanistykę, doceniając jej znaczenie we współczesnym świecie.

Patron nagrody, prof. Tadeusz Kotarbiński, był wybitnym filozofem, logikiem i etykiem, a także doskonałym pedagogiem. Człowiekiem głębokiej refleksji i autorem niezwykle trafnych, ponadczasowych myśli oraz, po prostu, porządnym człowiekiem. Przedstawicielem lwowsko-warszawskiej szkoły filozoficznej, który po II wojnie światowej przeniósł się do Łodzi, gdzie został jednym z założycieli Uniwersytetu Łódzkiego i jego pierwszym rektorem. Najbardziej znanym dziełem T. Kotarbińskiego jest „Traktat o dobrej robocie” poświęcony prakseologii, czyli teorii sprawnego działania.

Na sześć dotychczasowych konkursów nadesłano blisko trzysta sześćdziesiąt publikacji, których autorzy pracują w wiodących instytucjach naukowych w Polsce. Książki zgłaszane do konkursów przynależą do rozmaitych dyscyplin, wiążą się ze stosowaniem rozmaitych narzędzi badawczych i odmiennych metodologii. Stoją za nimi rozmaite wizje świata i człowieka. Ta zróżnicowana kolekcja prac ukazuje bogaty obraz polskiej humanistyki.



Nagrodę przyznaje Kapituła Konkursu, składająca się z naukowców z wiodących polskich instytucji naukowych. Każdego roku jury typuje do finału pięć najlepszych książek z takich obszarów jak filozofia, historia, psychologia, literaturoznawstwo czy filozofia prawa.

Dzieła te niejednokrotnie wpisują się w aktualny dyskurs naukowy, a często także społeczny.

O konkursie: [www.nagrodakotarbinskiego.uni.lodz.pl](http://www.nagrodakotarbinskiego.uni.lodz.pl);  
Bieżące informacje: <https://www.facebook.com/nagrodakat>

## ICM i Otwarta Nauka

Interdyscyplinarne Centrum Modelowania Matematycznego i Komputerowego Uniwersytetu Warszawskiego od lat jest animatorem otwartej nauki w Polsce i na arenie europejskiej. Placówka utrzymuje i rozwija infrastrukturę umożliwiającą realizację postulatów otwartej nauki, a także wymogów krajowych i międzynarodowych agencji finansujących badania, wynikających z założeń Planu S, którego celem jest wprowadzenie od początku bieżącego roku natychmiastowego otwartego dostępu do publikacji naukowych opisujących rezultaty badań finansowanych z publicznych lub niepublicznych grantów przyznanych przez krajowe, regionalne lub międzynarodowe instytucje finansujące. Serwis internetowy Otwarta Nauka informuje o najistotniejszych wydarzeniach w tym obszarze w Polsce, Europie i na świecie. Wykorzystując własną infrastrukturę oraz tworzone w ICM oprogramowanie, prowadzone są serwisy udostępniające największe w Polsce otwarte zasoby naukowe, takie jak: Biblioteka Nauki, w której ICM udostępnia już ponad 1100 polskich otwartych czasopism naukowych; Repozytorium CeON (to dawne Centrum Otwartej Nauki), z którego korzysta w celu udostępniania swoich prac ponad 12 tys. naukowców z całego kraju; Agregator CeON, stanowiący wspólny punkt dostępu do zasobów polskich otwartych repozytoriów; Repozytorium Otwartych Danych, służące udostępnianiu danych badawczych; Repozytorium Danych Społecznych i Macromolecular Xtallography Raw Data Repository.

Platforma wydawnicza Biblioteka Nauki pozwala polskim czasopismom naukowym na publikację w Internecie w modelu otwartego dostępu. ICM zawarło umowy dotyczące korzystania z platformy w modelu otwartego dostępu z blisko 1300 polskimi czasopismami. Pozwoli to już w momencie uruchomienia nowej wersji platformy wiosną tego roku na przekroczenie masy krytycznej ok. 400 tys. artykułów naukowych.

Publikacje naukowe są udostępniane w modelu otwartym również przez samych autorów. ICM utworzyło i prowadzi Repozytorium CeON, które pełni funkcję repozytorium krajowego. Mogą w nim umieszczać i udostępniać swoje prace (artykuły, książki, materiały konferencyjne, raporty czy rozprawy doktorskie) wszyscy polscy naukowcy. Pozwala to na realizację wymogów otwartego dostępu w tzw. modelu zielonej drogi (czyli właśnie poprzez udostępnianie publikacji w repozytoriach przez ich autorów), w przypadkach gdy wymaga tego instytucja finansująca (np. KE w programach ramowych). W Repozytorium CeON można też tworzyć kolekcje instytucjonalne.

ICM jest jednym z kluczowych partnerów serii projektów OpenAIRE, budujących infrastrukturę otwartej nauki w UE. Inicjatywa ta zapewni europejskim naukowcom realizację wymagań KE w zakresie otwartego dostępu do wyników badań przez nią finansowanych. Oprócz udostępnianych przez nią

publikacji i danych, tworzy ona graf powiązań między otwartymi obiektami badawczymi oraz pozwala na monitoring i automatyczne raportowanie realizacji obowiązku publikowania wyników projektów europejskich w otwartym dostępie. W jej ramach działają też 34 Krajowe Biura Otwartego Dostępu – ICM prowadzi polskie.

ICM rozwija także infrastrukturę dla publikacji danych badawczych. Repozytorium Otwartych Danych umożliwia polskim naukowcom udostępnianie danych badawczych w sposób zgodny ze światowymi standardami. Niedawno powstały też dwa repozytoria dziedzinowe: Repozytorium Danych Społecznych, prowadzone we współpracy z Instytutem Filozofii i Socjologii PAN, i Macromolecular Xtallography Raw Data Repository (dane krystalograficzne), prowadzone we współpracy z Uniwersytetem im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

ICM prowadzi serwis internetowy Agregator CeON, stanowiący wspólny punkt dostępu do zasobów polskich otwartych repozytoriów. Placówka organizuje też szkolenia, warsztaty i seminaria o różnych aspektach otwartej nauki. W roku 2020 mimo trudnych warunków przeprowadzono 20 szkoleń, w których wzięło udział prawie tysiąc uczestników.

Przedstawiciele Centrum biorą udział w pracach High-Level Group on Big Deals oraz Read & Publish Study Steering Committee Europejskiego Stowarzyszenia Uniwersytetów (EUA) oraz Working Party on Innovation and Technology Policy, National Points of Reference on Scientific Information, Council for National Open Science Coordination i komitetu doradczego UNESCO ds. otwartej nauki. Pracownicy ICM opublikowali szereg książek, raportów i artykułów, dotyczących otwartego dostępu, m.in.: Otwarty dostęp w instytucjach naukowych, Analysis of Economic Issues Related to Open Access to Scientific Publications, Towards Open Research Data in Poland, Transformative Agreements: Overview, Case Studies, and Legal Analysis. Stanowią one źródło informacji na temat otwartego dostępu, otwartych danych i polityki otwartości w Polsce. Raporty ICM dostępne są pod adresem <https://pon.edu.pl/nasze-publikacje/>.

*Wojtek Sylwestrzak, Jakub Szprot, Marek Michalewicz, ICM*



Centrum Technologii (serwerownia) ICM

# Heurystyki, z którymi się zmagamy

Trening poznawczy, praca zespołowa i ramy instytucjonalne sprawiają, że sposób myślenia naukowca musi wydawać się laikowi obcy i dziwny. Tym, co może budzić szczególne zaskoczenie, jest stosunek naukowców do faktów.

Chcąc zrozumieć specyfikę myślenia naukowego, warto skupić się nie tyle na tym, jak myśli naukowiec, ile na warunkach umożliwiających mu myślenie w określony sposób. Ludzie mają szereg tendencji i dyspozycji poznawczych, a uprawianie nauki wymaga ograniczenia ich wpływu na nasze działanie. W nauce osiąga się to nie tylko przez trening, ale również poprzez ustanowienie odpowiednich ram organizacyjnych i instytucjonalnych.

Nasz biologiczny system poznawczy ma szereg ograniczeń. Paradoks hazardzisty, zjawisko kotwiczenia, efekt sformułowania, efekt Dunninga-Krugera, błąd konfirmacji... to tylko kilka zniekształceń poznawczych, które zostały dobrze opisane i przebadane przez psychologię poznawczą. Mamy trudność ze zrozumieniem takich abstrakcyjnych zagadnień, jak statystyka i prawdopodobieństwo. Spaczenie konfirmacyjne utrudnia nam projektowanie eksperymentów. Często dostrzegamy wzorce tam, gdzie ich nie ma, a nie widzimy ich tam, gdzie faktycznie istnieją.

Jest to koszt, jaki ponosimy za możliwość korzystania z rozmaitych heurystyk. Heurystyki to uproszczone, dalekie od niezawodności, ale na ogół się sprawdzają. Przyspieszają podejmowanie decyzji i realizację wielu zadań. Problem z heurystykami polega na tym, że nie możemy ich ot tak zawiesić. Tymczasem, chcąc podejmować lepsze decyzje i znajdować lepsze rozwiązania procesu, musimy nadzorować stosowanie heurystyk i czasami działać wbrew nim. Oznacza to, że walczymy z naszym biologicznym wyposażeniem. Jak trudne jest to zadanie? Dobrą ilustracją może być problem Monty'ego Halla.

Problem wziął nazwę od imienia i nazwiska gospodarza amerykańskiego teleturnieju, który w Polsce był znany pod nazwą *Idź na całość*. Podczas turnieju gracz był stawiany przed trzema bramkami: jedna skrywała cenną nagrodę, a dwie pozostałe kozy (w polskiej wersji zastąpione przez maskotki). Gracz miał wybrać jedną bramkę, po czym gospodarz odsłaniał jedną z dwóch niewybranych bramek, zawsze taką, która skrywała kozę. Następnie pytał gracza, czy chce zmienić wybór na niewybraną, zasłoniętą bramkę. Pytanie: czy warto zmienić wybór? Intuicyjna odpowiedź, której udziela większość ludzi, jest taka, że nie ma to znaczenia, ponieważ szansa trafienia wynosi 50% w obu przypadkach. Większość z nas nie zmienia bramki, gdyż kierujemy się niechęcią do straty. Jest to błędna strategia. Zmieniając bramkę

mamy większe prawdopodobieństwo wygranej: szansa, że nagroda skrywa się za bramką, którą oferuje gospodarz, wynosi dwie trzecie. Prawdopodobieństwo się „kumuluje”. Faktycznie, zmieniając bramkę, wybieramy między drzwiami, na które wskazaliśmy, a dwoma pozostałymi (nie ma znaczenia, że znamy zawartość jednych z nich). Wystarczy wyobrazić sobie, że gospodarz nigdy nie odsłonił bramki i po prostu zaproponował nam zamianę wybranych drzwi na pozostałe. Albo wyobrazić sobie, że wybieramy jedne drzwi spośród stu, po czym gospodarz otwiera 98 drzwi, za którymi nie ma nagrody i proponuje nam zmianę.

## Zwalczyć zdrowy rozsądek

Problem spopularyzowała Marilyn vos Savant w 1990 roku. Prowadziła rubrykę w „Parade Magazine”. Gdy nadesłano do niej problem Monty'ego Halla, udzieliła poprawnej odpowiedzi i wyjaśniła, dlaczego należy zmienić drzwi. Reakcja czytelników była zaskakująca. Vos Savant została zasypana krytykami. Tylko 8% czytelników, którzy nie byli naukowcami, zgodziło się z nią. Publikując kolejne artykuły z dalszymi wyjaśnieniami była w stanie podnieść tę wartość do 56%. Jeśli chodzi o akademików, to tylko 36% spośród nich zgadzało się z nią; po serii artykułów wartość ta wzrosła do 71%. Często mówi się o tym, że rozwiązanie problemu jest oczywiste, gdy już znamy odpowiedź. W niektórych przypadkach to nieprawda, czego przykładem jest problem Monty'ego Halla. Jest on do tego stopnia kontrintuicyjny, że wielu ludzi nie zgadza się z odpowiedzią lub nie rozumie samego problemu, nawet jeśli przedłożyć im wyjaśnienie.

Nauka obfituje w kontrintuicyjne koncepcje, które wymagają zwalczania zdrowego rozsądku. Ale bazuje też na kontrintuicyjnych metodach rozwiązywania problemów. Nie chodzi tylko o to, że są one kontrintuicyjne dla laików: idą one pod prąd heurystyk, którymi się kierujemy. Karl Popper już dawno temu zwrócił uwagę, że szybciej rozwiążemy problem, szukając danych i projektując doświadczenia, które mogą obalić nasze przypuszczenia, a nie takich, które będą w stanie je wyłącznie potwierdzić. Popper trafnie scharakteryzował pewną postawę, która musi wyróżniać naukowca. Musimy zmagać się ze spaczeniem konfirmacyjnym.

Chcąc zrozumieć te zmagania posłużmy się eksperymentem 2-4-6 pomysłu Petera Wasona. Eksperymentator infor-

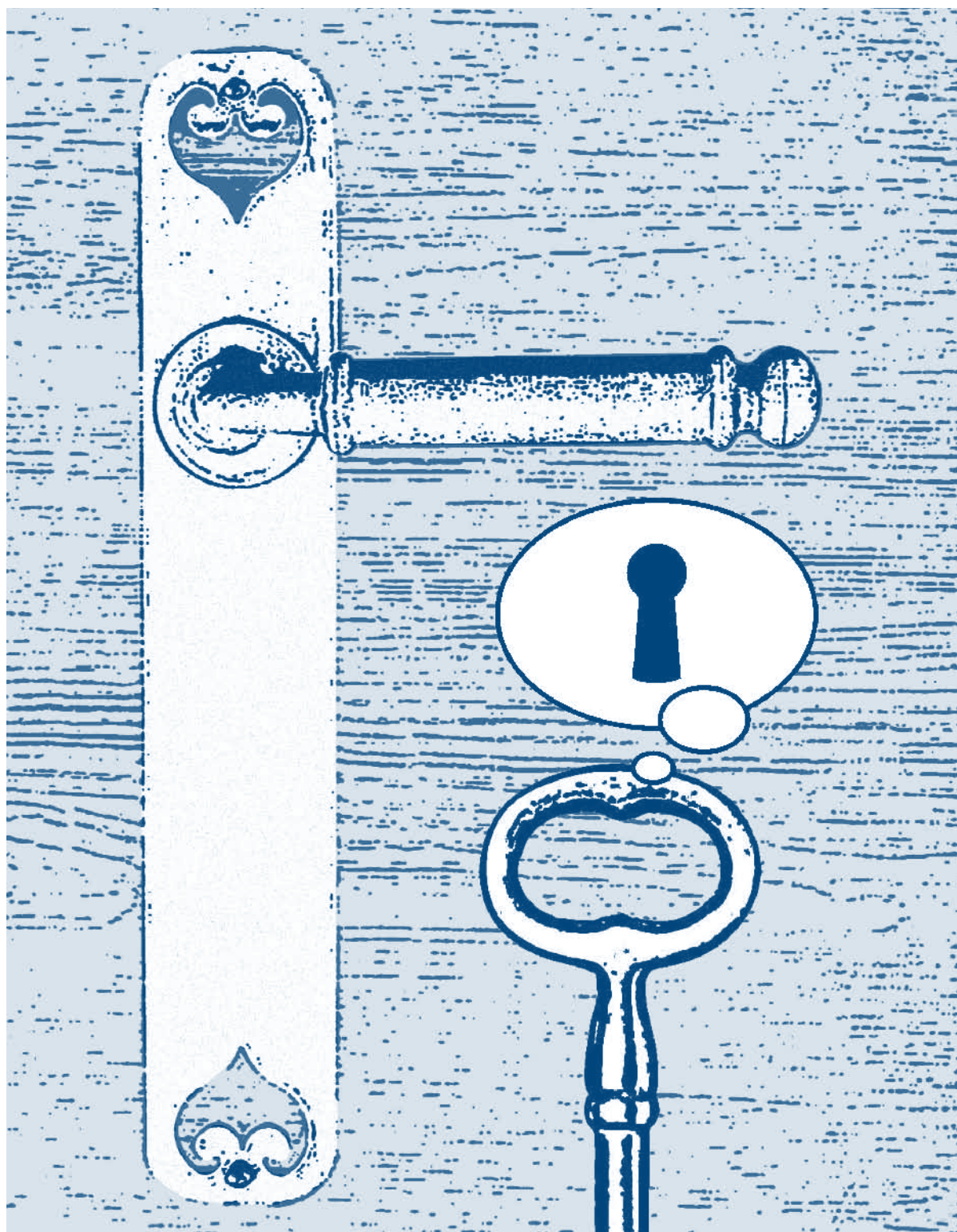
muje badaną osobę, że myśli o pewnej regule wyznaczania ciągu trzech liczb. Podaje jako przykład ciąg 2-4-6. Badany ma odgadnąć regułę. Może proponować inne trzyliczbowe ciągi, a eksperymentator będzie odpowiadał, czy są one zgodne z regułą czy nie. W eksperymencie nie chodzi o to, jaka jest reguła (prawidłowa odpowiedź to dowolny ciąg rosnących liczb), ale jakie testowe ciągi zaproponuje badany. W przeważającej większości ludzie podają ciągi zgodne z ich przypuszczeniami. Tymczasem, chcąc sprawnie rozwiązać problem, powinni postępować odwrotnie. Jeśli przypuszczam, że reguła brzmi „Każda kolejna liczba jest większa od poprzedniej o dwa”, to chcąc się upewnić, że mam rację, powinienem podać ciąg sprzeczny z hipotezą (np. 1-2-3), a nie taki, który pasuje do niej (np. 10-12-14). Testując musimy się przełamać i podać ciąg, który przeczy naszym przypuszczeniom.

Naukowcy są wtórnie socjalizowani do tego, by zwalczać w sobie takie odruchy. Mamy zadawać sobie trudne pytania,

sprawdzać poprawność naszych interpretacji, szukać konkurencyjnych wyjaśnień danych, które posiadamy. Ale chodzi nie tylko o trening. Jesteśmy do tego zmuszani przez system wzajemnej oceny, który sprawia, że deficyty naszego rozumowania – nadinterpretacje, skróty myślowe, ewidentne błędy logiczne – zostaną wytknięte przez innych badaczy.

### W grupie bywamy mądrzejsi

W walce z własnymi ograniczeniami (i chcąc zwiększyć szansę na sukces naukowy) często zdajemy się na pracę zespołową. Zanim wyślemy artykuł do recenzji i wniosek o grant do oceny, dajemy go innym do przeczytania. Ale również pracujemy w grupach. I badania pokazują, że zespołowe rozwiązywanie problemów (nie tylko) naukowych daje wyraźne korzyści. W symulowanych eksperymentach pary radzą sobie zdecydowanie lepiej niż pojedyncze osoby: znajdują prawidłowe



Rys. Sławomir Makal

rozwiązanie szybciej i przy mniejszej ilości prób. Kooperacja wymusza na osobach pracujących w parach jasne artykułowanie założeń, przypuszczeń, przesłanek.

Ale nie każda praca grupowa ułatwia rozwiązywanie problemów. W grupie bywamy mądrzejsi, ale nie jest to regułą. Trzeba wiedzieć, jak zaprojektować interakcje, i wiedzieć, czego oczekujemy od współpracowników. Najczęściej lepiej jest poprosić o rozwiązanie różne osoby, które nie miałyby ze sobą styczności, niż grupę osób. Wiemy to między innymi z badań nad mądrością tłumu i eksperymentów z rynkami predykcyjnymi. Problemem jest kotwiczenie. Gdy dokonujemy szacunku, oceny, formułujemy pomysł, kierujemy się wcześniej posiadanymi informacjami. Kotwice działają również w przypadku rozwiązywania problemów: kierujemy się analogiami, sugerujemy pomysłami innych etc. Gdy mamy do czynienia z problemem słabo zdefiniowanym, czyli takim, w przypadku którego nie ma znanych optymalnych metod rozwiązywania (do tej kategorii zalicza się przewidywanie pogody, przebiegu procesów społeczno-gospodarczych, szacowanie, rozwiązywanie nowych problemów poznawczych i technicznych, gdy nie wiadomo jeszcze, co jest istotne, a co nie), duża różnorodność pomysłów jest pożyteczna. Kotwice są szkodliwe, gdyż zmniejszają różnorodność propozycji, które formułuje grupa. Badania nad mądrością tłumu dostarczają ciekawej ilustracji.

Załóżmy, że prosimy grupę ludzi, którzy nie mają ze sobą styczności, by obstawiali, niczym w zakładach sportowych, jakie miejsca w najbliższych wyborach zajmą kandydaci lub partie. Jeśli zagregować setki takich niezależnych zakładów, powinniśmy być w stanie dość precyzyjnie przewidzieć wynik. W tej konkretnej dziedzinie mądrość tłumu sprawdza się co najmniej tak dobrze, jak badania ankietowe. Jednak skuteczność tej procedury podkopać mogą rozmaite informacje, które zakotwiczą szacunki i przewidywania. Na przykład lepiej jest, gdy osoby formułujące zakłady nie znają wyników badań przedwyborczych, nawet jeśli te są bardzo trafne. Przytoczmy wyniki prostego eksperymentu. W pierwszym kroku poproszono uczestników o dokonanie prostego oszacowania. Następnie badanym przekazywano informację zwrotną na temat średniej dla całej grupy, po czym wszyscy badani mogli skorygować swoje szacunki. Procedurę powtarzano kilka razy. W teorii wyglądało to tak, jakby każdy z uczestników mógł podpiąć się pod mądrość własnej grupy. W praktyce zniknęła różnorodność. Po każdym cyklu grupa stawała się coraz bardziej zgodna, ale zagregowane szacunki były coraz mniej trafne; pierwsza średnia podana do wiadomości grupy była najtrafniejsza. Efekt mądrości tłumu został zastąpiony konsensem grupowym.

### Nie wystarczy zamknąć grupę ludzi w pokoju

Skupmy się na innych procedurach, które teoretycznie mają umożliwiać zbiorowe rozwiązywanie problemów. Jedną z nich jest burza mózgow. Chodzi o procedurę, w której grupa ludzi najpierw generuje rozmaite pomysły, a dopiero potem przechodzi do ich krytyki i selekcji. Burze mózgow są popularne, niemal wszędzie. Problem jednak w tym, że nie są szczególnie skuteczne, co wykazano w toku rozmaitych eksperymentów. Liczba pomysłów zgłaszanych podczas burzy mózgow i ich różnorodność są mniejsze niż wtedy, gdy zbierzemy pomysły od członków zespołu niezależnie, uniemożliwiając im konsultowanie się ze sobą. Wystarczy zachęcić uczestników burzy mózgu do spisania pomysłów przed spotkaniem, a w grupie skupić się na krytyce i selekcji, by uzyskać lepsze rezultaty.

Nie wystarczy zamknąć grupę ludzi w pokoju, by rozwiązała problem. Złe zaprojektowany proces kolektywnego rozwiązywania problemów może doprowadzić do sytuacji, którą Irving Janis określał syndromem myślenia grupowego. Wystę-

puje on w szczególności w homogenicznych grupach i bierze się z tego, że członkowie grupy wzajemnie utwierdzają się w błędnych przekonaniach, odrzucając część informacji jako niepasującą do ich przekonań i zamierzeń. Ryzyko wystąpienia tego syndromu możemy zmniejszyć nie tylko podnosząc różnorodność grupy, ale i wprowadzając pewne zabezpieczenia, na przykład przydzielając komuś rolę adwokata diabła.

Co to ma wspólnego z myśleniem naukowym? Współczesna nauka to system instytucji (czyli formalnych i nieformalnych reguł działania), który ma pomóc w walce z naszymi ograniczeniami poznawczymi. Dzięki niemu poziom krytycyzmu jednostek jest podnoszony. Projektując badanie myślimy o tym, jak przekonamy oceniających. Przygotowując artykuł nie tylko staramy się przekonać recenzentów do tezy, ale i staramy się ujawnić wszelkie szczegóły, które mają w ogóle umożliwić im dokonanie oceny. Sekcje metodologiczne mają sprawiać wrażenie, że teoretycznie każdy badacz z naszej dziedziny, dysponując tymi samymi zasobami i niezbędnym czasem, powinien być w stanie powtórzyć nasze badania i sprawdzić dane. Zdajemy się na krytykę członków naszych zespołów. Praca zespołowa mieszana jest z długimi okresami pracy indywidualnej, co pomaga uniknąć kotwiczenia. Poza tym badacze aktywnie poszukują sposobów, by odróżnić się na tle stanu badań, efektem czego jest ogromna różnorodność metod, technik, problemów, a niekiedy teorii. Wreszcie, różne dyscypliny w różny sposób mieszają kooperację i konkurencję: nie można osiągnąć sukcesu w nauce bez wsparcia współbadaczy przyjmujących rolę mistrzów, współpracowników lub wykonawców, ostatecznie jednak sukces przypisywany jest w większym stopniu jednostkom niż zespołom.

### Obcy i dziwny sposób myślenia

Trening poznawczy, praca zespołowa i ramy instytucjonalne sprawiają, że sposób myślenia naukowca musi wydawać się laikowi obcy i dziwny. Tym, co może budzić szczególne zaskoczenie, jest stosunek naukowców do faktów. W szkołach przekonywani jesteśmy, że naukowcy produkują fakty. To prawda, ale są oni również specjalistami w demontowaniu faktów. W naukach eksperymentalnych i w wielu innych obszarach empirycznych następuje nieustanna rewizja ustaleń. Wiemy, że koncepcje, którymi się posługujemy, mogą okazać się zbyteczne lub najzwyczajniej błędne za kilka lat. Owszem, istnieją w polu wiedzy punkty, których jesteśmy skłonni bardziej bronić niż innych. Jednak historia uczy, że nie powinniśmy przywiązywać się do tego, jak obecnie wyjaśniamy świat. Kryzys replikacji, mający miejsce w wielu dyscyplinach naukowych z psychologią na czele, dobitnie to nam uświadamia.

Naukowcy w szczególności nie przywiązują się do wstępnych wyników badań. I tu ujawnia się jedno z podstawowych nieporozumień wokół tego, co może i jak działa nauka. Media mogą donosić o najnowszych odkryciach, ale naukowcy wolą wstrzymać się z ocenami. Czekają na pojawienie się niezależnych badań dostarczających zbieżne wyniki. Czy jesteśmy w stanie powtórzyć ciekawy wynik, posługując się taką samą procedurą? Czy inne zespoły będą w stanie replikować wynik? Czy taki sam wynik da się uzyskać dzięki innej procedurze? To kluczowe pytania, które zadajemy sobie, zastanawiając się, czy mamy do czynienia z niezależnym od naszych działań faktem, czy jedynie artefaktem. Są to też pytania, które laicy zadają sobie bardzo rzadko.

*Dr hab. Łukasz Afeltowicz, prof. AGH, badacz społeczny, Wydział Humanistyczny AGH w Krakowie. Zajmuje się społecznymi studiami nad nauką i technologią oraz socjologią środowiskową.*

Radosław Kazibut

# Inne linie frontu w „wojnie o naukę”

Osiągnięcia nauki, autorytet naukowców, a także język nauki mogą zostać wykorzystane do tworzenia i zarządzania opinią społeczną, budowania wizerunku i prestiżu. Świat polityki i marketingu politycznego już dawno ma tego świadomość. Think tanki i grona eksperckie podpowiadają rządowi, jakie decyzje i działania należy podejmować, zarządzając kryzysami.

Postęp naukowy zawsze zmieniał życie na Ziemi. Optymiści mówią, że nauka jest dobrodziejstwem ludzkości. Nie tylko systematycznie przesuwają granice naszego poznania, zaspokajając naturalnie daną nam ciekawość świata, ale także sprawia, że wzrasta jakość życia człowieka. Sukces nauki zdemitologizował siły przyrody i zdecydował o tym, że w coraz większym stopniu panujemy nad otaczającym nas światem. Z drugiej strony pesymiści twierdzą, że triumf nauki został okupiony postępującą degradacją Ziemi i alienacją człowieka od natury. Ważnym alarmującym głosem filozofów i ekologów towarzyszy wrzawa denialistów paradygmatu „naukowego rozumu”.

Nowożytny styl poznania naukowego, zgodnie z deklaracjami luminarzy nauki, kształtowany był w opozycji do myślenia magicznego, przesądów i irracjonalizmu. Jednocześnie w świetle współczesnych badań nad dziejami przyrodoznawstwa wiemy, że kryterium naukowości, a ściślej mówiąc zasady uznawania przez społeczność badaczy ogłaszanych odkryć za fakty naukowe, ulegało zmianie. Powstało wiele rozpraw, w których omawiano kryterium, na mocy którego można odróżnić wiedzę naukową od pseudonaukowej. Wielu uczonych „bije na trwogę”: ludzkość coraz częściej odwraca się od nauki i naukowców, obdarzając zaufaniem hochsztaplerów, siewców wątpliwości i wierząc fałszywym autorytetom. Pomimo niewątpliwego sukcesu nauki, współczesny człowiek pogrąża się w świecie irracjonalnych urojeń.

W naukach przyrodniczych wiedza jest uznawana za wartościową poznawczo, gdy orzekną to eksperci. W ścisłym reżimie metodologicznym, często specyficznym dla poszczególnych dyscyplin przyrodoznawstwa, dokonuje się oceny rezultatów badawczych, w świetle wcześniej zaakceptowanej wiedzy teoretycznej i rezultatów prac eksperymentalnych. Ostatnim aktem procesu jest publikacja osiągniętych wyników w czasopiśmie naukowym. Fakt ten w pewnym sensie zwalnia kolejnych badaczy, którzy chcą w swoich pracach wykorzystać zaakceptowane wcześniej wyniki, z obowiązku samodzielnego powtarzania i sprawdzania tych rezultatów. Autorytet społeczności naukowej stanowi gwarancję, że wiedza przedstawiona w publikacji naukowej spełnia kryteria naukowości i jest doniosła

poznawczo. Uchybienia w ocenie wartości naukowej danego faktu miały i będą nadal mieć miejsce w życiu nauki. Znane są przykłady badań, które skrytykowano i odrzucono, a które z czasem zostały „zrehabilitowane” przez społeczność naukową. Zdarzało się też, że wyniki ogłoszone w renomowanych czasopiśmie naukowych w świetle kolejnych badań okazywały się nie tylko nieprawdziwe, lecz przede wszystkim sfalszowane przez autorów. Przykładem jest niesławny artykuł Andrew Wakefielda i jego współpracowników opublikowany w „The Lancet”. Dowodzone w nim, że szczepionka MMR wywołuje autyzm. Szybko wykazano, że uzyskane pod kierownictwem Wakefielda wyniki badań są nie do przyjęcia. Jednak „mleko się rozlało” i skutecznie posiano wątpliwości wśród troszczących się o zdrowie i przyszłość swoich dzieci rodziców, a autor artykułu stał się „guru” ruchu antyszczepionkowego.

Pomyłki, wielkie sukcesy naukowe oraz kontrowersje i spory są esencją nauki. Środowisko naukowe wyposażone jest w mechanizmy samooceny i samooczyszczania. Jest to między innymi metodologiczna zasada intersubiektywnej sprawdzalności i komunikowalności wiedzy naukowej, a także procedury oceny i recenzji dorobku badawczego. Rzetelna ekspercka recenzja naukowa jest ważnym narzędziem służącym do rozwoju nauki. Gdy jej zabrakło, wybuchła najgłośniejsza w XX wieku „wojna o naukę”.

## Sokal, wojna o naukę, dwie i więcej kultur

„Wojna o naukę” (science wars) to dyskusja, która rozpalila społeczność naukową w połowie lat dziewięćdziesiątych. Zapoczątkowana była mistyfikacją Alana Sokala, który opublikował w uznanych humanistycznych czasopiśmie – „Lingua Franca” i „Social Text” – artykuły, zgodnie z deklaracją autora, pozbawione sensu. Dopuszczenie przez recenzentów do publikacji obu tekstów, w ocenie Sokala, miało dowodzić, że współczesna postmodernistyczna humanistyka jest szkodliwą działalnością przeczącą racjonalności i etosowi nauki, a konstruktywizm społeczny jest niedorzeczny i pełen sprzeczności. W książce *Modne bzdury* Sokal wraz z Jeanem Bricmontem kontynuował krytykę humanistyki. Autorzy pisali: „Naszym celem jest wniesie-



Fot. Sławomir Małak

nie ograniczonego, lecz oryginalnego wkładu do krytyki dość mgliście określonego *Zeitgeistu*, który nazywamy «postmodernizmem». Nie mam pretensji do przedstawienia ogólnej analizy myśli postmodernistycznej; zamiast tego chcemy zwrócić uwagę na stosunkowo mało znany aspekt tego kierunku w filozofii, jakim jest nadużywanie pojęć i terminów zaczerpniętych z matematyki i fizyki”.

Zderzyły się dwa światy, które Charles P. Snow w pracy *The Two Cultures and the Scientific Revolution* zidentyfikował jako dwie kultury: „literatów” i „naukowców”. „Literaci” widzieli w „naukowcach” scjentyistycznych optymistów bezkrytycznie zapatrzonych w sukces nauki, a „naukowcy” w „literatach” nihilistycznych egzystencjalistów, którzy pesymistycznie wróżą koniec ludzkości. W opinii Snowa spór dotyczył oceny etycznych konsekwencji postępu naukowego i technologicznego. „Literaci” to konserwatyści przywiązani do prawicowego światopoglądu, a „naukowcy” to lewicowi rewolucyjniści widzący w postępie naukowym drogę do emancypacji społeczeństw.

Po „sprawie Sokala” linie sporu o naukę stały się znacznie bardziej skomplikowane. Prosty podział prawica/lewica się zdezaktualizował. Otworzyły się nowe pola dyskursu. Tradycyjnie spierali się przyrodnicy z humanistami, ale również pozytywiści z konstruktywistami, lewica akademicka z prawicą akademicką, eksperci z laikami, scjentyści z antyscjentyistami.

Spór wykraczał poza granice uniwersyteckiej debaty. Zawsze miał wymiar światopoglądowy, ale w znacznie większym stopniu stał się złożony politycznie. J.R. Brown w książce *Who Rules in Science* stawia tezę, że po „sprawie Sokala”, aby zrozumieć pola debaty w „wojnie o naukę”, nie należy pytać o poglądy polityczne adwersarzy, tylko o to, co jej uczestnicy nazywają nauką. Brown wyróżnił postawę ortodoksyjną, w której przyjmuje się stanowisko realizmu naukowego. W opozycji stoi heterodoksyjne podejście zakładające epistemiczne ujęcie „prawdy”. Z tej perspektywy polityczną lewicę przeciwstawiającą się „ortodoksji w nauce” stanowią społeczni konstruktywiści i postmoderniści. Lewica sprzyjająca ortodoksyjnemu myśleniu o nauce to między innymi: Alan Sokal, Noam Chomsky, przedstawiciele Koła Wiedeńskiego. Prawica heterodoksyjna to fundamentaliści religijni, kreacjoniści i antydarwiniści. Ortodoksyjną prawicę stanowią socjobiologowie poszukujący korelacji pomiędzy rasą i płcią a inteligencją oraz darwiniści społeczni i eugenicy.

### Nowe fronty w wojnie o naukę: politycy, celebryci i „niewinni złodzieje”

„Wojna o naukę” przeszła w kolejną fazę. Niewątpliwie debata ta pokazała, że wiedza naukowa może być wykorzystywana do uzasadniania światopoglądów i postaw politycznych. Wycho-  
dząc od sporu epistemologiczno-metodologicznego powadzo-

nego w gronie ekspertów, przerodziła się w kontrowersję na temat akceptacji i możliwość zrozumienia wiedzy naukowej przez laików.

W świecie liberalno-demokratycznego porządku każdy ma dostęp do wiedzy i informacji. W niespotykanym dotąd stopniu naukowcy i liczni pasjonaci nauki, wykorzystując współczesne technologie informacyjne, popularyzują wiedzę naukową. Jednakże w postnowoczesnym świecie Lemowska bomba megabitowa jest nie tylko wielkim zbiorem ważnych informacji, ale również rezerwuarem półprawd, fałszu, manipulacji i siania wątpliwości. Kto jest bohaterem pierwszych stron gazet i portali internetowych? Czy głos przebija się do szerokiej opinii publicznej? W pierwszej kolejności są to tak zwane osoby znane i lubiane zwane celebrytami, ludzie show biznesu, a także politycy. Trzeba oddać sprawiedliwość, że „ludzie nauki”, heroicznie walczący o dotarcie do szerokiej społeczności, podejmują się trudnego zadania tłumaczenia zawiłości współczesnej nauki. Jednak „demokracja Internetu” to zasięg postu i liczba „lajków”, a później wiedza merytoryczna. Z pewną przesadą stwierdź, że w „globalnej wiosce” opinia np. astrofizyka Neila deGrasse Tysona „waży” tyle samo co Madonny. Zatem kto jest większym autorytetem?

Po „sprawie Sokala” nasuwa się de facto dobrze rozpoznany wniosek: osiągnięcia nauki, autorytet naukowców, a także język nauki, mogą zostać wykorzystane do tworzenia i zarządzania opinią społeczną, budowania wizerunku i prestiżu. Świat polityki i marketingu politycznego już dawno ma tego świadomość. Think tanki i grona eksperckie podpowiadają rządowi, jakie decyzje i działania należy podejmować, zarządzając kryzysami. Po raz kolejny autorytet nauki pracuje dla dobra ludzkości. Jednak kto bezpośrednio komunikuje się z obywatelami za pomocą komunikatorów społecznościowych, np. Tweetera? Nie naukowcy-eksperti, lecz politycy. Ważnym elementem wizerunku polityka jest wzbudzenie zaufania. W tym kontekście dobrze sprawdza się zręczność operowania językiem współczesnej nauki i umiejętne wykorzystywanie autorytetu nauki na rzecz poparcia poglądów politycznych. To otwiera nowy front „wojny o naukę”, którym jest niewłaściwe używanie języka nauki i wiedzy naukowej w debacie publicznej. Pół biedy, kiedy prominentny polityk opowie nam o tym: „jak ludzie pierwotni polowali na dinozaury” lub stwierdzi, że „wszystkie E-dodatki do żywności nie mają nic wspólnego z naturalnymi substancjami”. Przecież ignorancja i pomyłka to rzecz ludzka, świat od tego się nie zawali. Jednak w sytuacji, kiedy polityk „przebrany” w autorytet nauki tweetuje: „Gdzie to globalne ocieplenie?”, sprawa przestaje być banalną wpadką. W takim przypadku głos polityka bardzo silnie oddziałuje na opinie publiczną.

Kryzys ekologiczny, globalne głęski głodu i ograniczenia w dostępie do wody pitnej, konflikty zbrojne, zagrożenia pandemiczne itd. powodują, że politycy muszą podejmować niejednokrotnie ryzykowne i niepopularne decyzje. Z tego też względu muszą rozstrzygać na podstawie rzetelnej wiedzy naukowej. Jednocześnie współczesna nauka charakteryzuje się tym, że konkurują w niej różne modele teoretyczne. Wykorzystywane są one do projektowania prognoz zmian w różnych nieporównywalnych, ale ściśle ze sobą powiązanych, polach: ekosystemie przyrodniczym, systemie społecznym, rynkach ekonomicznych, obszarze populacji i migracji człowieka. Połączone, tworzą globalną siatkę współzależności, której analiza wymaga zgromadzenia ogromnej ilości danych. Jednocześnie ta ogromna mechanika korelacji jest bardzo niestabilna i podlega właściwie ciągłej zmianie. Dlatego też naukowcy poruszają się w niej bardzo ostrożnie. Formułują hipotezy, mając świadomość szeregu założeń metodologicznych, które wpływają na otrzymane przez nich rezultaty badawcze.

Współczesny świat to szereg palących społecznie problemów, które rozgrywają się na styku polityki i nauki. Aktualnym tematem są szczepienia, ale także dla przykładu ochrona zdrowia publicznego czy polityka społeczna. Populizm, wykorzystywanie niewiedzy, sianie wątpliwości, zarządzanie strachem obywateli jest niestety elementem gry politycznej. Dlatego też polityczna manipulacja za pomocą języka nauki musi być piętnowana.

Następny front „wojny o naukę” otwierają celebryci, którzy wypowiadają się w kwestiach naukowych i przywracają wiarę w „myślenie magiczne”. Słyszymy głosy znanych i lubianych: „w szpitalach leżą statystyki”, „kiedyś gluten miał naście chromosomów, a dziś ponad pięćdziesiąt”. Ponownie ignorancja, brak wiedzy i wiele innych ludzkich słabości. Być może jest to sianie niepewności, ale w efekcie podważanie głosu ekspertów. Z drugiej strony można wskazać celebrytów, którzy są entuzjastami homeopatii, „czerwonej nitki na nadgarstku” i kościoła scjentologicznego. Przykładów można podawać wiele. Wszystkie można sprowadzić do wspólnego mianownika: negowania świata racjonalizmu naukowego i zastępowania go nie tylko pseudonauką, ale pseudoduchowością. Z perspektywy laika, który oczekuje od eksperta jednoznacznej odpowiedzi, opinie naukowców odbierane są jako niustannie się zmieniające. Otwiera to pole do podsycania niepewności i wprowadzania do dyskursu publicznego pseudonaukowych narracji. W pseudonaukowych koncepcjach nie respektuje się faktów i metodologicznych ograniczeń. Z tego względu można je dowolnie przekształcać i dopasowywać – tak jak horoskop, który niezależnie od okoliczności zawsze się spełnia. Dają odbiorcy poczucie koherentności rysowanego w nich obrazu świata.

Ostatni nowy front „wojny o naukę”, na który chcę zwrócić uwagę to świat szarlatanów obiecujących cudowne kuracje, ozdrowienie ciała i ducha. Jest to arena wszystkich możliwych sposobów wypaczania terminów naukowych. Wymienić można: medytację, w wyniku której widzimy kwanty, przywołaną powyżej homeopatię i ukryte terapie. Świat ten wypełniają nie tylko teorie spiskowe, ale także prastare i niedoceniane techniki uzdrawiające, marginalizowane przez „krótkowzrocznych” uczonych oddziaływania fizyczne, które przenikają świat niezwykłą energią. Wszystko jest cyniczną grą i dawaniem nadziei tam, gdzie naukowa medycyna stawia sprawę wprost: nie ma nadziei. Szarlatani negują wartość nauki, sugerując korupcję i spisek naukowców, ale tworzą swoje teorie, zawłaszczając język nauki na potrzeby swoich „biznesów”. Jak szkodliwa i etycznie podła jest to działalność, nie ma potrzeby argumentować.

### To nie są światy równoległe

Popularna książka Łukasza Lamży *Światy równoległe* opowiada o najbardziej rozpowszechnionych współcześnie pseudonaukowych ideach. Jej tytuł sugeruje, że pseudonauka umieszczona jest w świecie równoległym do naszego. Pseudonauka to twór nie z tego świata. Jest odmiennym stanem umysłu, trwającym poza nawiasem racjonalnego świata. Tak jednak nie jest. Pseudonauka jest częścią naszego świata. Z jednej strony wywołuje drwinę, tak jak „płaskoziemcy”, a z drugiej czerpie z osiągnięć nauki i filozofii nauki, np. „antyszczepionkowcy” i „kreacjoniści”. Te „tuzy” pseudonauki są relatywnie łatwo rozpoznawalne. Znacznie bardziej niebezpieczna jest pseudonauka „pełzająca”, krzewiona przez ignorantów szukających poklasku i uznania w świecie, w którym prawdziwość opinii wynika z tego, że „jest to moja opinia i mam do niej prawo”. To przekonanie aktualnie napędza najgroźniejszy atak na naukę.

*Dr hab. Radosław Kazibut, prof. UAM, Zakład Filozofii Nauki i Techniki, Wydział Filozoficzny Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu*

# Filozofia (pograniczny) nauki

Pseudonauka nie jest odgradzona linią demarkacyjną od bezpiecznego obszaru nauki. Uwarunkowania naukometryczne sprzyjają powstawaniu działalności pseudonaukowej w pozornie „porządnym” miejscach. Ostatnim zabezpieczeniem znów okazuje się etos uczonego (czyli sfera indywidualnych decyzji). Dziś, w dobie osłabienia etosu, preferowanie wskaźników naukometrycznych szczególnie silnie powinno prowadzić do erodowania nauki.

Pogranicza nauki, obszary, w których metoda naukowa traci swą oczywistość, działa na granicach aktualnych możliwości i staje się wręcz kontrowersyjna, to pasjonujący temat dla historyka i filozofa nauki. Wspomniane problemy mają bowiem często źródło w filozoficznych podstawach nauki. Stąd refleksja filozoficzna jest sprawdzoną drogą do zrozumienia tych trudności. Nawet jeśli sama nie daje zwykle bezpośrednich rozwiązań dla reformatorów, to pozwala przynajmniej zrozumieć szkodliwość proponowanych „kuracji”. W obliczu wyzwań stojących przed nauką to pomoc, której nie można odrzucić.

## Mitologia nauki

Jaki użytek mogą przynieść nauce mity? Wszak metoda naukowa, zwłaszcza w przyrodznawstwie, jest bezprecedensowym dążeniem do ścisłości i klarowności. Cóż więc nauka może zyskać dzięki mitom? Interesującej odpowiedzi udzielił wybitny filozof pochodzenia austriackiego Karl R. Popper (1902-1994). Uważał, że teorie naukowe mogą mieć u swych początków dowolne konstatacje. Może to być nawet mit. Mit jest jednak z zasady niesprawdzalny, bliżej mu raczej do domeny wiary. Musi zatem zostać poddany racjonalnemu badaniu. Wówczas na tej inspiracji można zbudować testowalną teorię. Jednocześnie kończy się rola mitu.

Mitologizacja nauki to proces idący w przeciwną stronę. Pokusa myślenia mitologicznego nieustannie zagraża nauce, bo ludzie potrzebują mitów. Nauka jest więc poddana ciągłym napięciom między wyborem racjonalnych wyjaśnień zamiast wyjaśnień mitologicznych. W każdej chwili mierzymy się z dylematami starożytnych filozofów greckich. I jak wówczas, tak samo i dziś – wybór racjonalności jest wyborem o charakterze moralnym, dotyczy moralności myślenia.

W tym miejscu należy postawić pytanie: dlaczego nie sformułować odpowiedniego kryterium, które pozwoli jasno oddzielić naukę od nienauki, tak jak w ewangelicznym przesłaniu wartościowe ziarno było oddzielane od plew? Poszukiwanie kryterium demarkacji było historycznie jednym z ważniejszych obszarów filozofii nauki. Dziś, pod wpływem znanej krytyki Larrego Laudana (1941-), trudno uwierzyć w możliwość przeprowadzenia prostej, niekwestionowalnej, z góry zdefiniowanej linii podziału. Nie da się jednak wskazać ogólnego, ponadczasowego algorytmu orzekania o nienaukowości. Nie znaczy to, że nie potrafimy w konkretnym przypadku ocenić

wartości danego dokonania naukowego – specjaliści z danej tematyki powinni być w stanie tego dokonać, bo inaczej znaczyłoby, że nie posiadają podstawowej zdolności rozumienia znaczenia badań, którymi się zajmują.

Oczywiście w ocenie wartości badań zawsze możliwe są pomyłki, ale częste doświadczenia uczestników postępowania naukowych wskazują, że to nie one deformują oceny. Najczęściej są to względy pozamerytoryczne. I w ten sposób ujawnia się bodajże najszkodliwsza mitologia nauki tworzona przez samych uczonych.

## Dlaczego nie odrzucamy obalonych teorii?

Jeśli unikanie negatywnych ocen jest szkodliwą mitologizacją, to jak patrzeć na zgoła analogiczną sytuację na poziomie teorii naukowych? Pytanie postawione w śródtytule nabiera w tym kontekście jeszcze większego ciężaru. Słuszne wydaje się Popperowskie nastawienie żądające od teorii tego, aby były wystawione na możliwość obalenia w świetle obserwacji lub eksperymentów. W przypadku ujawnionej niezgodności logicznie rzecz biorąc teoria jako zdanie ogólne okazuje się fałszywa. Naiwnie zatem można oczekiwać logicznej decyzji o odrzuceniu teorii. Tak samo konsekwentnej jak odrzucenie tego, co niesprawdzone i błędne w mitach.

Dlaczego zatem nie postępujemy według jasnego, logicznego schematu? Najważniejszym uzasadnieniem jest to, że teoria jest intelektualnym narzędziem do wyjaśniania i przewidywania. Jeśli nie mamy w zanadrzu innej, lepszej teorii, to nawet odkrywając ograniczenia posiadanej teorii, nie wyrzucimy jej. Przecież bardziej racjonalne jest posługiwać się niedoskonałą teorią (która coś jednak dobrze wyjaśnia) niż żadną. I nawet dziś używamy w praktyce niektórych teorii, choć wiemy, że nie są w sensie ścisłym prawdziwe. Tak jest choćby z mechaniką newtonowską, która pozwala projektować zdecydowaną większość współczesnych urządzeń mechanicznych. Po ogólniejszą mechanikę relatywistyczną sięgamy stosunkowo rzadko, w sytuacjach raczej wyjątkowych. Prostota, skuteczność i wystarczająca dokładność przewidywań teorii Newtona okazuje się praktycznie wystarczająca. I to wystarczy, by z niej nie rezygnować.

Oczywiście czymś innym jest podtrzymywanie przy życiu teorii tylko decyzją naukową, który nie może pogodzić się z odrzuceniem jej w świetle faktów. Zasadniczo sytuacja wydaje się klarowna – uczoney powinien bardziej słuchać faktów (obser-

wacje, doświadczenia) niż własnych subiektywnych ocen. Dlaczego zatem nauka błędziła i będzie nieraz błędzić w przyszłości? To cena, jaką musimy zapłacić za to, żeby w ogóle dało się formułować nowe teorie. Gdyby Kopernik słuchał rad metodologów, zapewne nigdy nie sformułowałby ani swej teorii, ani nie zapoczątkował nowej nauki. Wszak działał on w zasadzie wbrew faktom. Był świadom braku kluczowej obserwacji zjawiska paralaksy mogącego potwierdzić ruch Ziemi wokół Słońca. Wiemy, że problem ten Kopernik rozwiązał w genialny sposób, postulując hipotezę, że Wszechświat jest tak wielki, iż nie można go obserwacyjnie zmierzyć. Oczywiście hipotezy tej nie mógł udowodnić. Dla metodologa wyglądała ona na najgorszą z możliwych – to hipoteza postulowana ad hoc po to tylko, aby bronić innej hipotezy. Geniusz Kopernika polegał na tym, że odgadł bardzo dobre wyjaśnienie, choć wszystko pozostawało w sferze hipotez i domysłów. Gdyby ściśle trzymać się zaleceń metodologów, zapewne wciąż używalibyśmy fizyki Arystotelesa, a komputery byłyby uważane za fantasmagorie spekulatywnych umysłów.

### Idealizacja w nauce czy idealizacja nauki?

Służyć może różnym celom, często politycznym. Niekiedy w niepewnych czasach potrzebujemy punktu oparcia, potrzebujemy niepodważalnej ekspertyzy. Nauka, choć daje niekiedy niezwykle precyzyjne przewidywania, nie może zagwarantować, że wyjaśni idealnie wszystko w przyszłości. Oznaczałoby to bowiem, że już dziś mamy pełną wiedzę o rzeczywistości. A do tego wciąż przecież nam daleko.

Niestety nauka nie zawsze daje tak proste odpowiedzi, jak byśmy tego oczekiwali. Zastępowanie ostrożnych wypowiedzi badaczy stanowczymi trawestacjami nie służy samej nauce. W ten sposób tworzymy bowiem coś, co przypomina naukę,

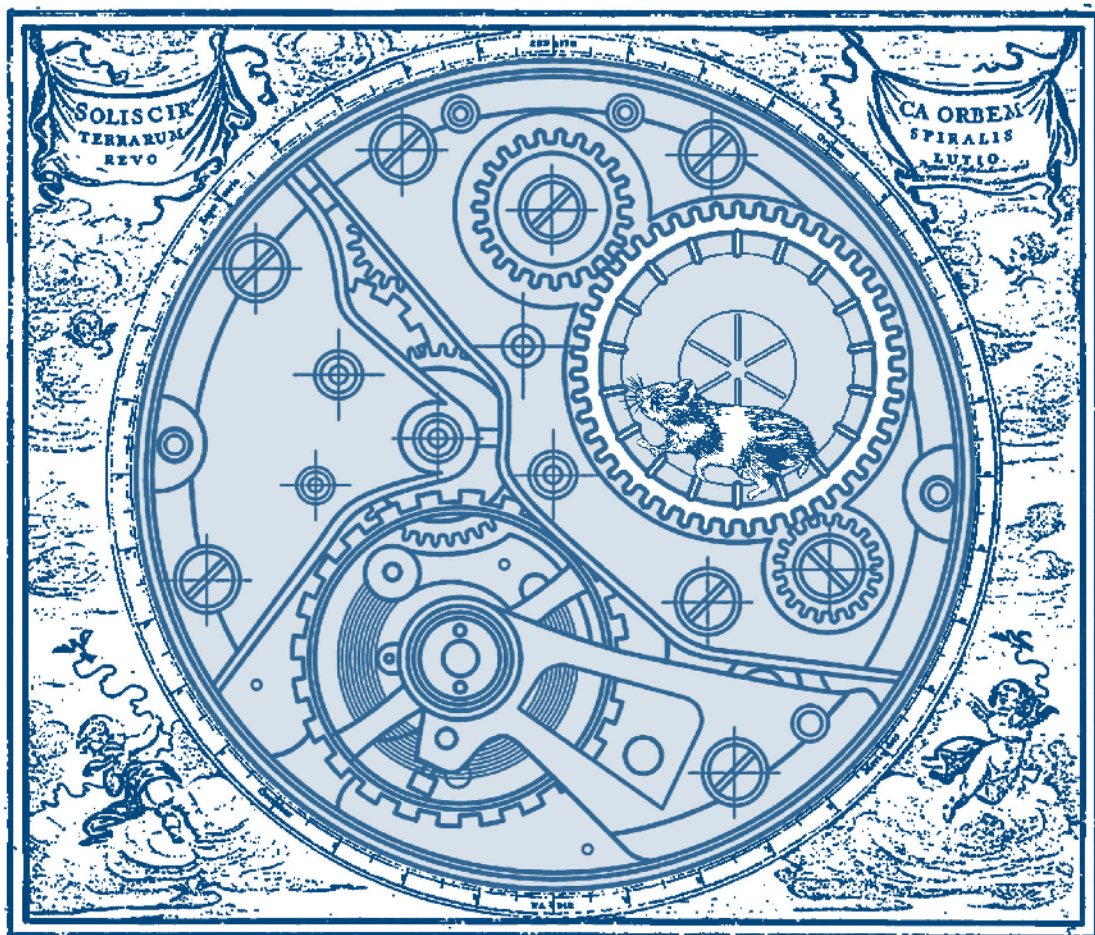
ale nią nie jest. Pseudonauka wyrasta bowiem często z cnotliwych intencji.

### Pułapki eksternalizmu, czyli wszyscy jesteśmy ludźmi

Filozofia demitologizuje pewność i apodyktyczność nauki, ale wskazuje też, że nie znamy lepszej metody odkrywania prawdy o przyrodzie. Nie możemy przy tym zapominać, że nauka tworzona jest przez ludzi. Co prawda dziewiętnastowieczny scjentyzm kreował naukowców na swoistych herosów, którzy potrafią przezwyciężyć swe ludzkie ograniczenia, wznieść się ponad nie i zupełnie bezstronnie, obiektywnie poznawać fakty. Okazało się jednak, że oczekiwania te bliższe były opowieściom barona Münhausena, który twierdził, że wyciągnął się z bagna za włosy, niż realnym możliwościom ludzi. Dzisiejszy kult ekspertów i ekspertyz karmi się zresztą podobnymi nadziejami. Pseudonauka wyrasta jakże często z cnotliwych intencji i oczekiwań złączonych z marną filozofią.

Naukowiec pozostaje człowiekiem i wszystkie ludzkie ograniczenia, przeświadczenia czy uprzedzenia zabiera ze sobą do laboratorium. Przekonań nie da się zostawić w szatni wraz z płaszczem, jak chciał dziewiętnastowieczny pozytywista Claude Bernard (1813-1878). To niewykonalne. Gdyby nawet się to udało, naukowiec byłby bezsilny – nie mógłby sformułować najmniejszej obserwacji. Każda obserwacja zakłada (jawnie bądź nie) jakiś punkt widzenia.

Akceptując typowo ludzkie uwarunkowania naukowca, musimy wziąć pod uwagę to, że podlega on skomplikowanemu zespołowi uwarunkowań. Wymieńmy tu choćby uwarunkowania psychologiczne, używany język, dostępną wiedzę tła, opinie społeczności, a nawet swoiste mody naukowe. Oczywiście czyn-



Rys. Sławomir Makal

niki te można jeszcze długo wyliczać. Filozofowie nazywają je zbiorczo czynnikami eksternalistycznymi w nauce.

Jednym z najgroźniejszych czynników eksternalistycznych jest ideologia. To jej wpływy chcieli usunąć Bernard i wielu innych. Siła nacisków ideologicznych nie pozwala na działanie naturalnych procesów krytyki naukowej. Ideologizacja jest znaną przyczyną długofalowych i głębokich spustoszeń na gruncie nauki. Dość wspomnieć tutaj o biologii sowieckiej, której twarzą był Trofim Łysenko. Wyrządzone szkody spowodowały zapaść sowieckiej biologii, z której podnosiła się długie dziesięciolecie. To jednak nie tylko domena historii. Dziś mamy do czynienia z różnymi ideologiami, a najnowszą jest tzw. kultura unieważnienia (*cancel culture*) wprowadzająca niebezpieczne mechanizmy autocenzury w środowisku naukowym.

Niszczycielski wpływ ideologii szerzy się w okresach osłabienia etosu uczonych. Pełni on bowiem rolę systemu obronnego nauki. Nawet na tak zgrubny szkic rażące byłoby jednak sprowadzenie problemów współczesnej nauki tylko do dychotomii: prawdziwi naukowcy kultuwujący tradycyjny etos versus ich zideologizowani, wykorzeni koledzy. Wzrost znaczenia czynników eksternalistycznych (zwłaszcza socjologicznych) w nauce ma przecież źródło również w obiektywnych procesach zachodzących w strukturze samej nauki i w strukturze komunikacji naukowej. Co więcej, wygląda na to, że procesy są obecnie nieuniknione, choć w Polsce nieco opóźnione w stosunku do procesów w przodujących krajach. Źródłem problemów, które mam na myśli, jest to, że nauka bezpowrotnie utraciła elitarny charakter. Zmiana ta wynika z logiki komunikacji i rozwoju wiedzy naukowej. Żyjemy bowiem w epoce Big Science obwieszczanej przez Dereka J. de Solla Price'a (1922-1983).

### Naukometryczne uwarunkowania pseudonauki

Koncepcja Wielkiej Nauki przekroczyła już sześćdziesiąt lat, choć wciąż nie do końca uświadamiamy sobie jej konsekwencje. De Solla Price zwrócił uwagę na to, że typowy rozwój nauki prowadzi do eksponencjalnego wzrostu różnorodnych wskaźników opisujących ilościowy rozwój nauki (np. liczba publikacji, liczba uczonych etc.). Ten bardzo szybki wzrost spowodowany jest dynamiką wzrostu wiedzy w społecznych sieciach uczonych. Zwiększona ilość informacji tworzy nowe zagadnienia i wymaga jeszcze większych sił do jej przetworzenia, co powoduje naturalny (relatywnie bardzo szybki) wzrost tych sieci. Sukcesy nauki i techniki pozwalały przez dłuższy czas zachowywać bardzo szybkie tempo wzrostu. W ten sposób nauka musiała utracić elitarny charakter, a włączając w swój obręb osoby niepodzielające w pełni zastanego etosu, przyspieszyła tylko ewolucję aksjologii działalności naukowej. Bez odwołania do naukometrii nie da się więc zrozumieć dzisiejszych problemów z nauką.

Naukometria kojarzy się w Polsce generalnie co najmniej źle. Wśród humanistów ma czarną sławę, zapewne gorszą nawet niż w przypadku drugiego intelektualnego „dziecka” Francisca Galtona (1822-1911), czyli eugeniki. Jest to zapewne wynik użycia uproszczonych narzędzi naukometrycznych w aktualnej polityce naukowej. Tematyka nadchodzącej ewaluacji jest na tyle zaogniona w wielu środowiskach, że lepiej się w nią tu nie wikłać, aby nie stracić z oczu innych czynników, które często umykają środowiskowym dyskusjom.

Naukometryczne narzędzia oceny mają niewątpliwie zalety z punktu widzenia ewaluacji działalności naukowej. Pozwalają na szybką i sprawną ocenę, uwzględniając stosunkowo łatwo parametryzowalne cechy, odzwierciedlające pewne istotne cechy procesów komunikacji naukowej. Dają przy tym miłe poczucie obiektywizacji procesu oceniania. Sęk w tym, że funkcja parametryzująca dane naukometryczne musi z konieczności zawierać elementy arbitralności (albo w ogóle może być arbi-

tralną konwencją), taki też charakter mieć będzie cała ocena. Współcześnie uważa się, że cena płacona za możliwość sprawnej i w miarę „obiektywnej” oceny jest do przyjęcia (niektórzy nawet uważają, że to uczciwa cena). Sęk w tym, że tak zbudowana polityka naukowa ma poważne konsekwencje. Najczęściej wspomina się o tzw. wyścigu szczurów, o zjawiskach typu „salami publishing” (tworzenie artykułów z możliwie najmniejszym udziałem istotnie nowych treści dla zwiększenia liczby prac) czy o generalnym obniżeniu poziomu prac i stopnia ich dojrzałości. Nie negując tych problemów, chciałbym zwrócić uwagę na jeszcze jeden, rzadziej podnoszony w dyskusjach. Należy oczekiwać, że preferowanie ocen naukometrycznych będzie prowadzić do powstawania działalności, której celem nie jest ani pogłębianie wiedzy, ani jej opracowanie. Kręgi cytowań (powstające na różnych poziomach), nieuczciwe praktyki związane z uznawaniem autorstwa itp. są objawami procesów toczących naukę w skali globalnej. Aby się o tym przekonać, wystarczy spojrzeć na dyskusje prowadzone w największych wydawców czasopiśmie naukowych. Wspecjalizowane kręgi cytowań będą mieć tendencje do ograniczania głosów spoza nich, przy okazji osłabiając stopniowo mechanizmy samokontroli naukowej. Szczególnie niebezpieczne jest to w naukach humanistycznych i społecznych, które podatne są na przeksztalcanie się wówczas w działalność pseudonaukową. Przy odpowiednio dobranym kręgu cytowań i swoście pojętej solidarności uczestników wskaźniki brane do oceny mogą być bardzo dobre (przynosząc pochwały rektorów, dziekanów, dyrektorów etc.), a faktyczna działalność może się coraz bardziej alienować od rzeczywistości. Pseudonauka nie jest zatem odgradzona jakąś jedną linią demarkacyjną od bezpiecznego obszaru nauki. Uwarunkowania naukometryczne sprzyjają powstawaniu działalności pseudonaukowej w pozornie „porządnym” miejscach. Ostatnim zabezpieczeniem znów okazuje się etos uczonego (czyli sfera indywidualnych decyzji). Dziś, w dobie osłabienia etosu, preferowanie wskaźników naukometrycznych szczególnie silnie powinno prowadzić do erodowania nauki.

### Mechanizm czy organizm?

Żywotne zagrożenia czyhają zatem głównie „wewnątrz” nauki. Jeśli powyższa diagnoza jest trafna, to dokładanie kolejnych wskaźników naukometrycznych nie przyniesie istotnej poprawy sytuacji. Ten fundamentalny problem rozwoju nauki doskonale ujął w połowie lat trzydziestych XX w. wybitny polski filozof i historyk filozofii ks. Konstany Michalski (1879-1947). Komentując ówczesne nieszczęsne pomysły reformatorskie, określił je sporem między mechanizmem a organizmem w myśleniu o nauce. Naukę widział Michalski jako organiczną strukturę, która w swym bogactwie przypomina raczej złożony organizm niż maszynę. Podkreślał jednak, że w zarządzaniu nauką traktuje się ją jako układ, który można regulować mechanicznie (dziś powiedzielibyśmy: za pomocą algorytmów). Prowadzi to do nieuniknionej nieadekwatności proponowanych rozwiązań, a wszelkie propozycje naprawy sytuacji przez modyfikację mechanizmów są nieskuteczne z powodu tego błędnego założenia.

Przeszło osiemdziesiąt lat później słowa Michalskiego są zaskakująco aktualne. To pokazuje, jak trudno nauczyć się czegoś na doświadczeniach historycznych. Pokazuje też, że nauka okazała się jednak mimo wszystko wyjątkowo odporna jako całość. To daje pewną nadzieję na przyszłość, choć wiadomo, że wnioskowanie indukcyjne, na jakim oparta jest ta nadzieja, jest wnioskowaniem co do zasady zawodnym.

*Dr hab. Paweł Polak, prof. UPIPII, filozof przyrody, nauki, informatyki, Wydział Filozoficzny Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie, redaktor naczelny czasopisma „Zagadnienia Filozoficzne w Nauce”*

Zbigniew Drozdowicz

# Zachodni ezoteryzm

Obawa przed negatywnymi reakcjami ze strony nieprzychylnego ezoterystom otoczenia społecznego sprawiała, że niejednokrotnie wybierali oni samoizolację i skupianie się na swoich wierzeniach i praktykach niż angażowanie się w działalność społeczną i takie upowszechnianie swoich przekonań, które mogłoby dotrzeć do tzw. szerokiego odbiorcy. Takie możliwości dawały w przeszłości m.in. uniwersyteckie katedry. Jednak raczej rzadko pojawiali się na nich w tamtych czasach zdeklarowani ezoteryści, a jeśli już, to uważano, że – jak to określił Hanegraaff – „zaśmiecają akademickie nauki”.

Niektóre formy ezoteryzmu usytuowały się w stosunkowo niedużej odległości od nauki, a nawet pretendowały do statusu jej integralną częścią. Innym bliżej było do religii. Były i są również takie, które bądź to zbliżały się do sztuki, bądź też nawet stały się jej siłą inspirującą. Warto zwrócić uwagę przynajmniej na te, które odegrały i odkrywają nadal pewne role kulturowe, nie tylko zresztą w kulturze zachodniej.

## Czym był i jest zachodni ezoteryzm?

Potocznie ezoteryzm jest kojarzony z czymś tajemniczym, a nawet podejrzanym kulturowo. Jednak gdy przychodzi do konkretnych odpowiedzi na postawione pytanie, pojawiają się problemy, z którymi niełatwo się uporać nawet specjalistom od ezoteryzmu. Jednym z nich jest Antoine Faivre, były dyrektor sorbońskiej École Pratique des Hautes Études, autor wielu studiów nad ezoteryzmem zachodnim. W książce pt. *L'ésotérisme* wyróżnia on pięć znaczeń tytułowego określenia. W pierwszym z nich oznacza ono wszystko to, co można znaleźć na półkach w księgarniach specjalizujących się w upowszechnianiu literatury ezoterycznej. Jest w tym zapewne nieco żartobliwości. Oddaje to jednak w jakiejś mierze skalę problemu, przed którym stają badacze ezoteryzmu. Jedną z takich księgarni znajduje się w Dzielnicy Łacińskiej w Paryżu i konkuruje o czytelnika z tymi, które oferują publikacje stricte naukowe. Na jej półkach można znaleźć książki m.in. na temat okultyzmu, gnostycyzmu i hermetyzmu. W przywoływanej tutaj publikacji Faivre nie tylko podjął próbę uporządkowania obrazu **różnych** form ezoteryzmu, lecz także nakreślił obrazu przechodzenia przez nie historycznych zmian, począwszy od przedchrześcijańskich tradycji religijnych, poprzez usytuowanie się „w sercu” średniowiecznej chrześcijańskiej myśli teologicznej oraz renesansowej myśli filozoficznej i naukowej, aż po współczesną teozofię i neognozę.

Analizę procesu historycznych przemian ezoteryzmu można znaleźć również w książce Wouteru J. Hanegraaffa (profesora historii hermetycznej filozofii na Uniwersytecie w Amsterdamie) pt. *Esotericism and the Academy*. Jej autor wykazuje m.in., że zachodnie tradycje ezoteryzmu mają korzenie nie tylko w myśleniu religijnym, lecz także w neoplatonizmie. W okresie renesansu miało miejsce ponowne odkrycie starożytnych tekstów ezoterycznych. Przyczyniło się ono „do uczynienia odro-

dzenia magii, astrologii, alchemii i kabały”. Z kolei reformacja „dała początek teozofii, różokrzyżowcom i masonerii, a współczesne odrodzenie okultystyczne poszerza znaczenie określenia ezoteryka na teozofię Heleny P. Bławatskiej, Rudolfa Steinera, Alice A. Bailey i George’a Gurdjieffa (Georgija I. Gurdżijewa) oraz na psychoanalizę Carla Gustawa Junga”.

Trudnym okresem funkcjonowania ezoteryzmu w kulturze zachodniej była epoka Oświecenia. Jednak nawet w tamtym czasie pojawiły się jego nowe formy wyrazu – tytułem przykładu wymienię mesmeryzm czy masonerię w rycie szkockim. W tym ogromnie zróżnicowanym towarzystwie byli zarówno tacy ezoteryści, którzy próbowali pozostać chrześcijanami, jak i tacy, którzy zgłaszali do chrześcijaństwa votum separatum. Do tych pierwszych Faivre zalicza m.in. iluminatów z Avinionu. Wierzyli oni nie tylko w moc Świętego Słowa, ale także w to, że ich lider Octavio Capelli odbiera wiadomości od samego archanioła Rafaela. Natomiast do drugich zalicza on mesmerystów. Ich lider (praktykujący medyk) Franz A. Mesmer głosił teorię istnienia siły, którą nazywał „magnetyzmem zwierzęcym”. Ma ona umożliwić zarówno zjednoczenie tego, co duchowe, z tym, co cielesne, jak i jasnowidzenie oraz nawiązywanie kontaktów z zaświatami.

W XX stuleciu różne formy ezoteryzmu nie tylko znajdowały kolejnych zwolenników i wyznawców, ale także przyciągały uwagę znaczących uczonych. W.J. Hanegraaff w swojej książce prezentuje m.in. grupę Eranosa, skupiającą zwolenników którejs z form ezoteryzmu i uczonych zainteresowanych jego funkcjonowaniem w kulturze. Od roku 1933 roku spotykali się oni najpierw w szwajcarskiej Asconie, a później również w innych miejscach, i dyskutowali o ezoteryzmie. W tym gronie byli m.in. Carl Gustaw Jung (współtwórca psychoanalizy), Henry Corbin (islamista) i Mircea Eliade (religioznawca). Zdaniem W.J. Hanegraaffa w poglądach każdego z wymienionych tutaj uczonych można znaleźć ezoteryczne założenia i wierzenia. Przykładowo: o poglądach Junga napisał on m.in., że „stanowią one późną formę niemieckiego romantycznego mesmeryzmu” (nie ma ona jednak „nic wspólnego z wiarą w cuda lub nadprzyrodzone moce”). Elementy ezoteryzmu w poglądach Junga znajduje również Faivre, a nawet zalicza jego psychoanalizę do „zachodniego korpusu alchemicznego” (Jung wybrał jednak w tym „korpu-

się” jedynie to, co było przydatne do potwierdzenia przeprowadzonych przez niego doświadczeń). W poglądach Eliadego wyrazem ezoteryzmu jest – zdaniem Faivre’a – m.in. próba pokazania i wykazania, że „świętość stanowi konstytutywny element natury ludzkiej”.

### Badania akademickie

W spotkaniach dyskusyjnych grupy Eranosa brał udział również Max Weber (1864–1920), autor m.in. fundamentalnego dzieła pt. *Etyka gospodarcza religii światowych*. Wyszedł on od analizy taoizmu i konfucjanizmu i doszedł do analizy starożytnego judaizmu. W niejednej z tych religii znalazł nie tylko elementy ezoteryzmu, lecz także ich związki z rozpowszechnionymi wierzeniami i praktykami religijnymi (przykładem może być związek ezoterycznego taoizmu z mistycyzmem). Wskazał również na próby uwolnienia tych wierzeń i praktyk od ezoteryzmu (takie na przykład, jakie podejmowali żydowski rabbi występujący przeciwko „nosieliom ezoterycznej wiedzy zbawczej”). Można nawet powiedzieć, że weberowska koncepcja „zaczarowywania” świata przez jednych liderów religijnych oraz jego „odczarowywania” przez innych jest w jakiejś mie-

rze wpisana w to historyczne ścieranie się zwolenników którejsz form ezoteryzmu z jej przeciwnikami.

W latach sześćdziesiątych minionego stulecia pojawiły się na znaczących uczelniach zachodnich jednostki badawcze specjalizujące się w badaniach nad ezoteryzmem. Jedną z pierwszych była utworzona w 1964 roku sorbońska szkoła kierowana przez Faivre’a. W 1999 roku na Uniwersytecie w Amsterdamie powołany został Instytut Badań Hermetyzmu (jego częścią była Katedra Historii Ezoteryzmu kierowana przez Hanegraaffa). W 2002 roku na Uniwersytecie Lampetera (Wielka Brytania) powstało Centrum Badań Zachodniego Ezoteryzmu. W 2006 roku podobne centrum powstało na Uniwersytecie Exeter. Tego typu jednostki badawcze istnieją również na Uniwersytecie w Lozannie, Uniwersytecie Marcina Lutra w Halle-Wittenberdze, Uniwersytecie Ludwika Maksymiliana w Monachium oraz na kalifornijskim uniwersytecie w Davis. Wyniki prowadzonych w nich badań są prezentowane i dyskutowane m.in. na akademickich kongresach i konferencjach naukowych, takich m.in. jak kongresy organizowane przez American Academy of Religion czy kongresy organizowane przez International Association for the History of Religion (ostatni z nich odbywał się



Rys. Sławomir Makal

w 2019 roku w Rydze). Biorą w nich udział również polscy religioznawcy. O ile wiem, na naszych uczelniach nie ma jednak jednostki badawczej specjalizującej się w badaniach nad ezoteryzmem. Prowadzą je natomiast pojedynczy badacze. Takiego specjalistę od ezoteryzmu gnostycznego miałem w kierowanej przeze mnie (do 2019 roku) Katedrze Religioznawstwa i Badań Porównawczych UAM.

### Popularyzowanie ezoteryzmu

W przeszłości znacznie trudniej przychodziło różnego rodzaju ezoterystom upowszechnianie ich wierzeń i praktyk niż ma to miejsce obecnie. Jednak aby odpowiedzieć na pytanie, z czego brały się te trudności i jak one wyglądały w praktyce, w każdym przypadku wymaga to odwołania się do konkretnej formy ezoteryzmu oraz czasu i miejsca jego występowania. Jeśli można w tej kwestii sformułować jakąś generalizację, to sprwadzałyby się ona do stwierdzenia, że z reguły ezoteryści stanowili stosunkowo nieliczne grupy, znajdujące się w opozycji do rozpowszechnionych wierzeń i praktyk religijnych oraz wspierających je instytucji kościelnych i politycznych. Obawa przed negatywnymi reakcjami ze strony nieprzychylnego im otoczenia społecznego sprawiała, że niejednokrotnie wybierali oni samizolację i skupianie się na swoich ezoterycznych wierzeniach i praktykach niż angażowanie się w działalność społeczną i takie upowszechnianie swoich przekonań, które mogłoby dotrzeć do tzw. szerokiego odbiorcy. Takie możliwości dawały w przeszłości m.in. uniwersyteckie katedry. Jednak raczej rzadko pojawiali się na nich w tamtych czasach zdeklarowani ezoteryści, a jeśli już, to uważano, że – jak to określił Hanegraaff – „zaśmiecają akademickie nauki”. Przyczyniało się to bez wątpienia do pogłębiania wokół ezoterystów i ezoteryzmu aury tajemniczości oraz podejrzliwości.

Można oczywiście podać przykłady tajemniczych grup, które wprawdzie również nie były skłonne do publicznego ujawniania swoich wierzeń i praktyk, jednak niejedna z nich stawiała sobie szersze cele społeczne i była w opozycji do ezoteryzmu. Należeli do nich m.in. członkowie założonego w 1776 roku w Bawarii przez Adama Weisshaupta Zakonu Iluminatów. Propagowali oni oświeceniowe idee (m.in. obywatelską wolność i równość) i występowali z politycznym programem uwolnienia społeczeństwa od różnego rodzaju tyranów. Jest kwestią dyskusyjną, czy można ich zaliczyć do masonów. Jednak bezdyskusyjne jest, że reprezentowali oni inną formę iluminizmu niż wspomniani tutaj iluminaci z Avinionu.

Czasy nowożytne przyniosły szereg kulturowych zmian, które pozwoliły ezoterystom na bardziej śmiałe popularyzowanie ich wierzeń i praktyk. Rzecz jasna nie od razu i nie tak otwarcie jak to ma miejsce obecnie. Jeszcze w XIX i na początku XX stulecia ezoteryści skupiali się głównie w jawnych, ale stosunkowo ekskluzywnych stowarzyszeniach (np. założone w 1875 roku Towarzystwo Teozoficzne), zakonach (np. Hermetyczny Zakon Złotego Brzasku) oraz grupach dyskusyjnych (wspomniany tutaj Eranos). Przyzwolenie na odmienności wierzeniowe w nowożytnej kulturze zachodniej jednak się pogłębiało. Dla ezoterystów i ezoteryzmu oznaczało ono m.in. prawo obywatelstwa w gronie oficjalnie zarejestrowanych i chronionych prawem związków wyznaniowych, w tym takich, które w przeszłości mogły budzić i budziły zgorszenie, a nawet grozę (by wymienić Kościół Szatana), a także na otwarte konkurowanie z instytucjami, które od wieków cieszą się w społeczeństwie sporym autorytetem. Przykładem może być popularny w Anglii i we Francji ruch druidycki, odwołujący się do wierzeń i praktyk ludów zamieszkujących te tereny w okresie przedchrześcijańskim (ich materialnym świadectwem są m.in. kamienne kręgi Stonehenge w zachodniej Anglii). O tym, jak poważnie traktuje się w tych krajach druidyzm, może świadczyć m.in. zapraszanie przedstawicieli tego neopogańskiego ruchu do poważnych dyskusji w środkach masowego przekazu. Pamiętam wystąpienie takiego współczesnego „druida” (ubranego w odpowiedni kostium) przed kamerami I programu francuskiej telewizji, w którym wyjaśniał on tajemne znaczenie mającego wówczas miejsce zaćmienia Słońca.

Priorytetem środków masowego przekazu nie jest raczej stanie na straży naukowej poprawności wypowiedzi. Liczy się w nich przede wszystkim przyciąganie uwagi możliwie najliczniejszych odbiorców przekazu. Nie jest o to łatwo, gdy ma się do czynienia z liczną konkurencją i tak zróżnicowaną ofertą w objaśnianiu tego, co posiada znamiona tajemniczości. Do przeciętnego odbiorcy niełatwo dotrzeć nie tylko ze specjalistycznym przekazem naukowym, lecz także z bardziej ambitną literaturą czy przekazem filmowym. Znacznie łatwiej natomiast z takim, w którym główne role odgrywają różnego rodzaju awatary czy wampiry. Trzeba jednak dodać, że również te formy popularyzowania ezoteryzmu mają swoje bardziej wyrafinowane intelektualnie wersje, by wymienić *Wahadło Foucaulta* Umberto Eco.

Jednym z ambitniejszych sposobów jego popularyzowania jest również dokonywanie przekładów na różne języki dzieł znaczących ezoterystów. Rzecz jasna nie w każdym przypadku autorzy takich przekładów podzielają ich wierzenia. Jednak niektórzy są skłonni się pod nimi podpisać. W Polsce przykładem takiego tłumacza może być Jerzy Prokopiuk. W swoim bogatym dorobku translatorskim ma on tłumaczenia na język polski m.in. dzieł Goethego, Schillera, Webera, Junga oraz Rudolfa Steinera. Jest on nie tylko zdeklarowanym gnostykiem (założycielem Klubu Gnosis i redaktorem naczelnym czasopisma „Gnosis”), lecz także autorytetem dla tych, którzy prowadzą naukowe badania nad gnozą.

\* \* \*

Sposób przedstawiania przeze mnie ezoteryzmu może być odebrany jako jedna z form jego popularyzowania. Powiem zatem otwarcie: nie sądzę, abym był pod jego urokiem. Nie uważam jednak również, że można go uznać za zaśmiecanie kultury, a jego analizowanie i ocenianie porównywać do „grzebania w kulturowym śmietniku”.

*Prof. dr hab. Zbigniew Drozdowicz, filozof i religioznawca, Instytut Kulturoznawstwa Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu*



# Nauka kultu cargo

Początek lat trzydziestych ubiegłego wieku przyniósł mieszkańcom gór Nowej Gwinei strach i przerażenie. Oto na niebie pojawiły się ogromnej wielkości ptaki wydające z siebie przerażający ryk. Tubylcy, widząc nadlatującego ptaka, z trwogą padali na ziemię, zakrywając twarze i modląc się o litość.

Ten fenomen pojawił się tak niespodziewanie i był tak krainowo różny od wszystkiego, co znali z dotychczasowego życia, a nawet z legend i podań, że szybko doszli do wniosku, iż mają do czynienia z rozgniewanymi duchami przodków. Z upływem czasu przybywało „ptaków niebios”, bo tak je właśnie nazwano. Tubylcy coraz częściej mieli możliwość zaobserwowania, jak „ptaki niebios” siadają na ziemi. Wówczas widzieli, że z gigantycznego „brzucha” wychodzą biali ludzie, wyładowują narzędzia, broń, skrzynie z żywnością i inne dobra użytkowe. Obserwowali te wydarzenia z przerażeniem i w głębokim milczeniu. Po głowach kołatały im się setki pytań. Skąd przychodzą ci ludzie? Dlaczego mają widoczne tylko twarze i dłonie? Czy biali są dlatego, że przyszedli z nieba, gdzie byli bliżej słońca? Czy mają specjalną moc nadprzyrodzoną? Czy są duchami przodków?

Pustka stworzona przez te pytania nie mogła pozostać niewypełniona, a niepokój zaczęła zastępować pewność. Wkrótce „ptaki niebios” wysłane przez duchy przodków również im, wyspiarzom, przyniosą podobne dobra zapakowane w skrzynie z napisem *cargo*. Obserwując krzątanie białych ludzi, która w żaden sposób nie przypominała jakiegokolwiek znanej im pracy, doszli do wniosku, że mają do czynienia z obrzędami religijnymi, których celem było sprowadzenie na ziemię „ptaków niebios”. Zaczęli z religijną gorliwością naśladować czynności wykonywane przez białych ludzi. Konstruowali z drewna i trzciny atrapy samolotów naturalnej wielkości i składali im ofiary. W nocy rozpalali ogniska imitujące światła lotnisk po to, aby „ptaki” wiedziały, gdzie wylądować, a kiedy nad głowami pojawiał się samolot, padali na ziemię w oddaniu i oczekiwaniu na *cargo*.

Opisany kult ptaka niebios rozwinął się na Nowej Gwinei wśród plemion górskich na początku lat trzydziestych ubiegłego wieku, kiedy to administracja cywilna rozpoczęła systematyczną lotniczą penetrację interioru wyspy. Nie był to odosobniony przypadek. Podobne kultury nazwane wspólną nazwą *cargo* rozwinęły się na osiemdziesięciu wyspach Pacyfiku.

W 1974 roku, podczas uroczystości rozdania dyplomów w California Institute of Technology, Richard Feynman, znany fizyk i laureat nagrody Nobla, wygłosił przemówienie zatytułowane *Nauka kultu cargo. Kilka uwag na temat nauki, pseudonauki i tego jak nie oszukiwać siebie samego*. Dokonał w nim znamienego porównania, które na stałe zagościło w świadomości ludzi nauki: „Wydaje mi się, że studia psychologiczne i pedagogiczne, o których wspominałem, są przykładem cze-

go, co chciałbym nazwać nauką kultu *cargo*. Na Morzach Południowych istnieje kult *cargo*. Podczas wojny miejscowa ludność widziała, jak lądują samoloty wylądowane mnóstwem wspaniałych rzeczy i chciałyby, żeby teraz też tak było. Zrobili więc coś, co wygląda jak pasy startowe, rozmieścili ogniska wzdłuż tych pasów, wybudowali drewnianą chatę dla człowieka, który siedzi tam z dwoma kawałkami drewna imitującymi słuchawki i pędami bambusa sterczącymi jak antena (jest kontrolerem lotu) i czekają na lądowanie samolotów. Wszystko robią tak, jak trzeba. Forma jest doskonała. Wszystko wygląda dokładnie tak, jak kiedyś. No, ale nie działa. Żadne samoloty nie lądują. Takie właśnie rzeczy nazwałem »nauką kultu *cargo*«, ponieważ postępują oni zgodnie z przyjętymi zasadami i formami badań naukowych, ale brakuje w tym zasadniczej rzeczy, bo samoloty nie lądują”.

Znany fizyk nie poprzestał na tym porównaniu. Podawał przykłady z obszaru uzdrawiania, psychoterapii, parapsychologii, opisywał również swoje doświadczenia z komorami depresyjnymi. Wypowiadał się na temat szkolnictwa i przestępczości. Jego zdaniem wysiłki przedstawicieli nauk społecznych w żaden sposób nie przekładają się na uzyskiwane przez nich efekty, a problemy, którymi się zajmują, na przekór ich staraniom się pogłębiają.

## Analogia Feynmana w świetle liczb

Przyglądając się liczbom, trudno odmówić Feynmanowi racji. Rzeczywiście liczba zbrodni w Stanach Zjednoczonych – morderstw, gwałtów, napadów z bronią w ręku – w przeliczeniu na jednego mieszkańca wzrosła w czasach Feynmana o ponad 300% od roku 1960 do 1986. Można sobie wyobrazić, jak wiele prac badawczych nad przestępczością, resocjalizacją i podobnymi zagadnieniami przeprowadzono w tym czasie, jak wiele artykułów opublikowano, jak wiele osób zrobiło karierę uniwersytecką, badając te problemy.

Podobnie smutne były statystyki dotyczące samobójstw wśród nastolatków amerykańskich. Pomiędzy 1950 i 1980 rokiem liczba samobójstw popełnianych przez nastolatków wzrosła o 300%, zwłaszcza wśród białych młodocianych z bogatszych grup społecznych. W roku 1985 zanotowano ogółem 29 253 samobójstwa, z czego 1339 to biali chłopcy w wieku 15–19 lat. W tym czasie, według bazy EBSCO, opublikowano 1597 recenzowanych naukowo artykułów, których tematem było samobójstwo. Ogromna energia badawcza zestawiona

z tragiczną statystyką zdaje się potwierdzać przekonanie Feynmana o charakterze nauk społecznych.

Równie ponuro wyglądała kwestia chorób psychicznych. Na przykład w 1955 roku w Stanach Zjednoczonych zanotowano 1,7 mln przypadków hospitalizacji pacjentów psychiatrycznych, w roku 1975 liczba ta wyniosła 6,4 mln. To niemal czterokrotny wzrost. W tym czasie tysiące psychologów klinicznych pracowały nad doskonaleniem metod terapii, nad profilaktyką zachorowań i innymi zagadnieniami, które powinny znaleźć odzwierciedlenie w liczbach.

Wzrost statystyk nie został zatrzymany do dzisiaj. Współczesne dane są równie szokujące, a wielu autorów interpretuje je jako dowód na to, iż nie tylko w Ameryce panuje pandemia chorób psychicznych. Tylko w latach 1987–2007 liczba osób cierpiących na zaburzenia psychiczne, leczonych na koszt państwa w ramach zasiłków, wzrosła ponad dwukrotnie. W 1987 roku psychiatrycznie leczyl się jeden na 184 Amerykanów, w roku 2007 już jeden na 76. W tym samym czasie liczba zachorowań wśród dzieci wzrosła aż 35-krotnie. Choroby psychiczne stanowią obecnie w Stanach Zjednoczonych najważniejszą przyczynę niepełnosprawności u dzieci, daleko wyprzedzając upośledzenia fizyczne, takie jak mózgowo porażenie dziecięce czy zespół Downa.

Badania przeprowadzone przez Narodowy Instytut Zdrowia Psychicznego (NIMH) w latach 2001–2003 przyniosły jeszcze bardziej zdumiewające rezultaty: 46% dorosłych Amerykanów spełnia lub spełniało w przeszłości kryteria ustanowione przez Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne (APA) dla co najmniej jednej z czterech głównych kategorii dolegliwości psychicznych. Większość badanych spełniała kryteria więcej niż jednej kategorii schorzeń.

Zgodnie ze sprostaczeniami Feynmana spadał także poziom edukacji. Na przykład przeciętny wynik testów matematycznych wśród uczniów kończących szkołę średnią w roku 1967 wynosił 466 punktów, a w 1984 spadł do 426. Podobne wyniki zanotowano w testach umiejętności werbalnych. Takie ponure wyliczenia można by długo kontynuować. Niestety nie są to wyłącznie wyliczanki aktualne za oceanem w czasach, kiedy żył Feynman. Dotyczą one również naszych czasów i naszej rzeczywistości.

## Rytuały cargo przeciwko śmierci

Ogrom wkładanego wysiłku kontrastuje z brakiem rezultatów szczególnie wyraźnie w obszarze zapobiegania samobójstwom. Pokazała to opublikowana w grudniu 2020 roku obszerna metaanaliza obejmująca pięćdziesiąt lat badań nad skutecznością różnych form interwencji mających na celu zapobieganie samobójstwom i samookaleczeniom. Zespół badaczy pod kierownictwem Kathryn Fox z University of Denver i Xieyinga Huanga z Florida State University przeanalizował 1125 najbardziej poprawnych metodologicznie badań, jakie przeprowadzono w ostatnim półwieczu. W badaniach uwzględniono między innymi interwencję kryzysową, psychoterapię psychodynamiczną, wsparcie rówieśnicze, opiekę w ramach społeczności, farmakoterapię, hospitalizację, metody kontroli zewnętrznej, podejścia behawioralne i poznawcze, psychoterapię dialektyczno-behawioralną i inne eklektyczne metody psychoterapeutyczne. Wnioski płynące z tej metaanalizy są przynębiające. Skuteczność wszystkich badanych metod jest bardzo mała, ich efekty nie utrzymują się w dłuższym czasie po przeprowadzonej interwencji i nie ma istotnych różnic pomiędzy różnymi metodami. Najbardziej jednak uderzające jest odkrycie, że pomimo zwiększającej się w czasie liczby badań nad tymi metodami ich efektywność dzisiaj jest tak samo niska jak pięćdziesiąt lat temu. W różnorodności podejść nie odkryto rów-

nież żadnych kluczowych czynników, które miałyby wpływ na skuteczność interwencji.

Wyniki te nabierają wyrazistości, jeśli zestawimy je ze stale rosnącymi wskaźnikami dotyczącymi samobójstw. Jak podaje WHO, od lat sześćdziesiątych XX wieku do 2012 roku, w czasie kiedy w żaden sposób nie ulepszonego metod pomocy osobom próbującym targnąć się na swoje życie, wskaźnik liczby samobójstw w przeliczeniu na 100 tys. osób wzrósł o 60%. Dzisiaj około 1,5% ludzi umiera z własnej ręki. Samobójstwo jest jedną z najczęstszych przyczyn śmierci wśród ludzi młodych – w Polsce odpowiada za ok. 20% wszystkich zgonów wśród nastolatków. Na każde skuteczne samobójstwo przypada od 10 do 40 nieudanych prób. W samych Stanach Zjednoczonych koszty samobójstw szacuje się na 94 miliardów dolarów rocznie. Dodatkowo około 5,5% wszystkich dorosłych dokonuje systematycznie okaleczeń, a w okresie dorastania liczba ta sięga 17,2%. Czyżby ogrom wysiłku włożonego w pół wieku badań i doskonalenia metod pomocy potencjalnym samobójcom nie różnił się niczym od krzątający wyznawców kultu *cargo*, którzy nie potrafili sprowadzić samolotów na swoje pasy startowe?

Wiele na to wskazuje, szczególnie jeśli porównamy skuteczność ich oddziaływań z tak prostymi sposobami zapobiegania samobójstwom, jak różnego rodzaju restrykcje. W skali globalnej około jedna trzecia wszystkich samobójców do rozstania się z życiem wykorzystuje trujące pestycydy. Kiedy ONZ zaczęła wywierać presję na ograniczenie dostępności tych środków, podporządkowała się jej m.in. Sri Lanka, która w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych miała jedne z najwyższych wskaźników samobójstw na świecie. Wysiłki rządu tego kraju ograniczające dostęp do tych produktów doprowadziły do spadku ogólnej liczby samobójstw o 70%. Podobny regres nastąpił w Bangladeszu po wprowadzeniu regulacji ograniczających dostęp do trujących pestycydów, a zakaz sprzedaży środka chwastobójczego wykorzystywanego często w Korei Południowej jako trucizna spowodował natychmiastową redukcję liczby tego rodzaju samobójstw i przyczynił się do obniżenia ogólnej ich liczby. Podobne wysiłki podejmuje się w Chinach i Nepalu, i wszędzie obserwuje się wyraźne efekty. Oczywiście nie da się w tych wszystkich wypadkach wykluczyć innych czynników mających wpływ na liczbę samobójstw, ale tak wyraźne efekty, jakie zaobserwowano w związku z wprowadzeniem ograniczeń, przemawiają na ich korzyść.

Restrykcje dostępu do broni palnej, trujących leków i innych środków wykorzystywanych przez samobójców również wpływają na redukcję wskaźników samobójstw. Podobnie sprzyja tej tendencji ograniczenie dostępu do środków odurzających, w tym alkoholu. Nawet tak proste metody jak montowanie barierek na mostach i peronach metra czy kolei mają wpływ na liczbę samobójstw. Analiza przypadków targnięcia się na własne życie w szpitalach pokazała, że ich liczbę da się z łatwością ograniczyć, utrudniając dostęp do miejsc, z których można skoczyć z dużej wysokości lub gdzie można się powiesić. I chociaż zdeterminowany samobójca zawsze może znaleźć jakiś substytut, to jednak okazuje się, że utrudnianie mu tego zamiaru jest chyba najskuteczniejszą znaną dzisiaj metodą radzenia sobie z samobójstwami.

Przedstawiona metaanaliza efektywności metod zapobiegania samobójstwom i samookaleczeniom nie jest jedyną, która pokazuje bezsilność przedstawicieli nauk społecznych w stosunku do tego problemu. Odpowiedzi na pytanie o to, czy psychologia potrafi identyfikować czynniki ryzyka, które mogą pchnąć człowieka do śmierci z własnej ręki, udzielił kilka lat temu Joseph C. Franklin z Uniwersytetu Harvarda wraz ze swoim zespołem badawczym, i jest ona raczej gorzka: „Nasza analiza wykazała, że nauka potrafi przewidzieć przyszłe myśli

i zachowania samobójcze najwyżej tak, jakbyśmy zgadywali w przypadkowy sposób. Innymi słowy, ekspert zajmujący się samobójstwami po przeprowadzeniu pogłębionej analizy czynników ryzyka mógłby przewidzieć wystąpienie u pacjenta przyszłych myśli i zachowań samobójczych z taką samą dokładnością, jak ktoś bez jakiegokolwiek wiedzy o pacjencie na podstawie

rzutu monetą. To niezwykle upokarzające – po dziesiątkach lat badań nauka nie dokonała żadnego postępu w przewidywaniu aktów samobójstw” – stwierdził Franklin, komentując wyniki, które opublikowali w „Psychological Bulletin” pod koniec 2016 roku w postaci metaanalizy 365 badań przeprowadzonych na przestrzeni ostatniego półwiecza.



Był. Sławomir Makaj

Ponownie zatem należałoby zadać pytanie, czemu, poza rozwojem własnej kariery, służą tysiące opublikowanych badań i czym różnią się od działań wyznawców kultu *cargo* zmierzających do sprowadzenia na ziemię samolotów?

### Kiedy pojawia się straż pożarna, płomienie stają się większe

Liczyby ilustrujące pogłębianie się problemów, którymi zajmują się nauki społeczne, warto zestawić ze statystykami przyrostu liczby zajmujących się nimi specjalistów. Pobieźne obliczenia wskaźnika przyrostu psychologów we Wrocławiu pomiędzy czasem, kiedy ja kończyłem studia, a obecną sytuacją, uświadomiły mi, że gdyby to tempo zostało utrzymane, już za pięćdziesiąt lat byłoby w tym mieście ponad dwa miliony psychologów, co trzykrotnie przekroczyłoby liczbę obecnych mieszkańców! Na podstawie podobnych obliczeń dość szybko można dojść do przekonania, które wygłosił inny krytyk nauk społecznych, Stanisław Andreski, w swojej książce *Czarnoksiężstwo w naukach społecznych*: „Gdyby liczba psychologów i socjologów rosła nadal w takim tempie, jak na przestrzeni ostatnich lat, w ciągu kilku następnych stuleci przewyższyłaby zaludnienie ziemi”.

Oczywiście moje obliczenia nie uwzględniają wielu czynników, takich jak chociażby wymieranie części populacji psychologów itp., dlatego też mogą być traktowane wyłącznie anegdotycznie, jako ilustracja tezy Andreskiego. O tym jednak, że coś jest na rzeczy, świadczyć już mogą bardziej precyzyjne dane. Na przykład Instytut Psychologii Uniwersytetu Wrocławskiego w ciągu zaledwie pięciu lat rok po roku zwiększał swoją wydajność w zakresie kształcenia dyplomowanych psychologów i niemal ją podwoił. O ile w roku 2005 mury instytutu opuściło 119 dyplomowanych psychologów, o tyle w roku 2009 było ich już 226.

Podobne wnioski przynosi również analiza przyrostu liczby absolwentów nauk społecznych w Polsce. Według *Małego rocznika statystycznego* w 1998 roku zaledwie 0,04% Polaków stanowili absolwenci kierunków określanych jako nauki społeczne. W 2007 roku było ich już 0,16%. W tej liczbie znaczący udział miała psychologia. W tym samym czasie, kiedy liczba absolwentów nauk społecznych, wśród których jest wielu specjalistów od ochrony zdrowia psychicznego, zwiększyła się czterokrotnie, liczba pacjentów poradni zdrowia psychicznego w Polsce się podwoiła.

W USA liczba osób zatrudnionych na stanowisku psychologa rośnie w tempie ok. 3% rocznie. Liczba psychologów w Szwecji wzrosła w okresie od 2013 do 2019 roku o około trzy tysiące. O ile w 2013 roku było ich około 12,3 tys., to w 2019 roku liczba ta osiągnęła prawie 15,5 tys. Podobnie rzecz ma się w Wielkiej Brytanii. Podczas gdy w 2011 roku zatrudnionych było tam około 25,4 tys. psychologów, to w 2020 było ich już 32,3 tys.

Zestawienie rosnących jednocześnie liczb wykształconych profesjonalistów i ludzi z problemami, którymi ci specjaliści się zajmują, skłania do tego, aby poważnie się zastanowić nad inną sugestią Andreskiego: „Jeśli widzimy, że za każdym razem, kiedy pojawia się straż pożarna, płomienie stają się większe, mamy podstawy, by się zastanawiać, czego używają do gaszenia pożaru i czy przypadkiem nie dolewają oliwy do ognia”.

### Co na to przedstawiciele nauk społecznych?

Oczywiście istnieje szereg interpretacji takiego stanu rzeczy, których zadaniem jest obrona nauk społecznych. Jedną z częściej powtarzanych jest ta, która mówi, że to być może wzrost dostępności opieki w zakresie zdrowia psychicznego i innych podobnych usług profesjonalnych ujawnił rzeczywiste zapotrzebowanie na nie. Skala problemów dopiero dzisiaj została w pełni

poznana. Być może. Ale to tylko hipoteza równoznaczna z tą, że to wzrost liczby psychologów i psychoterapeutów doprowadził do wykreowania sztucznego popytu na ich usługi.

Inny sposób obrony polega na stwierdzeniu, że przyczyną pogłębiania się problemów, którymi zajmują się nauki społeczne, znajdują się poza ich kontrolą, i gdyby nie one i wysiłki ich przedstawicieli, liczba osób z problemami psychicznymi i wskaźniki niekorzystnych zjawisk społecznych byłyby dużo wyższe niż to dzisiaj pokazują statystyki. To przemiany społeczne, kulturowe, działania polityczne kreują te problemy i gdyby nie poświęcenie i ofiarność przedstawicieli nauk społecznych, wskaźniki rosłyby nie o 300% w ciągu dekady, ale o 500%. Cóż, i ta hipoteza mogłaby okazać się trafna, gdybyśmy poznali sposób jej sprawdzenia.

Jeszcze inna linia obrony zarzuca perspektywie patrzenia na nauki społeczne poprzez analogię do kultu *cargo* nadmierne przywiązanie do aspektu stosowanego tych nauk. Zgodnie z nią badania podstawowe nie zawsze przynoszą widoczne rezultaty, a czasami mijają lata, zanim pewne odkrycia zostaną wdrożone. Zdaniem zwolenników tej interpretacji zarzuty Feynmana, Andreskiego i innych krytyków nauk społecznych są bardzo krótkowzroczne, bo sprowadzają działania naukowców wyłącznie do aspektu praktycznego. Trudno się zgodzić z zarzutem nadmiernego pragmatyzmu w odniesieniu do nauki. Wiele dziedzin pracuje nad zagadnieniami, które nie będą miały żadnego, niewielki lub bardzo odroczony w czasie wpływ na rzeczywistość, w której żyjemy. Prawdopodobnie filozofia, kosmologia, matematyka czy astronomia nie dostarczą w krótkim czasie odkryć prowadzących do radykalnych i szybkich zmian w naszym życiu. A jednak nauki różnią się pomiędzy sobą głębokością zanurzenia w rzeczywistości, której dotyczą. Trudno raczej wyobrazić sobie sytuację, w której inżynierowie pracujący nad udoskonaleniem konstrukcji mostów twierdzą, że prowadzą badania podstawowe i na efekty ich prac trzeba będzie długo jeszcze czekać, podczas gdy kolejne mosty coraz częściej się wałają. Nauki społeczne, w tym psychologia, są bardzo blisko rzeczywistości, i nawet jeśli część ich przedstawicieli prowadzi badania podstawowe, to efekty powinny być prędzej czy później widoczne. Czy pół wieku badań i rozwoju, podczas którego niskie wskaźniki efektywności nawet nie drgnęły, to zbyt krótki czas na dokonanie ich oceny?

### Którędy biegnie linia demarkacyjna?

Ostatnia dekada wstrząsnęła niektórymi naukami, a psychologią w szczególności. Nieprawidłowości – takie jak fałszowanie wyników badań na ogromną skalę, brak replikowalności wielu prowadzonych badań, wykorzystywanie bardzo słabych metod statystycznych w analizach, brak dostępu do surowych wyników badań – wskazują, że poszukiwana przez filozofów nauki linia demarkacyjna pomiędzy nauką i pseudonauką prawdopodobnie biegnie przez obszar, który często bezsprzecznie za naukę przywykliśmy uznawać. Być może za kryterium tej demarkacji, podobnie jak za kryterium skuteczności i rytuałów *cargo*, powinniśmy uznać uzyskiwane efekty. I nie chodzi tutaj o efekty w postaci kolejnych publikacji, stopni naukowych, grantów badawczych i zaszczytów, bo przecież kapłani *cargo*, podobnie jak uczeni, są skuteczni w zdobywaniu uznania społecznego. Tymczasem oczekiwanie na realne efekty nauk społecznych do złudzenia przypomina sytuację bohaterki *Holistycznej Agencji Detektywistycznej* Dirka Gently'ego: „Czas płynął. Susan czekała. A im bardziej Susan czekała, tym bardziej dzwonek u drzwi nie dzwonił. Ani telefon”.

Dr Tomasz Witkowski, psycholog, pisarz,  
współzałożyciel Klubu Sceptyków Polskich

# Bocheńskiego pojęcie zabobonu a gender studies

W strukturę gender studies są integralnie wpisane postulatywne idee, według których należałoby bezwzględnie przemodelować całą, zewnętrzną względem poszczególnego człowieka, społeczno-kulturową rzeczywistość, aby zapewnić przyszłym pokoleniom szczęśliwe życie. Tymczasem w gender studies zbyt mało jeszcze udowodniono, aby uprawnione było postawienie aż tak daleko idących postulatów o charakterze praktycznym.

Jednym z częściej dyskutowanych w ostatnich latach zagadnień są uwarunkowania tożsamości płciowej człowieka. W dyskusji na ten temat biorą udział m.in. zwolennicy tezy, że tożsamość płciowa człowieka nie zależy od biologicznego wyposażenia danej jednostki, ale jest wypadkową różnych uwarunkowań społeczno-kulturowych, w których dana osoba funkcjonuje. Przekonanie to stało się już na tyle popularne, że mniej więcej od przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku rozwijają się dynamicznie interdyscyplinarne studia nad sposobami ujawniania się – jak to ujmują zwolennicy tej tezy – płci kulturowej (gender). Studia te są zaś określane jako gender studies. Natomiast zwolennicy gender studies oceniają uzyskane w ramach ich uprawiania osiągnięcia za genialne i nowoczesne (np. J. Senyszyn, A. Graff).

Warto zatem przyjrzeć się, czy aby przypadkiem przedstawiciele gender studies nie przesadzają w ocenianiu swoich osiągnięć, jeśli chodzi o ich intelektualną doniosłość. Jako punkt odniesienia proponuję przyjąć pojęcie zabobonu filozoficznego, którego autorem jest Józef Maria Bocheński (1902-1995), polski filozof, logik, dominikanin, a także m.in. rektor Uniwersytetu we Fryburgu. Przyjęcie takiego właśnie punktu widzenia, jak myślę, pomaga we właściwej ocenie racjonalnej wartości osiągniętych w ramach gender studies wyników.

## Bocheńskiego rozumienie „zabobonu filozoficznego”

Pojęcie zabobonu filozoficznego Bocheński przedstawia w książce *Sto zabobonów. Krótki filozoficzny słownik zabobonów* (1987). I chociaż książka ta jest utrzymana w tonie żartobliwym, a jej czytelnik co rusz jest przez autora karmiony humoreskami lub ironią, to jednak z „zabobonem” Bocheński rozprawia się w niej całkowicie „na poważnie”. Polski filozof

wskazuje kryteria, z pomocą których można odróżnić zabobon, tzn. przekonania, poglądy i teorie ewidentnie fałszywe, od takich, które zabobonem nie są.

Według Bocheńskiego filozoficznym zabobonem jest każde przekonanie (wierzenie, pogląd, teoria) w oczywisty sposób w wysokim stopniu fałszywe, a mimo to uważane przez swoich zwolenników za prawdziwe. Zdaniem Bocheńskiego podstawowych kryteriów, które pozwalają zidentyfikować filozoficznie zabobonne myślenie, jest sześć. Po pierwsze, wszelkie teorie, które w sobie zawierają sprzeczność lub do niej konsekwentnie prowadzą, są filozoficznie zabobonne. I aby tę sprzeczność odkryć, należy odsłonić ukryte założenia lub następstwa danego przekonania. Po drugie, zabobonem jest każde wierzenie, które zaprzecza bezpośredniemu doświadczeniu. Zaś chcąc wskazać, że dane wierzenie pozostaje w niezgodzie z bezpośrednim doświadczeniem, wystarczy odwołać się do oczywistości określonych spostrzeżeń. Po trzecie, jeśli jakaś teoria kłóci się ze zdrowym rozsądkiem, wówczas także jest zabobonna. A taka sytuacja ma np. miejsce wtedy, gdy bez wystarczających argumentów odrzuca się wiedzę mającą silne uzasadnienie. Po czwarte, jeśli zwolennicy danego poglądu uważają go za należycie uzasadniony, a tak w istocie nie jest, gdyż przywoływane przez nich argumenty są niewystarczające i można wskazać o wiele silniejsze kontrargumenty, wówczas myślą w sposób filozoficznie zabobonny. Po piąte, zabobonem jest uznawanie danego przekonania za pewne. I do ukazania, że w określonym przypadku mamy do czynienia z zabobonem, należałoby ujawnić, iż dane przekonanie nie zostało potwierdzone w takim stopniu, iż można je uznać za niezбите. Wreszcie po szóste, w filozoficznie zabobonnym myśleniu dochodzi do pomieszania sensu i zakresu używanych terminów. Dzieje

się to przede wszystkim w tzw. bełkocie, a także wówczas, gdy określonymu terminowi nadaje się rozbieżny sens w stosunku do sensu, jaki ów termin ma w języku, w którym dane przekonanie jest wyrażane. Mieszaniu pojęć sprzyja ponadto stosowanie terminów mętnych i nieostrych.

Trzeba tu wyraźnie zaznaczyć, że według Bocheńskiego każde z wyżej wymienionych sześciu kryteriów jest wystarczające do tego, aby dane przekonanie uznać za filozoficznie zabobonne. Oznacza to, że nie ma potrzeby, aby zostały spełnione wszystkie jednocześnie. Wystarczy, że dany pogląd podpadnie tylko pod jedno ze wskazanych kryteriów, a już należy uznawać go za filozoficzny zabobon.

## Gender studies – podstawowe założenia, tezy i postulaty

W gender studies kontestuje się kategorie analityczne, które przed pojawieniem się tego prądu myślowego uważano za oczywiste a ich treść za ustaloną raz na zawsze. Mowa tu o takich pojęciach jak: męskość, kobiecość, tożsamość płciowa, pokrewieństwo i rodzina. Zaś wśród owych kontestatorów na czoło wybijają się m.in.: David Schneider, Jane Collier, Michelle Z. Rosaldo i Sylvia J. Yanagisako, którzy położyli fundamenty pojęciowe pod prace innych, tzn. podobnych w myśleniu i późniejszych, badaczy. Za „założycielską” dla gender studies pracę należy też uznać dzieło Michela Foucaulta *Historia seksualności* (t. 1-3, 1976-1984). Natomiast na różnych polach studia nad społeczno-kulturową tożsamością prowadzili lub wciąż jeszcze rozwijają m.in.: Henrietta Moore, Signe Howell, Marit Melhuus, Frances Pine, Harriet Whitehead, Floya Anthias, Nira Yuval-Davis, Pnina Werbner, Jennifer Schirmer, Victoria A. Goddard, Anne Allison, Thomas Chivens, Melisa Llewelyn-Davis, Edward Said, Talal Asad, Homa Hoodfar, Subhadra M. Channa, Suzanne A. Brenner, Carole S. Vance, Emily Martin, Sandra Lee Bartky, Judith Okely, Michele Rivkin-Fish, Annick Prieur, Sofka Zinovieff oraz Eduardo P. Archetti. Swój wkład w rozwój gender studies wnieśli i wciąż też oczywiście wnoszą polscy badacze, np.: Joanna Senyszyn, Agnieszka Graff, Elżbieta Pakszys, Inga Iwaszów, Agata Chelstowska, Aleksandra Sygnowska, Jacek Kochanowski, Marzena Adamiak, Beata Bielska, Ewa Bińczyk czy Aleksandra Derra.

Podstawowym założeniem gender studies jest przekonanie, że w badawczym podejściu do rzeczywistości należy odróżnić dwie perspektywy: subiektywną i obiektywną. Perspektywa subiektywna polega na spoglądaniu na świat poprzez „okulary”, którymi jest kultura reprezentowana przez danego badacza (tzn. właściwy jej język, utarte schematy myślowe itp.). Z kolei w perspektywie obiektywnej takie „okulary” próbuje się odrzucić, gdyż ich używanie wydaje się zniekształcać osiągnięte wyniki, tzn. „zanieczyszcza” je pojęciami, schematami itd., które owszem są właściwe danej kulturze, ale już innej mogą być zupełnie obce. Perspektywa obiektywna polega więc ma na opisywaniu, analizowaniu i objaśnianiu rzeczywistości w sposób kulturowo neutralny. A zgodnie z terminologią wprowadzoną w 1954 r. przez amerykańskiego językoznawcę Kennetha Pike’a podejście kulturowo subiektywne określa się mianem *emic*, zaś dążące do kulturowej neutralności – *etic*.

W gender studies powątpiewa się, czy w badaniach nad rzeczywistością humanistyczno-społeczną jest możliwe zastosowanie perspektywy kulturowo neutralnej. Zdaniem np. D. Schneidera uważane dotąd za oczywiste w swym znaczeniu, a także niezależne od miejsca i czasu pojęcie rodziny okazuje się właściwe wyłącznie dla kultury zachodniej. Z kolei S.J. Yanagisako oraz J.F. Collier przekonują, że nie istnieją biologiczne i materialne fakty, które miałyby znaczenie kulturowe i dające się obiektywnie opisać, przeanalizować oraz wyjaśnić konsekwen-

cje o charakterze społecznym. Oznacza to, że w gender studies to, co jest związane z opisem ludzkiej biologii, jej funkcjonowaniem itd. (np. stosunek płciowy, ciąża i poród) jest traktowane jedynie jako swego rodzaju metafora, która została wyrażona z wykorzystaniem ściśle określonych „okularów” właściwych tylko tej konkretnej kulturze. Natomiast przy posłużeniu się innymi „okularami” metafora będzie inna, co sprowadza się do uznania, że nie istnieje niezależna od człowieka rzeczywistość, która bezwzględnie warunkowałaby np. charakter i strukturę międzyludzkich relacji.

Według przedstawicieli gender studies (np. M.Z. Rosaldo, A. Allison, S. Lee Bartky) „zyskiem” z uświadomienia sobie, że wszelkie fenomeny humanistyczno-społeczne – w szczególności rodzina, a także kategorie męskości i kobiecości – są jedynie ideologicznymi konstruktami, właściwymi tylko tej, a nie innej kulturze, jest możliwość precyzyjnego uchwycenia złożoności znaczeń określonych pojęć w danym ideowym klimacie, przy jednoczesnym uniknięciu niebezpieczeństwa nieuzasadnionego niczym „pomieszania” ze sobą różnych ich sensów, jakie mają one w innych, nieprzystających do siebie kulturach. Owszem, w gender studies uznaje się istnienie biologicznej różnicy między płciami, ale jednocześnie zaprzecza się, że te różnice generują jakieś skutki, które dałoby się zauważyć jako identyczne we wszystkich kulturach (H. Whitehead). Oznacza to, że kategorie płci i związane z nimi fenomeny (np. macierzyństwo, ojcostwo, małżeństwo, bycie żoną, bycie mężem i rodzina) są przez przedstawicieli gender studies (np. S. Lee Bartky) uważane za właściwe tylko tej konkretnej kulturze, która w sobie odpowiedni sposób kształtuje relacje między ludźmi.

W gender studies podkreśla się, że każdy społeczno-kulturowy model tożsamości płciowej należy traktować jako swego rodzaju gorset, który ogranicza oraz sztywno strukturyzuje życie, psychikę, a także samorozumienie oraz relacje danego człowieka z innymi ludźmi. Natomiast na ogół nie bierze się nawet pod uwagę możliwości, że określony model tożsamości płciowej dla przedstawicieli określonych kultur może być także impulsem, który pobudza ich do rozwoju, tworzenia więzi z innymi ludźmi itd. zgodnie z wzorcami właściwymi w danym środowisku społecznym (np. S.J. Yanagisako, J.F. Collier). Według przedstawicieli gender studies szczególnie szkodliwe jest odróżnianie w poszczególnych kulturach sfer życia domowego i publicznego, a także sztywnego modelowania w każdej z tych sfer pożądanego ról, jakie mają do odegrania kobiety i mężczyźni. W ten sposób ludzie zostają bowiem pozbawieni przysługującego im prawa do całkowicie swobodnego decydowania o własnym życiu i losie (np. V.A. Goddard, M. Llewelyn-Davies, H. Hoodfar, S.M. Channa, S.A. Brenner, J. Okley).

W ramach gender studies stawiane są też postulaty, które można podzielić na dwie grupy: badawczo-teoretyczne oraz społeczno-praktyczne (np. S.J. Yanagisako, J.F. Collier).

Do pierwszych należą: 1) kulturowa analiza znaczeń kategorii związanych z płcią, która ma na celu odsłonięcie, jak dane kategorie są rozumiane oraz jak są wprowadzane w życie przez ludzi w określonej kulturze; 2) tworzenie właściwych dla danej tradycji ideowej koncepcyjnych modeli różnic między płciami, co ma na celu umożliwienie studium konkretnych sytuacji, czyli np. badanie jakości życia danych osób lub grup; 3) historyczna analiza kategorii związanych z płciowością w celu przebadania ich czasowego rozwoju i zmian, w tym też odkrycia przyczyn i konsekwencji dostrzeżonych zmian.

Z kolei wśród postulatów społeczno-praktycznych na czoło wysuwają się następujące: 1) trwałe przemodelowanie – przy pomocy massmediów, podmiotów opiniotwórczych i prawa politycznego – poszczególnych kultur w taki sposób, by stały się one płciowo neutralne, tzn. nie przypisywały z góry poszczegól-

gólnym ludziom ze względu na ich płeć określonych ról do spełnienia w społeczeństwie; 2) absolutne zrównanie w obowiązkach i prawach kobiet z mężczyznami; 3) dekonstrukcja podziału ludzkiego życia na sferę domową i publiczną; 4) umożliwienie wszystkim ludziom całkowicie arbitralnego wyboru odnośnie do tego, jakie zadania – dotąd zwykle przypisywane dychotomicznie w poszczególnych kulturach bądź kobietom, bądź mężczyznom – i w jakich konfiguracjach będą w życiu spełniać.

Warto też wspomnieć, że w tekstach autorów genderowych licznie się pojawiają zabarwione emocjonalnym tonem wezwania do tego, aby wyżej wymienione postulaty, w szczególności te o zabarwieniu społeczno-praktycznym, zostały możliwie najszybciej urzeczywistnione. Oznacza to, że przedstawiciele gender studies chętnie sięgają po takie sformułowania, jak np.: „należy w społeczeństwach za wszelką cenę likwidować

dyskryminację ze względu na płeć biologiczną” (P. Werbner), „wokół ludzkiej płciowości toczy się wojna idei” (C.S. Vance) czy „w dyskusji wokół kwestii związanych z rozmnażaniem się trzeba przewycięzać męską perspektywę” (E. Martin).

### Z punktu widzenia pojęcia zabobonu...

Spróbujmy teraz ocenić gender studies, patrząc na nie z perspektywy „filozoficznego zabobonu” Bocheńskiego i wskazanych przez polskiego filozofa kolejnych kryteriów, które pozwalają zidentyfikować filozoficzny zabobon.

Po pierwsze, gender studies wydają się mieć znamiona studiów, w których istnieje wewnętrzne pęknięcie. Z jednej strony neguje się istnienie takiego wymiaru materialnej rzeczywistości, który miałby jakiegokolwiek znaczenie kulturowe i konsekwencje społeczne w aspekcie kształtowania się tożsamości płciowej. Ale też – z drugiej strony – kształtowanie się tożsa-



mości płciowej człowieka, sytuowanej wyłącznie na płaszczyźnie sensów i znaczeń kulturowych, objaśnia się na podstawie opisu i analizy fenomenów, które przynależą do tej materialnej rzeczywistości.

Po drugie, istotne tezy stawiane w ramach gender studies pozostają w jawnej sprzeczności z doświadczeniem bezpośrednim. Człowiek jest w gender studies postrzegany jako podmiot, w którego płciowym funkcjonowaniu cielesność nie odgrywa żadnej roli. Według autorów genderowych na kształtowanie się tożsamości płciowej człowieka wpływ ma bowiem nie biologiczna cielesność, a sfera znaczeń i sensów kulturowych, czyli szeroko rozumiana płaszczyzna ducha. A przecież wystarczy zwykle spostrzeżenie związane z odżywianiem się człowieka, aby dojść do przekonania, że człowiek to nie żyjący ideami duch, lecz istota integralnie zanurzona w materialną rzeczywistość. Mówiąc inaczej, skoro tylko do zachowania życia czło-

wiek potrzebuje regularnie nasycać swój organizm odpowiednią dawką cielesnego pokarmu, to tym bardziej jest oczywiste, że czynniki biologiczne muszą odgrywać również istotną rolę w kształtowaniu się wyższych, w tym także związanych z płciowością, przejawów ludzkiego sposobu bytowania.

Po trzecie, ze zdrowym rozsądkiem klóci się zawarta w korpusie genderowych przekonań teza, że nie istnieją właściwie wyłącznie biologicznym kobietom i mężczyznom funkcje i role społeczne, gdyż te zawsze są uwarunkowane kulturowo. Owszem w poszczególnych kulturach różnie układają się np. funkcje i role związane z wychowaniem potomstwa itd., ale w normalnych okolicznościach to zawsze kobiety rodzą, a mężczyźni je zapładniają. I już tylko na tej podstawie można sfalsyfikować genderową tezę, zgodnie z którą nie ma właściwych wyłącznie dla danej płci biologicznej funkcji i ról.

Po czwarte, w ramach gender studies twierdzi się, że poszczególne kultury proponują np. inne modele kobiecości oraz męskości. Przekonanie to stało się już paradygmatyczne dla tych studiów. Ale uczciwość intelektualna wymagałaby sprawdzenia – i to raczej przez przedstawicieli gender studies niż przez ich krytyków – czy przypadkiem przy takim nastawieniu nie zostają przeoczone jakieś „ideowe mechanizmy”, które we wszystkich kulturach i społeczeństwach w ten sam sposób określają kobiecość i męskość. Być może jest też możliwe pokazanie, że fenomeny i wzorce społeczno-kulturowe, które w gender studies interpretowane są jako różne, w istocie rzeczy są jednak identyczne bądź też wskazywane różnice są wyłącznie marginalne. I już tylko zwrócenie uwagi na tę wątpliwość sprawia, że tezy i postulaty stawiane w ramach gender studies przedstawiają się jako nienależycie uzasadnione.

Po piąte, w strukturę gender studies są integralnie wpisane określone postulatyczne idee, według których należałoby bezwzględnie przemodelować całą, zewnętrzną względem poszczególnego człowieka, społeczno-kulturową rzeczywistość, aby zapewnić przyszłym pokoleniom szczęśliwe życie. Ale te postulaty są nabudowane na tezach czy raczej hipotezach, których aktualna pewność, jak się wydaje, nie pozwala na sformułowanie aż tak mocnych i dalekosiężnych – jeśli chodzi o ich ewentualne skutki, gdyby zostały urzeczywistnione – praktycznych postulatów. Mówiąc inaczej, w gender studies zbyt mało jeszcze udowodniono, aby uprawnione było postawienie aż tak daleko idących postulatów o charakterze praktycznym.

Po szóste, w gender studies dochodzi do pomieszania sensów i znaczeń używanych terminów, tzn. takie pojęcia jak kobiecość, męskość czy rodzina są używane mętnie i niejednoznacznie. Chodzi o to, że do znaczeń tego typu terminów, mających w poszczególnych językach ustalony sens, przenosi się treści zaczerpnięte z innych kultur (języków) albo też się je logicznie wadliwie uogólnia. Czyni się to np. poprzez wskazywanie, że w kulturze (języku) japońskiej „kobiecość” oznacza coś innego niż w polskiej, a zatem w polskiej „kobiecość” też powinno się rozumieć inaczej.

Patrząc zatem na gender studies z perspektywy Bocheńskiego pojęcia zabobonu filozoficznego, a zwłaszcza mając na uwadze jego spostrzeżenie, że dane przekonania należy traktować jako filozoficzny zabobon już wówczas, gdy podpadną pod jedno tylko ze wskazanych przez filozofa kryteriów, można powiedzieć, że gender studies stwarzają pozory prawdy. Oznacza to, że można mieć uzasadnione wątpliwości odnośnie do prawdziwości formułowanych w ich ramach tez i słuszności stawianych praktycznych postulatów.

*Ks. dr Działoszki Kieliszek, Wydział Teologii Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie*

# Indeks czasopism nakazanych

Instytucja wykazu czasopism (i wydawnictw) jest snem szalonego technokraty. Sama publikacja artykułu w czasopiśmie lub wydawnictwie ujętym na jakiejś urzędniczej liście nie stanowi absolutnie żadnej gwarancji jakości tej pracy. Uzasadnianie prawdziwości tego stwierdzenia przypomina dowodzenie kulistości Ziemi.

Komunikaty ministra edukacji i nauki z 9 i 18 lutego 2021 r. dotyczące zmian w wykazie czasopism to dwa granaty wrzuczone w sam środek naukometrycznej kloaki. Na początku zauważę jednak optymistycznie, iż nowy wykaz ma pewne zalety, gdyż poszerza nasze horyzonty. Mnie uświadomił na przykład rozległość granic językoznawstwa. Do mojej dyscypliny przypisano w nim bowiem (za 20 pkt) czasopismo „Journal of Fish Taxonomy”. Nie sposób orzec, coż językoznawcy mogą mieć do powiedzenia na temat taksonomii ryb, ale twórcy wykazu z pewnością postawili sobie za cel zachęcenie polskiej lingwistyki do wypłynięcia na szerokie wody.

Zaczynam ten komentarz z przymrużeniem oka, bo przecież wylansowana i firmowana przez naukometrystów instytucja wykazu czasopism jest w swej istocie gatunkiem kabaretowym. A najnowszy wykaz jest po prostu kolejnym groteskowym utworem należącym do tego genre'u.

## Nieomyślne narzędzie obiektywizacji

Językoznawstwo może zajmować się wszystkim, co dotyczy człowieka, w takim zakresie, w jakim ludzka aktywność wymaga tworzenia środków komunikacji językowej. Biolodzy wyróżnianym gatunkom nadają nazwy binominalne, a inżynierowie budownictwa lądowego tworzą terminologię techniczną związaną z konstrukcją budynków. Z ostatniego faktu nie sposób jednak wywodzić słuszności uznania „Przeglądu Budowlanego” za czasopismo językoznawcze, podobnie jak nie sposób uznać za takie „Journal of Fish Taxonomy”. Każdą naukę definiuje jej przedmiot. A zakres tematyczny ostatniego z wymienionych czasopism nie ma punktów wspólnych z przedmiotem językoznawstwa. Tego jednak KEN-owscy naukometryści chyba nie przyjmują do wiadomości, bo bazy bibliometryczne każą im wierzyć w co innego. Wobec wspaniałomyślnego obdarowania językoznawców możliwością ogłaszania prac w czasopiśmie poświęconym taksonomii ryb smuci mnie jednak fakt, że w wykazie nie przypisano do językoznawstwa kwartalnika „Ziemiak Polski” (dawna lista B, 5 pkt). Miałem zupełnie poważne plany opublikowania w nim artykułu stricte językoznawczego, co

jednak – przynajmniej na razie – pozostanie moim niespełnionym marzeniem.

Przykład periodyku poświęconego taksonomii ryb pokazuje absurdalność mechanicznej oceny czasopism. Pokazuje też bezdenne bezsens i nieuczciwość intelektualną naukometrycznej wizji świata, zgodnie z którą pod postacią wykazu czasopism proponuje się nam w ewaluacji instrument, jakiego nie da się porządnie i przyzwoicie opracować bez rzetelnego zapoznania się z treścią ostatnich kilkunastu roczników każdego czasopisma (czego naturalnie żaden naukometrysta robić nie zamierza, bo arkusz kalkulacyjny jest nieomyślnym narzędziem obiektywizacji). Prawdopodobna etiologia pomyłki, która zaszła w wypadku „Journal of Fish Taxonomy”, jest prosta: w opisie zakresu tematycznego wspomnianego czasopisma pojawia się hasło „morfologia”, co naukometrycznej sztucznej inteligencji pozwoliło utożsamić morfologię ryb z morfologią jako działem językoznawstwa (tj. z fleksją i słowotwórstwem). Naukometryści z KEN są tak mądrzy, jak mądre są ich komputery, które za nich wykonują całą robotę: importują dane z komercyjnej bazy, po czym na ich podstawie w tworzonym wykazie przypisują czasopismom punkty i dyscypliny – bez czytania i bez wzięcia do ręki choćby jednego wydania danego periodyku. Efekty widzimy wszyscy. A mówię tu o wersjach wykazu poprzedzających ręczne modyfikacje powszechnie zarzucane ministrowi Przemysławowi Czarnkowi.

Spróbuję spojrzeć na wykaz z urzędniczej perspektywy jego twórców. Nie będę się więc zajmował kwestią tego, które czasopisma są naprawdę językoznawcze, a zamiast tego przyjrę się periodykom, które w wykazie jako takie sklasyfikowano. Porównałem zbiór czasopism przypisanych do językoznawstwa w wykazach ogłoszonych komunikatami z 18 grudnia 2019 i z 9 lutego 2021. W związku z tym w kategorii „nowości językoznawczych” mogą się mieścić zarówno czasopisma po raz pierwszy ujęte w wykazie, jak i te, które w wykazie już były, ale teraz po raz pierwszy przypisano je do językoznawstwa (tego nie filtrowałem). Modyfikacji wykazu dokonanej komunikatem z 18 lutego 2021 r. nie poddawałem już szczegółowej analizie – na

wypadek, gdyby częstotliwość wydawania aktualizacji „indeksu” uległa dalszemu zwiększeniu.

W starszym wykazie za językoznawcze uznano 1286 czasopism, w nowym (z 9 lutego 2021 r.) – 1399. Wśród nowości językoznawczych obok „Journal of Fish Taxonomy” pojawia się „Italian Journal of Gender-Specific Medicine”. Zwiększenie punktacji dotyczyło dolnej części stawki: w zasadzie znakomita większość czasopism, które dostały więcej punktów, to te, które w poprzednim wykazie miały punktów 20 lub były nieobecne. I tu kolejna ciekawostka: największym zwycięzcą w kategorii czasopism „językoznawczych” są „Wiadomości Konserwatorskie” (20 > 100). Są też w tej kategorii trzy spektakularne debiuty. Trzy czasopisma pojawiły się (jako przypisane do językoznawstwa) od razu z wynikiem 70 (wśród nich „Journal of Women and Gender in Higher Education”, co już raczej nie jest ręczną „wrzutką” dokonaną przez ministra). Łącznie punktację (w tym z zera punktów) podniesiono 106 czasopismom „językoznawczym”, z czego 87 odnotowało wzrost o zaledwie 20 pkt. Ponieważ ewaluacja ma się odbywać w poszczególnych dyscyplinach, międzydyscyplinowe różnice przyrostu średniej punktacji w nowym wykazie mają, jak mi się wydaje, ograniczone znaczenie.

Wprawdzie językoznawstwo nie jest nauką aż tak rozległą, by mogło się zajmować taksonomią ryb, ale jest mimo wszystko bardzo zróżnicowane wewnętrznie. Podobnie jak medycyna zawiera ono w sobie gałęzie i specjalności tak od siebie odległe, że ich przedstawiciele nie mają większej potrzeby komunikowania się ze sobą. Istotna różnica w porównaniu z medycyną polega jednak na tym, że językoznawstwo jest wewnętrznie zdwersyfikowane także pod względem lokalności i globalności swojego przedmiotu, co wprost przekłada się na możliwości publikacyjne: inny potencjał publikacji w międzynarodowych periodykach ma polski językoznawca zajmujący się metodologią komputerowego językoznawstwa korpusowego, inny anglista, inny polonista, inny indoeuropeista, inny teoretyk przekładu, inny onomasta, a jeszcze inny – specjalista w zakresie dialektologii wschodniosłowiańskiej. Z perspektywy parametryzacji jednostek naukowych i z perspektywy wykazu czasopism wszyscy ci językoznawcy wrzuceni są do jednego worka i mają ze sobą konkurować.

### Vollwertige Polonistik nur auf Deutsch?

Czy w tej nierównej walce polonista zdobędzie dla swej instytucji odpowiednio dużo punktów do ewaluacji w dyscyplinie językoznawstwo? Tu ciekawie wypada weryfikacja ministerialnych deklaracji o dowartościowywaniu „polskości”. W swoim komentarzu do nowego wykazu (z tytułowanym *Troska o rozwój i jakość polskiej nauki*) Departament Informacji i Promocji Ministerstwa Edukacji i Nauki pisze: „Względnie także siłę oddziaływania czasopism we właściwych dla nich dziedzinach badań, a także ich związek z kulturą narodową oraz rolę w umacnianiu tożsamości cywilizacyjnej kultury polskiej. Wiele z czasopism posiadało unikalny, pozytywny i jedyny w nauce polskiej wkład w rozwój danych dziedzin wiedzy. Wkład ten był kryterium oceny i wartościowania, który należało docenić” (zachowano oryginalną pisownię pierwszej opublikowanej wersji komunikatu).

Warto przyrzeć się temu, jak w wykazie prezentuje się potencjał publikacyjno-punktowy językoznawców polonistów na tle np. anglistów czy przedstawicieli teoretycznego językoznawstwa ogólnego. W kategorii czasopism za 200 punktów nie ma żadnego czasopisma o profilu stricto polonistycznym. Właściwie jedynym czasopismem o profilu sławistycznym jest tam „Welt der Slaven-Halbjahresschrift fur Slavistik” (pisownia tytułu wg wykazu). Nietrudno natomiast wskazać w tej gru-

pie liczne czasopisma jednoznacznie zorientowane na badanie i opis języka angielskiego, które prac z zakresu polonistyki czy sławistyki po prostu nie przyjmą.

Przyjrzyjmy się teraz trzem kamieniom węgielnym polskiej lingwistyki. Trzy najstarsze polskie periodyki językoznawcze to „Prace Filologiczne” (założone w 1884), „Poradnik Językowy” (1901) i „Język Polski” (1913). Nie będę się tu rozwodził nad zasługami tych czasopism dla rozwoju językoznawstwa polonistycznego i dla kultury języka polskiego. Dość powiedzieć, że widziałem recenzję wniosku profesorskiego, w której kandydatowi zarzuca się, że niczego nie opublikował w „Poradniku” ani w „Języku Polskim”. Cytowany wyżej komentarz MEiN do nowego wykazu stwierdza: „Liczne czasopisma funkcjonujące w kulturze polskiej, odgrywające poważną rolę w rozwoju całych obszarów wiedzy albo nie były obecne na listach albo przypisana im liczba punktów była zbyt niska biorąc pod uwagę tę rolę” (pisownia oryginalna). Jak więc wygląda w nowym wykazie punktacja trzech najstarszych i najbardziej zasłużonych polskich czasopism polonistycznych i językoznawczych? Odpowiednio: 40 (wzrost z 20), 20 (bez zmian), 70 (bez zmian). Tyle w kwestii tego, na ile spójne są działania ministerstwa w obszarze punktacji z deklarowanymi wartościami i celami. (W komunikacie z 18 lutego punktację „Poradnika” zwiększono do 40 punktów).

Powyższe spostrzeżenia dotyczyły wykazowych nizin. Uwadze zainteresowanych polecę teraz kuriozum z przeciwnego bieguna „indeksu czasopism nakazanych”. Od 2016 r. na Uniwersytecie Świętych Cyryla i Metodego w Trnawie (Słowacja) wydawany jest półrocznik „Lege Artis – Language Yesterday Today Tomorrow”. Publikacja w nim wiąże się z koniecznością uiszczenia opłaty w wysokości od 200 do 400 euro (zależnie od objętości artykułu). Dotychczas czasopismo nie zdołało dostać się do bazy Scopus. Redakcja nie jest członkiem Committee on Publication Ethics (COPE). „Lege Artis” obecne jest wyłącznie w ESCI (WoS). Wszystkich, którzy mają dostęp do bazy WoS, zachęcam, by sprawdzili, ile procent zliczonych przez WoS cytowań artykułów opublikowanych w „Lege Artis” to cytowania w samym „Lege Artis” (cytowania wewnątrz czasopisma). W każdym razie to wystarczyło, by czasopismo bez tradycji, renomy i rozpoznawalności (ręka w górę: kto z językoznawców słyszy o nim po raz pierwszy) uzyskało w ministerialnym wykazie – także w jego poprzednich wersjach – okrągłe 200 punktów. Sic! Wszyscy, z którymi ten wypadek omawiałem, na początku myśleli, że w wykazie błędnie wpisano o jedno zero za dużo i punktów powinno być maksymalnie 20.

Jasno chcę tu zaznaczyć: nie idzie mi o stawianie samego „Lege Artis” pod pręgierzem. Nie mam powodów podejrzewać redakcji tego czasopisma o jakiegokolwiek nieetyczne praktyki. Ale wobec 20 punktów przyznanych wielu czasopismom obecnym w JCR (lub w wypadku humanistycznych – w AHCI) i ukazującym się od ponad wieku – 200 punktów przyznanych czasopismu o zaledwie kilkuletniej historii i ujętym wyłącznie w ESCI jest miarą nierzetelności wykazu i braku związku między liczbą punktów a rzeczywistą renomą i znaczeniem periodyków.

### Indeks czasopism jako narzędzie demoralizacji

Instytucja wykazu czasopism (i wydawnictw) jest snem szalonego technokraty. Sama publikacja pracy w czasopiśmie lub wydawnictwie ujętym na jakiejś urzędniczej liście nie stanowi absolutnie żadnej gwarancji jakości tej pracy. Uzasadnienie prawdziwości tego stwierdzenia przypomina dowodzenie kulistości Ziemi. Ileż artykułów ogłoszonych w topowych czasopismach zostało ostatnio opatrzone adnotacją „RETRACTED”? A ile się uchowało, mimo że też zasługiwały na wyco-

fanie? Głośno jest ostatnio o tym, że po wychwalanej przez naszych naukomistrzów bazie bibliometrycznej przypuszczalnie grasują setki drapieżników (predatory journals) – zob.: <https://doi.org/10.1007/s11192-020-03852-4> oraz <https://doi.org/10.1038/d41586-021-00239-0>. Gadka o „zasadzie dziedziczenia prestiżu” jest sloganem godnym lobbystów i przedstawicieli handlowych, a nie naukowców. Przede wszystkim jednak zauważyć trzeba, że istotnym skutkiem funkcjonowania instytucji wykazu czasopism jest głęboka demoralizacja środowiska naukowego. Oddziaływanie „indeksu czasopism nakazanych” rozpada się bowiem na dwa główne obszary: 1) rozdawanie jaźni i 2) pejperyzację nauki.

Polski naukowiec zmuszony jest funkcjonować równolegle w dwóch systemach walutowych (tak, dzięki wykazowi wszyscy jesteście Pewexami!). Nauce chce on oddać to, co naukowe, zaś swojej jednostce powinien oddać to, co parametryzacyjne. A że kursy tych dwóch walut nierzadko rozmiągają się ze sobą w sposób spektakularny, polski naukowiec musi sobie radzić z poważnym dysonansem: to, co jest jego największym osiągnięciem pod względem merytorycznej treści i uznania w rzeczywistym obiegu naukowym, w obiegu ewaluacyjnym może po prostu nie istnieć przez wzgląd na miejsce publikacji. Tak w praktyce działa „dziedziczenie prestiżu”.

U niektórych, na ogół słabszych naukowców mechanizm obronnym chroniącym przed pozostawaniem w intelektualnym

szpagacie bywa akceptacja „prawdy wykazu”. Wykazy dekretują bowiem rzeczywistość, stwarzając jednocześnie pozory, że jedynie opisują tzw. rzeczywistość obiektywną (to przynajmniej zadeklarowano w Ustawie 2.0). Dość przeciętne czasopiśma krajowe jeszcze w „gowinowskim” wykazie dostały 70 pkt i nagle w oczach niektórych stały się „prestiżowe”. Równocześnie były i są tam zagraniczne czasopiśma pozostające w realnym obiegu międzynarodowym, które mają punktów ledwie 20. I teraz najważniejsze: rozsądny autor i rozsądny recenzent wie, że wykazy to urzędnicza rzeczywistość papierowa, co powyżej luźno powiązana z realną wartością naukową. Wiedzą to też krajowi eksperci w NCN-ie. Zagraniczni eksperci NCN-u, zagraniczne instytucje finansujące i zagraniczni współpracownicy tego najpewniej nie wiedzą, ale tylko dlatego, że w ogóle nie zaprzętają sobie głowy istnieniem polskich wykazów ministerialnych. Natomiast nigdy nie wiemy, kiedy na krajowym podwórku trafimy na kogoś obdarzonego myślowymi horyzontami konia dorożkarskiego, kto ma na oczach kłapki i rozumie tylko tyle, że 70 punktów w Pcimiu to już prestiż i jakość, a 20 gdzieś za granicą (oczywiście w naukowym pierwszym świecie) to z pewnością barachło i marnowanie slotu.

Drugim obszarem demoralizacji, do jakiej prowadzi wykaz, jest pejperyzacja nauki. Choć może trafniejsze byłoby stwierdzenie, że relacja jest tu dwukierunkowa: pejperyzacja nauki jako wyraz kultury opakowań w znacznej mierze ukształtowała

Fot. Stefan Ciechan



ideę wykazu. Homo scientometricus, zanim cokolwiek zbada i podejmie jakikolwiek naukowy trud, musi sobie odpowiedzieć na fundamentalne pytanie: czy będzie z tego pejper? Jeśli odpowiedź wypadnie pozytywnie, a szczególnie jeśli będzie to pejper dający widoki na wetknięcie do dobrze punktowanego czasopisma, wtedy homo scientometricus upatrzonej temat uznaje za wart opracowania. Ciekawość badawcza, pasja poznania i chęć podejmowania ryzyka w otwieraniu nowych ścieżek niewiele już się wtedy liczą. Ważne, by był z tego pejper. Co najmniej za 100 punktów. Dopóki ewaluacja działalności naukowej odnosić się będzie nie do jej treści, ale do opakowań, w których jest ona porcjowana i prezentowana, dopóty etos naukowy będzie wyłącznie sprawą dla hobbyistów i pasjonatów.

### Koniec władzy naukometrystów?

Nie zamierzam bronić ministra Czarnka. Kto ma oczy do patrzenia, ten widzi, co się obecnie wyprawia. Ale nie będę też ministra krytykował, bo to byłoby po prostu nudnym powtarzaniem zarzutów, jakie pod jego adresem w ostatnich dniach i tygodniach padły tysiące razy. Sądzę jednak, że polska nauka winna mu wystawić pomnik nie za jedno, lecz za dwa wybitne osiągnięcia. Oprócz totalnego skompromitowania instytucji wykazu czasopism – jako technokratycznego cepa podatnego na wpływy i manipulacje polityków i koterii naukowców, których przecież nigdy nie zabraknie nad uchem żadnego z przyszyłych ministrów nauki – uświadomił on nam jeszcze kondycję akademickich elit naukowej władzy. Wykazowo-ewaluacyjnego porządku ustalonego za czasów Jarosława Gowina z nieszczerogólnym heroizmem bronią teraz bowiem dworzanie, którzy na Narodowym Kongresie Nauki zachwalali reformę i z którymi Gowin podzielił się władzą, już to namaszczać ich do zasia-dania w gremiach centralnych, już to wmontowując w Ustawę 2.0 furtkę do rektorskiego absolutyzmu. A tymczasem wraz z przejściem min. J. Gowina na „nowy odcinek” cały układ się posypał. Nowy król nie zamierza się układać z królewietami.

W „Dzienniku Gazecie Prawnej” Emanuel Kulczycki uskarża się, że: „Zmiany w wykazie nie mogą być czynione tylko na podstawie widzimisię ministra: to niszczy zaufanie do procedury, w którą były zaangażowane setki naukowców”. Cieszy, rzecz jasna, samozadowolenie piewcy „zasady dziedziczenia prestiżu”, gdy mówi o zaufaniu do procedur. Tyle tylko, że zaufanie w tych procedurach pokładają chyba wyłącznie osoby zaangażowane w ich tworzenie i realizację. Trzeba by się ponadto zastanowić, czy wspomnianego „zaufania” w pierwszej kolejności nie podkopali jednak ci, którzy suflowali ministrowi Gowinowi naukometryczno-wykazowy instrument ewaluacji, przechwycony teraz i wykorzystany przez ministra Czarnka.

Stwierdzenia o „setkach naukowców” zaangażowanych w opracowanie wykazu ocierają się o manipulację. Naukowców najpierw zapytano bowiem o zdanie, a potem z tym zdaniem niezbyt się liczone. Niektóre zespoły dyscyplinowe publicznie protestowały w związku z tym przeciwko zignorowaniu ich propozycji na etapie opracowywania pierwszego wykazu przez KEN i ministra Gowina. Na tym też etapie KEN i ministerstwo zignorowały postulaty Komitetu Językoznawstwa PAN i Rady Języka Polskiego przy Prezydium PAN dotyczące punktacji wybranych czasopism językoznawczych.

Jeśli za polską społeczność naukową uznać tych, którzy całe dni spędzają w laboratoriach, pracowniach, bibliotekach i na salach wykładowych, a nie na posiedzeniach rad uczelni, w gabinetach rektorskich i w innych strukturach władzy oderwanych od merytorycznej pracy naukowo-badawczej, to śmiało można powiedzieć, że ze strony owej społeczności (wyloniona przez Gowina) KEN ma legitymację do wartościowania czasopism równie lichą, jak licha jest społecznością

legitymacja ministra Czarnka do dyskrejonalnego modyfikowania listy periodyków. Tu zresztą powraca wątek osobliwej selekcji głosów, w które się Gowinowy ancien régime wsłuchiwał przy projektowaniu i wdrażaniu Ustawy 2.0. Jarosław Gowin może jeszcze tysiąc razy powtórzyć, że „Konstytucja dla Nauki” to najlepiej skonsultowana reforma na świecie, a i tak nie stanie się to prawdą. Jaskrawym tego wyrazem może być choćby to, że przy tworzeniu wykazu całkowicie pominięto komitety naukowe PAN, którym przecież można było powierzyć wstępną wycenę czasopism. Zamiast tego zdecydowano się powoływać zespoły, które miały tę jedną niezaprzeczną „zaletę”, że ich skład dobierany był przez ministerstwo, a nie – jak to jest w wypadku komitetów PAN – przez samych naukowców. Trzeba więc okazać pokładów bezczelności, by teraz na „środowisko naukowe” powoływać się w obronie instytucji wykazu czasopism – instytucji ukształtowanej przez głównych aktorów Gowinowej reformy, którzy na wspomniane środowisko patrzą zazwyczaj z góry.

Obecna w polskiej akademii niechęć do ministra Czarnka może jednak wkrótce paradoksalnie sprawić, że liczni uczestnicy polskiego życia naukowego, którzy jeszcze niedawno utożsamiali naukometrię z tyranią i najbardziej ordynarną formą uzurpowania sobie prawa do oceny dorobku, którego się na oczy nie widziało, zaczną niebawem wyglądać czasów, gdy Pan Punktoza wróci na białym koniu, by nas wybawić od 40 punktów przydzielonych przez Czarnka periodykowi Ojca Dyrektora.

Postulaty anulowania i unieważnienia lutowych komunikatów ministra nie do końca są słuszne. Głównie dlatego, że w ramach ogłoszonych przez siebie nowych wersji wykazu minister Czarnek – tylko częściowo zgodnie z propozycją KEN – podniósł wycenę także tym czasopismom, którym punktacja wyższa niż 20 punktów od dawna się należała, a którym naukometryści Gowinowego ancien régime’u tej podwyżki ze znanych tylko sobie powodów przyznać nie chcieli (vide wspomniany wcześniej kazus „Poradnika Językowego”). Można oczywiście te nowe wykazy negocjować w całości, także kosztem tych czasopism, które uzyskały w nich dobrze zasłużone (choć wciąż za małe) bonusy, ale wtedy będzie to poszerzeniem typowej polskiej argumentacji. Do uzasadnień „nie, bo RODO” i „nie, bo COVID” dopisane zostanie „nie, bo Czarnek”. A jeśli ktoś jest zdania, że nowe wersje wykazu muszą zostać in extenso zniesione, bo powstały niezgodne z rozporządzeniem, powinien wziąć pod uwagę także to, że sama instytucja wykazu czasopism powstała niezgodnie ze zdrowym rozsądkiem i naukową rzetelnością.

Pochodząca z łaski Jarosława Gowina władza naukometrystów właśnie się skończyła, a minister Przemysław Czarnek liczy się z mądrością baz bibliometrycznych tak samo, jak celebryci naukometrii jeszcze niedawno liczyli się z głosami wybitnych naukowców, którzy nigdy nie starali się wejść w orbitę ministerstwa. Reprezentantom kwiatu polskiej bibliometrii obecny szef resortu nauki przeznaczył co najwyżej rolę uschniętej paprotki, dawnej ozdoby prezydyjnego stołu. Każdemu na koniec jego własny dowcip. Tworzenie wykazów a priori dekretujących wartość prac naukowych zawsze będzie hucpą opartą na autorytecie wyłącznie deontycznym. Obecnie deontyczny autorytet gwiazd naukometrii zainstalowanych w KEN został zastąpiony deontycznym autorytetem ministra. Oba te autorytety są sobie równe. Ceterum censeo Carthaginem Indicis Periodicorum esse delendam.

*Dr Wojciech Whoskowicz, językoznawca, onomasta, germanista, slawista, laureat Nagrody Prezesa Rady Ministrów, stypendium Ministra NiSW dla wybitnych młodych naukowców i stypendium NCN Etiuda, kierownik grantu NCN Sonatina, prezes Zarządu Polskiego Towarzystwa Onomastycznego*

# Pułapki ewaluacji

Przeniesienie mechanizmów używanych w kategoryzacji jednostek naukowych na ocenę indywidualnych pracowników prowadzi do patologii.

Sposób indywidualnej oceny okresowej pracowników wielu uczelni powiela mechanizmy rozporządzenia dotyczącego kategoryzacji jednostek naukowych. Argumentem za takim rozwiązaniem ma być zmobilizowanie pracowników do zachowań, które zmaksymalizują liczbę punktów uzyskiwaną przez uczelnię w procesie kategoryzacji, a tym samym przełożą się na wysokość subwencji uzyskiwanej z ministerstwa. To jednak prosta droga do katastrofy – sprzeniewierzenie się misji edukacyjnej uczelni, a także, w pewnej perspektywie, patologiczne ukształtowanie jej profilu naukowego, preferujące kierunki badań najbardziej korzystne z punktu widzenia algorytmu ewaluacji. Przed przenoszeniem ocen instytucjonalnych na oceny indywidualne ostrzegają eksperci, a także międzynarodowe ciała skupiające uczelnie.

## Pułapka wielu autorów

Przyjęty sposób punktowania prac wieloautorskich miał w zamiśle premiować współpracę naukowców pracujących w różnych jednostkach, przy czym dotyczyło to w największym stopniu publikacji w miejscach najbardziej prestiżowych. Oczywiście takie założenie jest jak najbardziej uzasadnione, chociaż jego praktyczna realizacja okazała się trudna.

W szczególności punktacja za autorstwo artykułu w czasopiśmie naukowym lub materiałach konferencyjnych zamieszczonych w wykazie czasopism, dla publikacji z punktacją 200, 140 bądź 100 punktów, zapewnia 100% punktów dla oceniającej jednostki (przez ewaluowaną jednostkę należy rozumieć dyscyplinę naukową afiliowaną w danej uczelni) bez względu na stosunek liczby autorów z ewaluowanej jednostki do liczby wszystkich autorów.

Wspomniane wyżej rozwiązanie może być wyraźnie niesprawiedliwe. Wyobraźmy sobie, że artykuł oceniany na 100 punktów został napisany przez dziesięciu autorów, z czego jeden jest pracownikiem jednostki A, a pozostałe osoby są pracownikami jednostki B. W tej sytuacji jednostka A otrzyma 100 punktów na konto swojego pracownika, a jednostka B również otrzyma 100 punktów. Czyli obie jednostki otrzymają tę samą liczbę punktów do ewaluacji, podczas gdy wkład w powstanie artykułu był znacząco większy w jednostce B (dla uproszczenia zakładam równe udziały wszystkich autorów w powstaniu publikacji). O ile niesprawiedliwość ta może nie mieć większego znaczenia w przypadku ewaluacji dużych jednostek naukowych, to w przypadku przenoszenia tego podejścia na ocenę indywidualną możemy sobie wyobrazić, że w skrajnym przypadku pracownik z jednostki A, świadczący drobne usługi pomiarowe

dużemu zespołowi z jednostki B i z tego powodu dopisywany do listy autorów każdej publikacji dużego zespołu, może w jednostce A zostać zupełnie niezasłużenie „naukową gwiazdą”.

Wyobraźmy sobie z kolei, że artykuł oceniany na 100 punktów został napisany przez dziesięciu autorów, przy czym każdy jest zatrudniony w innej jednostce. W tej sytuacji każda jednostka otrzyma 100 punktów, czyli jedna publikacja za 100 punktów wygeneruje łącznie 1000 punktów do ewaluacji jednostek.

## Pułapka dwóch dyscyplin

Gdy dwóch stale współpracujących ze sobą i wspólnie publikujących naukowców przypisze się do dwóch formalnie różnych, ale zbliżonych do siebie dyscyplin, może na podstawie wspólnej publikacji otrzymać komplet przyznawanych za nią punktów. Załóżmy, że jeden ze współpracujących ze sobą informatyków jest przypisany do dyscypliny informatyka, a drugi do dyscypliny informatyka techniczna i telekomunikacja. W wyniku tego, przykładowo, za artykuł wart 200 punktów każdy z tych informatyków może otrzymać po 200 punktów (gdy jeden raportuje go z pierwszej, a drugi z drugiej dyscypliny). Ale za podobny tekst napisany przez dwie osoby reprezentujące tę samą formalną dyscyplinę każda otrzyma tylko po 100 punktów. Co więcej, pracownik może złożyć oświadczenie o reprezentowaniu dwóch dyscyplin (art. 343 ust. 8 ustawy 2.0) i przypisywać swoje publikacje do tej dyscypliny, która jest w konkretnym przypadku dla niego korzystna. Paradoks polega na tym, że przypisanie publikacji do konkretnej dyscypliny odbywa się na podstawie oświadczenia autora. Dwoch autorów jednej publikacji przypisuje ją do różnych dyscyplin i w ten sposób nie dzieli punktów pomiędzy sobą. Łatwo zauważyć, że to dogodne pole do nadużyć.

## Pułapka łączonych dyscyplin

Obowiązujący obecnie w Polsce podział na dyscypliny naukowe stosowany w ewaluacji jednostek zawiera dyscypliny stosunkowo szerokie, obejmujące szereg zróżnicowanych wzajemnie poddyscyplin. Takie podejście ma premiować interdyscyplinarność, co wydaje się uzasadnione. Jednakże problem pojawia się wtedy, gdy reguły oceniania wybranych poddyscyplin różnią się znacząco od tych przyjętych dla innych poddyscyplin. W przypadku oceny instytucjonalnej nie ma z tym większego problemu, po prostu całe dyscypliny z różnych uczelni są porównywane ze sobą na tych samych zasadach. Oczywiście tylko w przypadku podobnej wielkości udziałów



Fot. Stefan Cichan

poszczególnych poddyscyplin w całej dyscyplinie. Gdy jest jednak inaczej, zaczynają się kłopoty.

Przyjrzyjmy się następującemu przykładowi. Porównujemy dwie uczelnie prowadzące badania w dyscyplinie informatyka techniczna i telekomunikacja. Przy czym w jednej badania te są skoncentrowane na informatyce, a w drugiej na telekomunikacji, i założmy, że w obu przypadkach jakość tych badań jest zbliżona. Naukowcy z obu uczelni publikują w dobrych czasopiśmie i biorą udział w najlepszych konferencjach z obszarów swoich zainteresowań. Jednakże w parametryzacji znacznie lepiej zostanie oceniona pierwsza z przykładowych uczelni. Przyczyna jest prosta: punktacja dotyczy nie tylko czasopism naukowych, w których publikują naukowcy (tu Komisja Ewaluacji Nauki starała się w zrównoważony sposób punktować czasopisma z różnych poddyscyplin), ale także uwzględnia ranking konferencji CORE. Ten ranking to australijska baza konferencji ważnych z punktu widzenia informatyków australijskich. Preferuje także konferencje z tamtego obszaru geograficznego. W bazie CORE znajduje się też trochę konferencji ważnych dla naukowców uprawiających badania w obszarze telekomunikacji, ale są one na ogół słabo punktowane, jako będące poza głównym obszarem zainteresowań informatyków. Części konferencji bardzo ważnych dla specjalistów z telekomunikacji nie ma w tej bazie w ogóle.

Jeszcze gorzej wygląda sytuacja, gdy przenosząc zasady oceny instytucjonalnej na indywidualną, na jednym wydziale porównuje się na przykład informatyków, elektroników i naukowców zajmujących się telekomunikacją. Konferencji z obszaru elektroniki nie ma w bazie CORE zupełnie, a z telekomunikacji tylko nieliczne i w dodatku słabo punktowane. Może się okazać, że nawet bardzo dobrzy przedstawiciele elektroniki czy telekomunikacji będą wypadać gorzej niż przeciętni naukowo informatycy, co może się przekładać na wysokość zarobków i nagród okresowych. Długofalowo doprowadzi to do zamierania innych niż informatyka obszarów badań z powodu odchodzenia zdemotywowanych pracowników. Oczywiście podobne sytuacje mogą wystąpić i w innych dyscyplinach.

### Pułapka slotów

Przenoszenie oceny instytucjonalnej do indywidualnej może prowadzić do takiej sytuacji, że naukowiec, który w okresie rozliczeniowym opublikuje jedną przełomową pracę mającą wielki wpływ na rozwój nauki w skali światowej, zostanie oceniony negatywnie, ponieważ nie wypełnił wszystkich „slotów”,

w przeciwieństwie do autora czterech bardzo przeciętnych, ale punktowanych prac.

Usłyszałem także o innej możliwości wypaczenia idei slotów (Polskim odpowiednikiem angielskiego słowa slot jest szelina; szkoda, że nie używa się go w oficjalnych dokumentach), przedstawionej jako propozycja do stosowania w pewnej uczelni. Wyobraźmy sobie, że naukowiec wypełnił już całkowicie swoje cztery sloty i opublikował kolejną pracę z kolegą z tej samej jednostki. Poleca mu się zaniechanie zadeklarowania dyscypliny związanej z tym artykułem. Całość punktów przechodzi więc na konto kolegi, wypełniając jego slot. Mam wrażenie, że gdyby uczeni z naszego kraju byli tak kreatywni w badaniach naukowych, jak w pomysłach na obchodzenie systemu ewaluacji, byłibyśmy światową potęgą naukową.

### Możliwe modyfikacje sposobu oceny

Zakładając, że generalnego algorytmu parametryzacji nie da się obecnie zmienić, a zadanie przekonania szefów jednostek, by nie stosowali sposobu punktacji jednostek do swoich pojedynczych pracowników jest niewykonalne, podaję poniżej sposoby niewielkiego ulepszenia systemu.

Należy przyznawać punkty za autorstwo poszczególnym naukowcom (którzy w ten sposób wypełniają swoje sloty) zgodnie ze wzorem:  $p/m$ , gdzie  $p$  jest całkowitą wartością punktową artykułu, a  $m$  oznacza liczbę autorów artykułu naukowego ogółem.

Proponowany sposób liczenia punktów daje szereg korzyści. Jedną z nich jest uproszczenie sposobu liczenia punktów i uniezależnienie go od deklaracji naukowca, do której dyscypliny naukowej zamierza przypisać swój wkład w publikację. Każda ewaluowana jednostka naukowa otrzyma punkty za publikację w liczbie proporcjonalnej do liczby autorów będących pracownikami tej jednostki. Podany sposób eliminuje także sztuczne zapisywanie się do dwóch dyscyplin, by wykorzystywać to do korzystniejszej, w ocenie indywidualnej, punktacji publikacji wieloautorskich. Proponowane rozwiązanie ma jednak oczywistą wadę, a mianowicie nie motywuje do pracy zespołowej, tak ważnej we współczesnym uprawianiu nauki. Może prowadzić też do takich absurdów, że uczelnia, której pracownik jest głównym autorem artykułu, np. w „Nature”, napisanego z czterema naukowcami z innych uczelni, otrzyma tyle samo punktów w ewaluacji co w przypadku przeciętnego, jednosoobowego artykułu opublikowanego w trzeciorzędym czasopiśmie ocenianym na 40 punktów.

Uważam także, że należy zastąpić preferujący jedną dyscyplinę ranking CORE któryś z rankingów konferencyjnych obejmujących wszystkie dziedziny nauki, takich jak, na przykład: Guide2Research, Microsoft Academic, GII-GRIN-SCIE (GGS) Conference Rating czy Conference Ranks. Alternatywą jest przyznawanie punktów za konferencje na poprzednich zasadach, tzn. na podstawie indeksowania publikacji w bazie Web of Science. Warto by też dostosować punktację za konferencje do ich realnej wartości. Obecnie konferencje otrzymują punkty z zakresu 10–200, tj. tak samo jak publikacje w czasopiśmie. Najlepsze konferencje są punktowane jak najlepsze międzynarodowe czasopisma naukowe, lecz jednak ranga czasopisma jest w środowisku naukowym większa, a proces oceny zgłoszonych prac na ogół bardziej staranny (mniejsza presja czasowa). Moim zdaniem najlepsze konferencje naukowe powinny otrzymywać maksymalnie 140 punktów.

### Skutki ocen liczbowych

Sposób parametryzacji oparty na wskaźnikach liczbowych ma liczne słabości, z których niektóre przedstawiono powyżej. Szczególnie destrukcyjne mogą być próby przeniesienia stosowanych w nim miar i algorytmów na ocenę indywidualną pracowników jednostek naukowych. Nietrudno zauważyć, że takie podejście może prowadzić do zaniedbywania bądź wręcz unikania przez naukowców obowiązków dydaktycznych i organizacyjnych, a koncentrowanie się wyłącznie na pracy naukowej. Jakie to będzie miało konsekwencje dla realizacji misji uczelni, łatwo sobie wyobrazić. Warto pamiętać także o uwzględnieniu w ocenie prac na rzecz gospodarki, co nie zawsze dobrze wpisuje się w czteroletnie okresy ewaluacji, a także udział pracowników w pracach ciał eksperckich czy w organizacjach przynoszących uczelni prestiż i międzynarodową widoczność.

Warto pamiętać, że parametryzacja szkół wyższych oparta na bibliometrii, punktach i algorytmach ma też swoje zalety i jest stosowana w wielu krajach. Jest znacznie tańsza i łatwiejsza do przeprowadzenia w skali sporego kraju niż rzetelna ocena środowiskowa (peer review), a także w pewnym stopniu zobietyzowana i odporna na subiektywność ludzkich ocen i konflikty interesów. Pomijam tu możliwość manipulowania przy samych algorytmach czy ustalaniu punktacji osiągnięć naukowych. Manipulacjom przy ustalaniu punktacji artykułów zapobiega się w niektórych krajach przez przyjęcie jako podstawy punktacji wyłącznie międzynarodowych baz, takich jak Web of Science czy Scopus. Należy także zauważyć, że wprowadzenie ocen bibliometrycznych, przynajmniej w początkowym okresie stosowania takiego podejścia, przekłuło wiele nadętych balonów. Okazało się po prostu, że niektóre kariery „naukowe” nie miały z nauką wiele wspólnego, a opierały się na sprawności organizacyjnej i marketingowej oraz dobrze zorganizowanych sieciach kontaktów niektórych „koryfeuszów” nauki. Można niestety zauważyć, że niektórzy z nich nauczyli się obecnie manipulować także punktami.

### Rozwiązania alternatywne

Poza próbami dostrajania czy poprawiania dotychczasowego systemu parametryzacji instytucji i niestety silnie z tym powiązanego sposobu oceniania indywidualnych naukowców, warto rozważyć całkowite odejście od tego systemu w przyszłości. Oczywiście alternatywą jest środowiskowa ocena uczelni przez odpowiednie zespoły niezależnych ekspertów. W skali naszego kraju, przy założeniu, że oceniamy wszystkie jednostki i dyscypliny, przyjęcie tej metody wydaje się niewykonalne. Można jednak korzystać z zalet ocen eksperckich w sposób hybrydowy, tak jak to zaproponowano poniżej.

Skorzystajmy po prostu z tego, że najważniejsze granty na badania naukowe są uzyskiwane na zasadzie oceny środowisko-

wej. W przypadku agencji, takich jak ERC, FNP i NCN, ocena jest dokonywana przez ekspertów pochodzących z różnych krajów, procedury przyznawania grantów przejrzyste, a jakość oceny generalnie wysoka. Utwórzmy więc ranking uczelni na podstawie średniej ważonej liczby uzyskanych grantów (inne wagi dla każdej z trzech wymienionych agencji), przypadających na stałą liczbę zatrudnionych w jednostce naukowców pochodzących z tych trzech agencji. Dodatkowo dwadzieścia uczelni z początku całej listy rankingowej będzie mogło ubiegać się o otrzymanie, podobnie jak obecnie, statusu jednej z dziesięciu uczelni badawczych. Będą one wyłaniane przez międzynarodowy panel ekspertów na podstawie oceny środowiskowej. Przy czym kryteria oceny będą tu szersze i obejmą zarówno ocenę dotychczasowego rozwoju jednostek, w tym w obszarze dydaktyki, jak i plany na przyszłość.

Oczywiście można zadać pytanie o wybór tylko trzech wspomnianych jednostek grantowych. Wynika to z przejrzystego systemu ich ocen i korzystania wyłącznie bądź przede wszystkim z kryterium doskonałości naukowej. A także z tego, że ERC, FNP i NCN przyznają granty na badania we wszystkich dyscyplinach naukowych. Inne agencje, np. EIC czy NCBR, są skupione na wybranych obszarach i muszą brać pod uwagę trudniej mierzalne aspekty komercyjne.

Jak w takim razie premiować uczelnie, które są znakomite w badaniach aplikacyjnych, a słabiej wypadają na przykład w NCN? Po pierwsze, można by je premiować, niezależnie od rankingu ściśle naukowego, dużymi nagrodami za działalność innowacyjną. Po drugie, przyjrzenie się sukcesom grantowym polskich uczelni pokazuje, że instytucje uzyskujące sukcesy w NCBR mają także dobre wyniki w NCN.

### Warto rozumieć

Nie istnieją idealne systemy ewaluacji jednostek naukowych. Tak więc przy stosowaniu każdego z nich warto rozumieć, co jest ich celem i jakie mogą powodować skutki uboczne. W przypadku sposobu ewaluacji przyjętego w Polsce szczególnie dotkliwe skutki wywołuje użycie systemu oceny instytucjonalnej do oceny pracowników. Wywołuje to wśród naukowców frustracje i napięcia z powodu jawnej niesprawiedliwości takiego podejścia. Może też spowodować zanik niektórych obszarów badań i kształcenia, ważnych z punktu widzenia konkretnych uczelni, a także kraju.

Naprawianie istniejącego w naszym kraju systemu ewaluacji nie jest go w stanie uzdrowić – po prostu eliminacja niektórych wad generuje inne. Może więc po prostu zaprzestać jakiegokolwiek ewaluacji instytucjonalnej? Ale jak wtedy dzielić publiczne środki między poszczególne uczelnie? Ich równy podział będzie de facto promowaniem słabeuszy bądź przeciętniaków. Jeszcze gorsze byłoby dzielenie środków według kryteriów politycznych czy powiązanych z umiejętnym lobbieniem jednostek. Rozwiązaniem jest ocena środowiskowa (peer review), która zresztą ma też swoje słabe strony. Jak wspomniano wcześniej, jej przeprowadzenie w pełnym wymiarze i przy korzystaniu z wysokiej jakości niezależnych ekspertów jest po prostu zbyt kosztowne i skomplikowane. Skorzystajmy więc z tego, że ekspercka i międzynarodowa ocena pomysłów naukowców, a także ich samych, jest już stosowana w ERC, FNP i NCN. Na tej podstawie można stosunkowo prosto, tanio i rzetelnie ocenić, z pewnym przybliżeniem, jakość naszych jednostek naukowych i na tej podstawie podejmować decyzje związane na przykład z wysokością subwencji. Premiowanie grantów będzie też zachęcać uczelnie do zatrudniania dobrych naukowców, zdolnych takie granty pozyskiwać. Odpowiednie ustawienie wag za poszczególne rodzaje grantów powinno premiować również zatrudnianie naukowych gwiazd i stwarzanie im dobrych warunków pracy.

*Prof. dr hab. Andrzej Jajszczyk, wiceprzewodniczący European Research Council*

Adam Proń, Halina Szatyłowicz

# Wesołe zabawy i figle rankingowe dwojga chemików

Źródło: Adobe Stock

Artykułowi naszemu nadaliśmy krotkochwilny tytuł, aby pokazać, iż danymi bibliometrycznymi można swawolnie się bawić, ale nie nadają się one, prawie w żadnej postaci, do oceny dorobku naukowego. Wprowadzenie punktacji czasopism i tzw. slotów jest tego najlepszym przykładem.

Inspirację do napisania tego tekstu stanowił bardzo ciekawy artykuł Krzysztofa Cieplińskiego pt. *Nasi wśród najlepszych... i co to znaczy* opublikowany w FA 12/2020. Artykuł ten omawiał listę 2% najczęściej cytowanych naukowców zamieszczoną w „PLOS Biology” w październiku 2020 r., obejmującą ok. 160 tys. naukowców, których prace według algorytmu zastosowanego przez autorów były najczęściej cytowane w latach 1996–2019. W dalszej części będziemy ją nazywać „Listą 2%”. Wiele polskich uczelni na stronach internetowych z dumą wymieniało nazwiska swoich pracowników, którzy znaleźli się wśród rekordzistów cytowań. Najpóźniej uczyniła to Politechnika Warszawska, bo dopiero 14 stycznia 2021 r., zamieszczając jednak naj-

bardziej pokrętny spis swoich najczęściej cytowanych naukowców, z którego wynikało, że pracownicy Wydziału Elektroniki i Technik Informatycznych są zdecydowanie lepszego sortu niż wszyscy inni. Artykułowi naszemu nadaliśmy krotkochwilny tytuł, aby pokazać, iż danymi bibliometrycznymi można swawolnie się bawić, ale nie nadają się one, prawie w żadnej postaci, do oceny dorobku naukowego. Wprowadzenie punktacji czasopism i tzw. slotów jest tego najlepszym przykładem. Polska punktacja czasopism wywodzi się bowiem bezpośrednio ze wskaźnika wpływu (ang. impact factor, IF). Łatwo wykazać, że na wysoką wartość IF ma wpływ nie więcej niż 10%–15% artykułów opublikowanych w danym czasopiśmie. Oznacza to,

że dla ponad 80% autorów blask sławy związany z prestiżowym IF czasopisma, w którym publikowali prace, jest blaskiem odbitym, gdyż w rzeczywistości przyczynili się oni do obniżenia tego wskaźnika bibliometrycznego, a nie jego podwyższenia. W efekcie ministerialna ocena ponad 80% naukowców nie jest oparta na ich własnych sukcesach, lecz na sukcesach niespełna 15% ich bardziej popularnych kolegów. Na zawilości bibliometrii i jej niewłaściwe wykorzystanie wielokrotnie zwracał uwagę prof. Andrzej Kajetan Wróblewski, praktycznie bez echa.

### Jak podskoczyć o 30 tysięcy pozycji

Wymieniony już algorytm, opracowany do ułożenia listy najczęściej cytowanych naukowców (ok. 160 tys.) spośród prawie 8 milionów indeksowanych w bazie SCOPUS, ma szereg specyficznych cech. Pierwszą, będącą również oczywistą zaletą, jest to, iż w końcowej klasyfikacji brane są pod uwagę tylko cytowania niezależne artykułów danego badacza, tzn. takie, które pozostały po odjęciu autocytoowań tego autora i autocytoowań wszystkich współautorów jego artykułów. Jest to podejście właściwe, bo przecież autocytoowania w żadnej mierze nie świadczą o popularności danego artykułu, można je porównać do kupowania przez piosenkarza jego własnych płyt. Inną cechą zaproponowanego algorytmu jest bardzo silne faworyzowanie artykułów jedno- i dwuautorskich. Nie jest to jednak zaleta. Jednoautorskie prace to często artykuły przeglądowe, które mogą świadczyć o kulturze naukowej autora, ale nie są pracami naukowymi w sensie ścisłym.

Jak duża jest wrażliwość algorytmu na liczbę cytowań prac jednoautorskich świadczy prosta symulacja przeprowadzona dla zbioru cytowań niezależnych pierwszego z autorów tego artykułu. Przez 46 lat działalności naukowej opublikował on jeden jednoautorski artykuł badawczy, który miał zaledwie 25 cytowań niezależnych. Gdyby, zamiast leniwie pić francuskie wino i bawić się z trzema wnuczkami, napisał kolejny artykuł jednoautorski, tym razem przeglądowy, który miałby 300 cytowań niezależnych, to w rankingu przesunąłby się o 32 tysiące miejsc w górę. 300 cytowań artykułu przeglądowego nie jest trudne do osiągnięcia, bywają przeglądowniki mające po kilka tysięcy cytowań.

Algorytm ten eliminuje również znaczną część naukowców, w których dorobku dominują często cytowane prace wieloautorskie. Z tego powodu na liście jest bardzo mało naukowców zajmujących się fizyką cząstek czy naukowców-lekarzy. Dla wielu z nich podstawowym źródłem cytowań są bowiem prace mające po kilkudziesięciu, kilkuset czy nawet kilka tysięcy autorów, co praktycznie wyrzuca ich poza listę. Rekord świata w liczbie autorów dzierży artykuł pt. *Combined Measurement of the Higgs Boson Mass in pp Collisions  $\sqrt{s}=7$  and 8 TeV with the ATLAS and CMS Experiments* opublikowany w „Physical Review Letters” 114, 191803 (2015), mający 5154 współautorów.

Na liście nie znalazło się wielu luminarzy polskiej nauki, którzy publikowali prawie wyłącznie wieloautorskie artykuły. W badaniach interdyscyplinarnych publikowanie jedno- lub dwunazwiskowych prac jest praktycznie niemożliwe. Na przykład opublikowanie dobrze cytowanego artykułu dotyczącego nowej organicznej diody elektroluminescencyjnej wymaga współpracy chemików teoretyków, chemików doświadczalnych, fizyków i elektroników, a minimalną liczbę współautorów można oszacować na 7-8. Zastosowany algorytm dyskryminuje więc naukowców prowadzących badania interdyscyplinarne. Pouczającym przykładem może być tutaj przypadek prof. Ewy Góreckiej, jednej z najwybitniejszych chemiczek polskich i laureatki Nagrody FNP, czyli tzw. polskiego Nobla, z 2020 roku. Prof. Górecka, nieobecna na „Liście 2%”, nie publikuje

ani jedno-, ani dwuautorskich prac, gdyż natura prowadzonych przez nią badań wymaga szerokiej współpracy naukowej.

### Detaliści i hurtownicy

Kto może liczyć na wysokie miejsce na liście? Wyróżnić tu można dwa typy naukowców: „samotników” i „hurtowników”. Samotnik często nie ma własnej grupy badawczej, a jego laboratorium na ogół jest niespecjalnie dobrze wyposażone. Doskonała znajomość tej dziedziny nauki, w której prowadzi badania, pozwala mu jednak na publikowanie samodzielnych prac, zarówno eksperymentalnych, jak i przeglądowych, w dobrych czasopismach. Jeśli artykuły te są w stopniu przyzwoitym cytowane, to może znaleźć się wśród 2% najczęściej cytowanych naukowców.

Hurtownik z kolei dąży do utworzenia jak największej grupy badawczej i zabiega o jak najlepsze wyposażenie laboratorium. W walce o granty musi mieć naturę wojownika. Jeśli jego grupa zdoła opublikować dużą liczbę artykułów, a hurtownik będzie dbał o to, aby w każdej pracy być ostatnim autorem, to tą „masą publikacyjną” zniweluje działanie niekorzystnych dla niego algorytmów i przebijie nawet samotnika. Najwyższe miejsca na „Liście 2%” są bowiem obsadzone prawie wyłącznie przez hurtowników. Problem hurtowników jest poważny. Na świecie jest bowiem ponad 9 tys. hiperhurtowników, którzy od początku XXI wieku do 2018 r. publikowali częściej niż jeden artykuł co pięć dni, co oznacza średnio ponad 73 artykuły rocznie (źródło: „Nature”, 561, 157 (2018)). Temu nadmiernemu gromadzeniu „dóbr” publikacyjnych przez stosunkowo niewielką grupę naukowców sprzyja polityka naukowa rządów praktycznie wszystkich krajów, w których prowadzone są prace badawcze. Taka częstotliwość publikowania powinna rodzić poważne problemy etyczne i prawne dotyczące atrybucji autorstwa publikacji, jednak prawie nikt nie zajmuje się tym problemem. Chwalębny wyjątek stanowią prawnicy z Uniwersytetu Śląskiego, którzy pod auspicjami Fundacji Fullbrighta zorganizowali nawet międzynarodową konferencję naukową na ten temat.

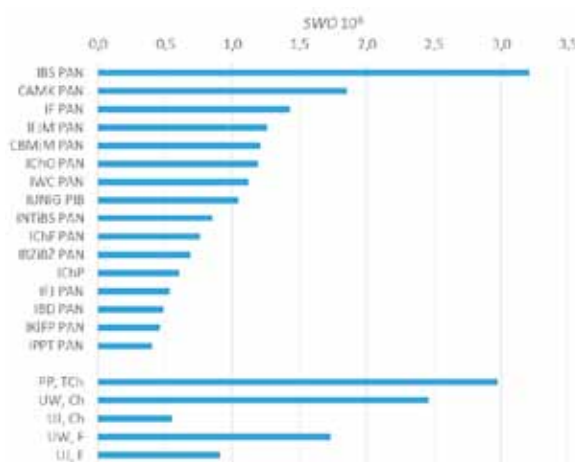
### Poza zdrowym rozsądkiem

Najsłabszym elementem przedstawionej „Listy 2%” jest przypisanie naukowców do poszczególnych dyscyplin i poddyscyplin naukowych. Autorzy wykorzystali tu klasyfikację dyscyplin stosowaną w Science-Metrix, która ma mało wspólnego ze zdrowym rozsądkiem. Każdemu z ocenianych naukowców przypisano jedną dyscyplinę i dwie poddyscypliny, posiłkując się, jak piszą autorzy listy, sztuczną inteligencją. Ta sztuczna inteligencja musiała jednak znacznie oddalić się od naturalnej. Pierwszy autor tego artykułu był i jest chemikiem, a przypisano mu dyscyplinę fizyka i poddyscypliny fizyka stosowana oraz fizyka chemiczna. Nie wiemy, czym się sztuczna inteligencja kierowała w tym przypadku, bo udział prac opublikowanych w czasopismach fizycznych w jego dorobku naukowym nie przekracza 10%, a znacząca ich większość została umieszczona w czasopismach chemicznych. Co więcej, publikującemu z reguły w tych samych czasopismach prof. Konradowi Szaciłowskiemu z AGH przypisano dyscyplinę chemia oraz poddyscypliny chemia ogólna i nanotechnologia.

Ewidentne słabości „Listy 2%” nie zniechęciły nas do swobodnego użycia zawartych w niej danych do oceny polskich instytucji naukowych. Przy okazji odkryliśmy szereg błędów w bazie SCOPUS wynikających z niestarannej pracy, ale tym nie będziemy czytelników znużać. „Lista 2%” zawiera nazwiska 725 naukowców z polską afiliacją. Część z nich już nie żyje, ich w naszych statystykach nie uwzględnialiśmy, gdyż ich wpływ na obecną kondycję polskich instytucji i uczelni jest niewielki. Uwzględniliśmy natomiast naukowców w wieku emerytalnym,

Tabela 1.

	Instytut	SWO 10 <sup>6</sup>
1	Instytut Badań Systemowych PAN	3,2080
2	Centrum Astronomiczne im. Mikołaja Kopernika PAN	1,8545
3	Instytut Fizyki PAN	1,4305
4	Instytut Farmakologii im. Jerzego Maja PAN	1,2626
5	Centrum Badań Molekularnych i Makromolekularnych PAN	1,2113
6	Instytut Chemii Organicznej PAN	1,1922
7	Instytut Wysokich Ciśnień PAN	1,1189
8	Instytut Uprawy, Nawożenia i Gleboznawstwa PIB	1,0401
9	Instytut Niskich Temperatur i Badań Strukturalnych im. Włodzimierza Trzebiatowskiego PAN	0,8505
10	Instytut Chemii Fizycznej PAN	0,7567
11	Instytut Rozrodu Zwierząt i Badań Żywności PAN	0,6883
12	Sieć Badawcza Łukasiewicz – Instytut Chemii Przemysłowej im. Prof. I. Mościckiego	0,6069
13	Instytut Fizyki Jądrowej im. Henryka Niewodniczańskiego PAN	0,5338
14	Instytut Biologii Doświadczalnej im. Marcelego Nenckiego PAN	0,4886
15	Instytut Katalizy i Fizykochemii Powierzchni im. Jerzego Habera PAN	0,4609
16	Instytut Podstawowych Problemów Techniki PAN	0,4035
	Wydział Technologii Chemicznej Politechniki Poznańskiej	2,9766
	Wydział Chemii Uniwersytetu Warszawskiego	2,4606
	Wydział Chemii Uniwersytetu Jagiellońskiego	0,5499
	Wydział Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego	1,7322
	Wydział Fizyki Uniwersytetu Jagiellońskiego	0,9067



Rysunek 1.

których na „Liście 2%” jest zaskakująco dużo. Są to bowiem w większości emeryci pozorni, którzy często prowadzą intensywną pracę naukową. Analiza ich życiorysów naukowych pokazuje ciekawe zjawisko przechwytywania emerytowanych naukowców z ośrodków o dużym potencjale badawczym przez instytuty i uczelnie dążące do podwyższenia swojego statusu naukowego. Spektakularnym przykładem jest tu transfer prof. Urszuli Domańskiej z Politechniki Warszawskiej do Instytutu Chemii Przemysłowej. Transfer ten nie tylko pozwolił tej instytucji pojawić się na „Liście 2%”, ale również zapewnił jej przyzwoitą pozycję w rankingu instytutów (vide supra). Podobnie emerytalny transfer prof. Andrzeja Skowrona z Uniwersytetu Warszawskiego do Instytutu Badań Systemowych PAN wzmocnił pozycję tej ostatniej placówki. Wreszcie Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego swoją pozycję osiągnął poprzez zatrudnienie kilku emerytowanych profesorów Instytutu Chemii Fizycznej PAN.

Postanowiliśmy stworzyć ranking polskich instytucji naukowych, uwzględniając nie tylko liczbę naukowców będących na „Liście 2%”, ale również ich pozycję na tej liście oraz wielkość uczelni (instytutu). W tym celu wyznaczyliśmy „średni współczynnik oddziaływań” (SWO), dzieląc sumę odwrotności miejsc naukowców ( $n_i$ ) na „Liście 2%” przez liczbę pracowników naukowych instytucji ( $N$ ), w której są afiliowani (patrz wzór (1)):

$$SWO = \frac{\sum \frac{1}{n_i}}{N}$$

Takie podejście pozwala na porównywanie instytucji nawet znacząco różniących się wielkością. Należy jednak podkreślić, że przyjęta metoda porównań najbardziej faworyzuje instytuty

badawcze zajmujące się naukami ścisłymi, przyrodniczymi oraz technicznymi. W mniejszym stopniu faworyzuje też politechniki, natomiast dyskryminuje uniwersytety. Pokażemy to na przykładzie Instytutu Chemii Fizycznej PAN, Politechniki Warszawskiej i Uniwersytetu Warszawskiego.

W IChF PAN pracownikami naukowymi są wyłącznie chemicy oraz fizycy, czasami z przedrostkiem bio. Wszyscy oni mają szansę na znalezienie się na „Liście 2%”. W przypadku Politechniki Warszawskiej na liście tej teoretycznie może się znaleźć większość, ale nie wszyscy, bo dla architektów jest to praktycznie niemożliwe. Na Uniwersytecie Warszawskim aspirować do miejsca na liście może jedynie mniejszość, bo lista ta jest praktycznie niedostępna dla humanistów oraz przedstawicieli nauk społecznych. Tak w istocie jest. Wśród 52 żyjących naukowców z tej uczelni znajdujących się na „Liście 2%” dominują chemicy, fizycy i astronomowie. W mniejszej liczbie obecni są matematycy, informatycy, geolodzy i biologowie. Nauki ekonomiczne reprezentuje jedna osoba – prof. Oded Stark, emeryt importowany z Niemiec. Z powyższych powodów podajemy osobne rankingi dla uniwersytetów, politechnik, uczelni medycznych, uniwersytetów przyrodniczych i instytutów PAN.

W Tabeli 1. i na Rysunku 1. przedstawiamy ranking instytutów PAN. Należy tu zwrócić uwagę na Instytut Badań Systemowych, który ma prawie dwukrotnie wyższy współczynnik SWO niż następne na liście Centrum Astronomiczne PAN. Instytut Badań Systemowych skupia głównie naukowców zajmujących się różnymi aspektami informatyki. Ta mała instytucja (60 pracowników naukowych wg. OPI PIB) ma aż sześciu przedstawicieli na „Liście 2%”, w tym dwóch na bardzo wysokich pozycjach. Lider, prof. Roman Słowiński, jest jednak dwuetatowcem i systematycznie podaje Politechnikę Poznańską jako pierwszą afiliację. To samo dotyczy prof. Przemysława Grzegorzewskiego, którego pierwszą afiliacją jest Politechnika Warszawska. Autorzy „Listy 2%” przyporządkowali jednak tych dwóch naukowców IBS PAN. Poważne wzmocnienie stanowił również transfer prof. Andrzeja Skowrona z Uniwersytetu Warszawskiego, gdy osiągnął tam wiek emerytalny. Można więc stwierdzić, że w tak dużej wartości współczynnika SWO Instytutu Badań Systemowych PAN pewien udział miały Politechnika Poznańska i Warszawska oraz Uniwersytet Warszawski.

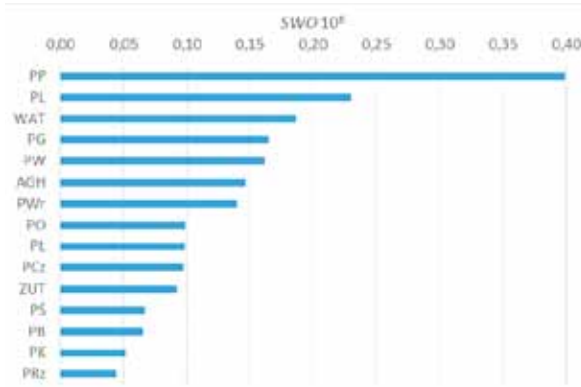
Współczynniki SWO instytutów PAN biją na głowę te, które zostały obliczone dla uczelni, głównie z powodów przedstawionych powyżej. Złośliwość starca każe nam jednak porównać instytuty chemiczne do wydziałów chemii wybranych uczelni, a instytuty fizyczne do wydziałów fizyki. Bardzo wysokie współczynniki SWO osiągnęły Wydział Technologii Chemicznej Politechniki Poznańskiej i Wydział Chemii UW (Tabela 1.

Tabela 2.

	Politechniki	SWO 10 <sup>6</sup>
1	Politechnika Poznańska	0,3990
2	Politechnika Lubelska	0,2298
3	Wojskowa Akademia Techniczna im. J. Dąbrowskiego	0,1866
4	Politechnika Gdańska	0,1647
5	Politechnika Warszawska	0,1623
6	Akademia Górniczo-Hutnicza im. Stanisława Staszica	0,1464
7	Politechnika Wrocławska	0,1401
8	Politechnika Opolska	0,0995
9	Politechnika Łódzka	0,0987
10	Politechnika Częstochowska	0,0973
11	Zachodniopomorski Uniwersytet Technologiczny	0,0923
12	Politechnika Śląska	0,0671
13	Politechnika Białostocka	0,0656
14	Politechnika Krakowska	0,0520
15	Politechnika Rzeszowska im. Ignacego Łukasiewicza	0,0445

i Rysunek 1.). Ich współczynniki ustępują tylko współczynnikowi SWO Instytutu Badań Systemowych PAN. Spektakularny wynik Wydziału Technologii Chemicznej PP ma swoją przyczynę w uprawianej tematyce badawczej – duża część pracowników tego wydziału zajmuje się bowiem badaniami w dziedzinie konwersji energii, a jest to temat wzbudzający ogromne zainteresowanie. Drugim czynnikiem sprzyjającym dużej wartości SWO jest większy niż w innych instytucjach naukowych udział artykułów przeglądowych wśród publikowanych prac. Zaskakująco niski jest współczynnik SWO Wydziału Chemii UJ, gdzie pracuje przecież wiele wybitnych chemiczek i wielu wybitnych chemików. Najwidoczniej za mało jest tam „samotników” i „hurtowników”. Współczynniki SWO Wydziałów Fizyki UW i UJ są porównywalne ze współczynnikami wyznaczonymi dla instytutów PAN zajmujących się fizyką, tzn. SWO Wydziału Fizyki UW nieco przekracza SWO Instytutu Fizyki PAN, a SWO Wydziału Fizyki UJ jest nieco wyższe niż SWO Instytutu Niskich Temperatur i Badań Strukturalnych PAN.

Na „Liście 2%” pojawiają się naukowcy z piętnastu politechnik. Uszeregowanie tych uczelni wg. malejącej wartości tego wskaźnika przedstawiamy w Tabeli 2. i na Rysunku 2. Przewaga Politechniki Poznańskiej nad innymi uczelniami jest bardzo duża, niemal dwukrotna nad Politechniką Lubelską i dokładnie dwukrotna nad Wojskową Akademią Techniczną. Należy tu dodać, że na 19 naukowców z tej uczelni wymienionych na „Liście 2%” 11 to chemicy, a 5 informatycy i specjaliści od sieci informatycznych. SWO Politechniki Poznańskiej byłby jeszcze wyższy, gdyby autorzy „Listy 25” przypisali tej uczelni dorobek prof. Słowińskiego.

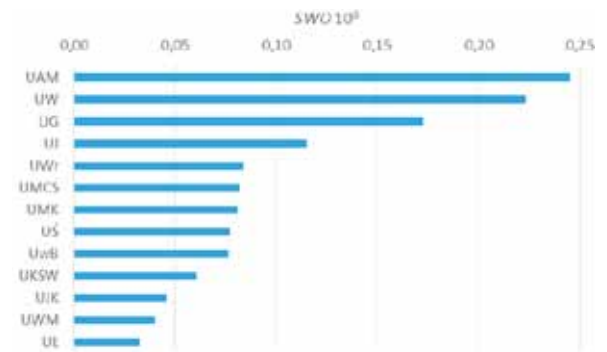


Rysunek 2.

Zaskakujące jest wysokie miejsce Politechniki Lubelskiej, będącej jedną z najmniejszych uczelni technicznych. Zawdzięcza je w głównej mierze chemikowi, prof. Markowi Kosmuliemu, który zajmuje się chemią powierzchni i chemią koloidów. Jest to klasyczny „samotnik”, który opublikował aż 73 na ogół często cytowane jednoautorskie artykuły, a ponadto sporą liczbę artykułów dwuautorskich. Znalazło to odbicie w jego bardzo wysokiej pozycji na „Liście 2%”. Pewien udział w sukcesie Politechniki Lubelskiej miał też fizyk Keshra Sangwal.

Tabela 3.

	Uniwersytety	SWO 10 <sup>6</sup>
1	Uniwersytet im. Adama Mickiewicza	0,2453
2	Uniwersytet Warszawski	0,2232
3	Uniwersytet Gdański	0,1724
4	Uniwersytet Jagielloński	0,1147
5	Uniwersytet Wrocławski	0,0836
6	Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej	0,0821
7	Uniwersytet Mikołaja Kopernika	0,0813
8	Uniwersytet Śląski	0,0774
9	Uniwersytet w Białymstoku	0,0766
10	Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego	0,0605
11	Uniwersytet Jana Kochanowskiego	0,0458
12	Uniwersytet Warmińsko-Mazurski	0,0400
13	Uniwersytet Łódzki	0,0324



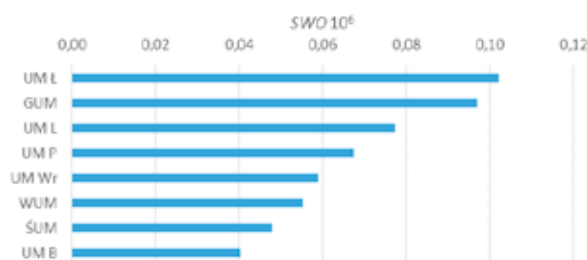
Rysunek 3.

Tabela 3. i Rysunek 3. przedstawiają klasyfikacje uniwersytetów „bezprymiotnikowych” według malejącej wartości SWO. Również w tym przypadku na czele jest uczelnia poznańska – Uniwersytet im. Adama Mickiewicza, chociaż jego przewaga nad Uniwersytetem Warszawskim nie jest duża. Jak należało się spodziewać, wartości SWO dla uniwersytetów są średnio nieco niższe niż dla politechnik, co jest zupełnie zrozumiałe w świetle dyskusji przedstawionej powyżej.

Jeszcze niższe wartości SWO mają uniwersytety medyczne (Tabela 4. i Rysunek 4.). Algorytm stosowany przez twórców „Listy 2%” bezlitośnie wycinał bowiem lekarzy publikujących artykuły o bardzo dużej liczbie autorów, które na ogół dotyczyły badań klinicznych prowadzonych równolegle w wielu ośrodkach medycznych różnych krajów. Tabela 4. i Rysunek 4. nie uwzględnia Collegium Medicum UJ i Collegium Medicum UMK. Ich osiągnięcia rozpatrywaliśmy łącznie z osiągnięciami uczelni, których część stanowią.

Tabela 4.

	Uniwersytety medyczne	SWO 10 <sup>6</sup>
1	Uniwersytet Medyczny w Łodzi	0,1022
2	Gdański Uniwersytet Medyczny	0,0970
3	Uniwersytet Medyczny w Lublinie	0,0773
4	Uniwersytet Medyczny im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu	0,0676
5	Uniwersytet Medyczny im. Piastów Śląskich we Wrocławiu	0,0591
6	Warszawski Uniwersytet Medyczny	0,0553
7	Śląski Uniwersytet Medyczny w Katowicach	0,0479
8	Uniwersytet Medyczny w Białymstoku	0,0404



Rysunek 4.

Na „Liście 2%” pojawiają się jeszcze naukowcy z dwóch uniwersytetów przyrodniczych, tzn. Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu i Uniwersytetu Przyrodniczego w Lublinie. (Tabela 5).

Tabela 5.

	Uniwersytety przyrodnicze	SWO 10 <sup>6</sup>
1	Uniwersytet Przyrodniczy w Poznaniu	0,1353
2	Uniwersytet Przyrodniczy w Lublinie	0,0372

W powyższych statystykach nie uwzględniliśmy ponad 40 instytucji mających po jednym lub dwóch przedstawicieli na „Liście 2%”, minimalną liczbę reprezentantów danej instytucji ustaliliśmy bowiem na trzy. Z tego powodu m.in. w Tabeli 4. nie ma np. Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Medycznego.

### Bez nadmiernej powagi

Przedstawione rozważania prowadzą do następujących wniosków:

Jeśli uwzględnia się miejsce naukowców na „Liście 2%” oraz wielkość danej uczelni i jej rodzaj, to najlepiej w rankingu wypadają uczelnie poznańskie.

Cytowalność publikacji pracowników PAN nie jest większa niż publikacji uniwersyteckich, gdy porównuje się jednostki o podobnym profilu badań, np. cytowalność prac naukowców z IF PAN jest porównywalna z cytowaniami prac fizyków z UW.

Przedstawiciele nauk humanistycznych i społecznych nie mają praktycznie żadnych szans, aby znaleźć się na „Liście 2%”, a przedstawiciele nauk ekonomicznych obecni są na niej w znikomiej liczbie. Stąd nieobecność w przedstawionym tu rankingu takich uczelni, jak uniwersytety ekonomiczne czy KUL.

Przedstawionych rankingów nie należy traktować z nadmierną powagą, ale raczej jako efekt wesołej zabawy staruszki i staruszka. Algorytm stworzony do konstrukcji „Listy 2%” ma bowiem znacznie więcej wad niż zalet, więc bardzo poważne traktowanie może przynieść więcej szkody niż pożytku. Statystyczne figle nasze pokazują jednak, że rekordzistów cytowań częściej można spotkać w uczelniach niedocenianych niż na UW, UJ, PW czy AGH, jeśli dane przedstawione w „Liście 2%” znormalizuje się na liczbę pracowników naukowych danej uczelni.

*Autorzy są profesorami Politechniki Warszawskiej.*

## Nowi profesorowie

**11 lutego 2021** Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda wręczył akty nominacyjne 23 nauczycielom akademickim oraz pracownikom nauki i sztuki.

NAUKI FARMACEUTYCZNE: **Judyta Cielecka-Piontek** (UMP)

NAUKI HUMANISTYCZNE: **Grażyna Demenko** (UAM)

NAUKI MEDYCZNE I O ZDROWIU: **Stanisław Bartuś** (UJ), **Violetta Sulzyc-Bielicka** (PUM), **Damian Ziaja** (SUM)

NAUKI ROLNICZE: **Krzysztof Adamowicz** (UPP), **Andrzej Gawel** (UPWr), **Roman Jaszczak** (UPP), **Małgorzata Krzywonos** (UEWr), **Tadeusz Moskalik** (SGGW), **Jaroslawa Rutkowska** (SGGW)

NAUKI SPOŁECZNE: **ks. Michał Drożdż** (UP JP II), **Radosław Fiedler** (UAM), **Tomasz Grosse** (UW), **Paweł Starosta** (UŁ), **Mirosława Zalewska-Pawlak** (UŁ)

NAUKI ŚCISŁE I PRZYRODNICZE: **Robert Czerniawski** (USz), **Francesco Giacosa** (UJK), **Edyta Kostrzewa-Susłow** (UPWr), **Piotr Młynarz** (PW), **Renata Piwowarczyk** (UJK), **Nina Smolińska** (UWM)

SZTUKA: **Marcin Bortnowski** (AMuz Wrocław)

**25 lutego 2021** Prezydent RP Andrzej Duda wręczył akty nominacyjne 33 nauczycielom akademickim oraz pracownikom

nauki i sztuki.

NAUKI HUMANISTYCZNE: **Michał Januszkiewicz** (UAM), **ks. Zdzisław Kropidłowski** (UKW), **Tomasz Lisowski** (AM), **Stanisława Niebrzegowska-Bartmińska** (UMCS), **Piotr Zawojcki** (UŚ)

NAUKI INŻYNIERYJNO-TECHNICZNE: **Krzysztof Chmielowski** (URK), **Zbigniew Pędzich** (AGH), **Wojciech Przegon** (URK), **Magdalena Rucka** (PG), **Robert Sidelko** (PK), **Wacław Skoczyński** (PW), **Marcin Szega** (PŚ), **Lucjan Śniezek** (WAT), **Artur Tyliczszak** (PCz), **Jerzy Wojewoda** (PŁ), **Agnieszka Wójtowicz** (UPL), **Artur Zbiciak** (PW), **Janusz Zmywaczyk** (WAT)

NAUKI MEDYCZNE I O ZDROWIU: **Aleksandra Czerw** (WUM), **Krzysztof Dziewanowski** (SPWSZ Szczecin), **Anna Fijałkowska** (IMI Warszawa), **Agata Filip** (UML), **Grzegorz Gajos** (UJ), **Hanna Gerber** (UMWr), **Elżbieta Grochowska-Niedworok** (SUM), **Ireneusz Grudziński** (WUM)

NAUKI ŚCISŁE I PRZYRODNICZE: **Paweł Mackiewicz** (UWr), **Tomasz Popławski** (UŁ), **Stanisław Witkowski** (UwB)

NAUKI TEOLOGICZNE: **ks. Bogusław Migut** (KUL)

SZTUKA: **Maria Banaszkiwicz-Bryła** (AMuz Poznań), **Piotr Tarcholik** (AMuz Kraków), **Monika Wilkiewicz** (AMuz Bydgoszcz)

# PAN w analizie Stanford University

Ranking opracowywany przez badaczy z Uniwersytetu Stanforda bierze pod uwagę 2% najwyżej na świecie ocenianych badaczy we wszystkich dyscyplinach nauki. 726 naukowców z listy Stanforda pochodzi z Polski. Jest to 0,89% z 81.500 zatrudnionych u nas naukowców. Kraj nasz umiejscowił się dzięki nim na 27 miejscu na świecie.

Analiza liczby cytowań to ważny miernik jakości prac naukowych, czy to w odniesieniu do poszczególnych publikacji, czy oceny twórczości badacza. Ponieważ staje się to popularne i istotne, niektórzy naukowcy starają się zwiększać liczbę cytowań w rozmaity sposób, poprzez nadmierne autocytowania czy tworzenie spółdzielni naukowych publikujących prace z udziałem setek czy nawet tysięcy badaczy z równie wielu ośrodków naukowych. Wszystko to wypacza obraz działania pojedynczego naukowca. Dlatego pojawiły się próby ograniczenia tych zjawisk.

Najważniejsze bazy danych, Scopus czy WOS, oferują opcje wyłączenia autocytowań. Allen Institute for Artificial Intelligence stworzył powszechnie dostępną wyszukiwarkę cytowań o „dużym wpływie” („highly influential citations”) i nazwie „Semantic Scholar” (patrz A. Pilc, FA 7-8/2019). Jak z niej wynika, jedynie niewielki procent cytowań można uznać za „wpływowe”.

Ranking opracowywany przez badaczy z Uniwersytetu Stanforda bierze pod uwagę 2% najwyżej na świecie ocenianych badaczy we wszystkich dyscyplinach nauki. Dyscypliny są wzięte z klasyfikacji ASJC (All Science Journal Classification) i jest ich 307. Nie zastosowano archaicznego systemu zapropo-

nowanego przez Organizację Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD), który został niestety użyty w obecnej parametryzacji (2017-2021), jego zastosowanie prowadzi do tego, że samochód formuły jeden porównywany jest z dorożką konną. W systemie OECD nie istnieją najbardziej dynamicznie rozwijające się gałęzie nauki, jak choćby biologia molekularna czy popularna ostatnio wirusologia. W systemie tym wirusolog pracujący na wydziale biologii będzie nazywany biologiem, na wydziale nauk medycznych – medykiem, na wydziale nauk weterynaryjnych – weterynarzem, na wydziale biochemii – biochemikiem, a na wydziale farmacji – farmaceutą. W klasyfikacji ASJC wirusologów znajdujemy bez trudu.

Ranking jest przedstawiony według rozbudowanego indeksu bibliometrycznego, analizującego 46 wskaźników naukometrycznych. Uwzględniane są m.in. indeks Hirscha (z autocytowaniami i bez nich), liczba cytowań (z autocytowaniami i bez nich), Impact Factor, miejsce i rola na liście autorów (pierwsze i ostatnie miejsce daje więcej punktów niż miejsca w środku). Każdy badacz analizowany jest w trzech dyscyplinach badawczych. Podawana jest liczba badaczy w danej dyscyplinie na świecie i miejsce danego badacza. Przykładowo dyscyplinę Nuclear & Particle Physic uprawia 110.499 osób, dyscyplinę Neu-

Tabela 1.

	Liczba badaczy	Liczba badaczy na liście Stanford	%
Cały kraj	81500	726	0,89
PAN	4830	141	2,92
U WAW	3800	47	1,24
UJ+CM	3841	45	1,17
IF + IChF	334	26	7,8

U WAW - Uniwersytet Warszawski

UJ+CM - Uniwersytet Jagielloński + Collegium Medicum

IF + IChF - Instytut Farmakologii + Instytut Chemii Fizycznej PAN

Tabela 2.

Dyscyplina	Liczba osób na liście
Fizyka stosowana	21
Farmakologia & Farmacja	10
Polimery	9
Fizyka jądrowa&cząsteczek	8
sztuczna Inteligencja	7
Chemia Organiczna	7
Chemia Fizyczna	6
Neurologia i neurochirurgia	6
Astronomia & Astrofizyka	5
Inżynieria Mechaniczna i Transportu	5

rology & Neurosurgery – 227.881 a Geography – 12.879, dlatego na liście znajdzie się kolejno około 2200, 4500 i 240 badaczy z tych dyscyplin.

Wśród 159.684 naukowców z listy Stanford 726 pochodziło z Polski. Jest to 0,89% z 81.500 naukowców zatrudnionych w kraju (patrz Tabela 1; cała lista badaczy z PAN – patrz załącznik na stronie www FA). Kraj nasz umiejscowił się na 27 miejscu na świecie (na pierwszym miejscu USA – 68.016 badaczy, Rosja jest na 28 miejscu – 709 naukowców). Analizując placówki naukowe, w których zatrudnieni są badacze z listy Stanford, widzę, że 141 pracuje w PAN, która stanowi łącznie najszerzej reprezentowaną jednostkę naukową w kraju (patrz Tab. 1), w świecie byłoby to 43 miejsce na równi z Tajlandią. Z 32 instytutów PAN najwięcej osób na liście pracuje w Instytucie Farmakologii im. Jerzego Maja w Krakowie (13 osób) oraz w Instytucie Chemii Fizycznej (też 13 osób). Trzynastu badaczy to 81 miejsce w skali światowej na równi z Urugwajem. Jedenaście osób zatrudnia Instytut – Centrum Badań Molekularnych i Makromolekularnych, a po dziesięć osób pracuje w Instytucie Fizyki Jądrowej im. Henryka Niewodniczańskiego oraz Instytucie Niskich Temperatur i Badań Strukturalnych im. Włodzi-

mierza Trzebiatowskiego. Pięć instytutów zatrudnia od 5 do 9 osób, dziewięć jednostek od 2 do 4 badaczy, a w dwunastu pracuje po jednej osobie z listy.

Jak widać (Tab. 1) badacze z PAN znajdują się na liście trzykrotnie częściej niż wynosi średnia krajowa, ponaddwukrotnie częściej niż badacze z dwóch prestiżowych uczelni – UJ i UW. Badacze z dwóch instytucji PAN z największą liczbą osób na liście przewyższają średnią dla całego PAN prawie trzykrotnie.

Najwięcej osób zatrudnionych w PAN obecnych na liście zajmuje się fizyką (21), potem (dwukrotnie mniej) jest farmakologów czy osób zajmujących się polimerami (Tab. 2).

Wynik uzyskany przez badaczy PAN należy uznać za znakomity w skali kraju i podkreśla on znaczenie tej instytucji dla rozwoju naszej nauki. Gdyby Polska miała średnią uzyskaną przez badaczy PAN, to na liście Stanford byłoby 2.025 Polaków (13 miejsce w skali świata na równi z Hiszpanią), a gdyby miała średnią dwóch najlepszych instytutów PAN, to z 5.662 badaczami zajmowałaby szóste miejsce na świecie – tak jak Austria.

Prof. dr hab. Andrzej Pilc, Instytut Farmakologii PAN im. Jerzego Maja oraz Collegium Medicum UJ

## Książki nadesłane

**Identyfikacja i uzasadnienie kierunków regulacji o kluczowym znaczeniu w ustawie Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce**, red. nauk. Jerzy WOŹNICKI, Wyd. Nauk. UMK, Warszawa – Toruń 2020.

Zbigniew CHOJNOWSKI, **Czytanie czytania. Szkice i noty metakrytyczne**, Wyd. UWM w Olsztynie, Olsztyn 2020.

Michał Roch KACZMARCZYK, **Aporia wolności. Krytyka teorii społecznej**, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2019, seria: Monografie FNP.

**Ludzie TNP. Słownik biograficzny (1820-2020)**, red. nauk. Małgorzata KAMIŃSKA, Towarzystwo Naukowe Płockie, Płock 2019.

Zbigniew Paweł KRUSZEWSKI, **Towarzystwa naukowe – niedoceniane organizacje**, Towarzystwo Naukowe Płockie, Płock 2020.

**Zbiory specjalne Towarzystwa Naukowego Płockiego. Tom I: Najstarsze manuskrypty (IX-XVIII w.) i inkunabuły**, oprac. Daniel BRZEZIŃSKI i Grażyna SZUMLICKA-RYCHLIK, Towarzystwo Naukowe Płockie, Płock 2019.

Zbigniew KRUSZEWSKI, **Towarzystwo Naukowe Płockie w odrodzonej Polsce**, Towarzystwo Naukowe Płockie, Płock 2018.

Mirosława NOWAK-DZIEMIANOWICZ, **Szkoła jako przestrzeń uznania**, PWN, Warszawa 2020.

Michał SIKORSKI, Stefan JACKOWSKI, Karolina MATYSIAK, **Przestrzeń uniwersytetu. Trendy, wizje, standardy projektowania**, Wyd. UW, Warszawa 2020.

Anna SOKOŁOWSKA, **Zjawisko plagiatu a młodzież akademicka. Studium socjopedagogiczne**, Wyd. Nauk. UAM, Poznań 2020, seria: Psychologia i Pedagogika.

Elżbieta SARNECKA, **Ciemna triada osobowości w środowisku pracy. Perspektywa interakcyjna**, Wyd. UŚ, Katowice 2020.

Lech KOŁODZIEJCZYK, **Pamięć czasu – malarstwo w czasach bankructwa duchowego**, Wyd. UŚ, Katowice 2020.

Aleksander R. BAŃKA, **Désiré Mercier (1851-1926). Wokół kandydatury i apologii wiary**, Wyd. UŚ, Katowice 2020.  
Feliks TOMASZEWSKI, **Syberia i rosyjska/radziecka Północ, niekończąca się gra: zakrywanie – odslanianie**, Wyd. UG, Gdańsk 2020.

Magdalena PASTUCH, **Polskie wyrażenia o funkcji dopowiedzeniowej – historia i współczesność**, Wyd. UŚ, Katowice 2020.

Dagmara GŁUSZEK-SZAFRANIEC, **Publiczni nadawcy w regionach autonomicznych Hiszpanii. Między misją a polityką**, Wyd. UŚ, Katowice 2020.

**Un Mundo cambiante en la enseñanza de la lengua y la literatura contemporáneas**, eds. Cecylia TATOJ, Marek BARAN, R. Sergio BALCHES ARENAS, Wyd. UŚ, Katowice 2020.

Agnieszka LOSKA, **Le néofantastique féminin d'Anne Duguël**, Wyd. UŚ, Katowice 2020.

**Innowacje i konserwatyzm 2.0. Polskie uczelnie w procesie przemian**, red. Dominik ANTONOWICZ, Anna MACHNIKOWSKA, Adam SZOT, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2020.

Aleksandra NIEWIARA, **My i Inni – ewolucja wyobrażeń. Polski dyskurs prasowy w świetle imagologii i pamięci zbiorowej**, Wyd. UŚ, Katowice 2020.

Marc DINGMAN, **Twój mózg bez tajemnic. Rzecz o emocjach, uczuciach, śnieniu i myśleniu**, tłum. Bożena Józwiak, DW Rebis, Poznań 2020.

Marvin CARLSON, **Teatr**, tłum. Krystyna Kujawińska Courtney i Anna Jędrzejewska, Wyd. UŁ, Łódź 2020, seria: Krótkie Wprowadzenie.

Izabella ADAMCZEWSKA-BARANOWSKA, **Łże-reportaże i prawdziwe fikcje. Powieść dziennikarska i reportaże w czasie postprawdy i zwrotu performatywnego**, Wyd. UŁ, Łódź 2020.

Aleksander Wojciech MIKOŁAJCZAK, **Design Kleksa. Społeczna historia wiecznych piór**, Wyd. Nauk. UAM, Poznań 2020.

Dorota PIEKARCZYK, **(Nie) oceniaj książki po okładce. Teksty na okładkach publikacji popularnonaukowych**, Wyd. UMCS, Lublin 2020.

# Punkty na sprzedaż

Jako ekonomista analityk pracujący w zawodzie od prawie pięćdziesięciu lat obserwuję trendy na rynku punktów ewaluacyjnych. Mimo dużego popytu ich cena powoli, ale systematycznie, spada, co oznacza, że liczba fabryk punktów KEN rośnie, psując ten lukratywny rynek.

Patologia zwana punktozą toczy i ograbia polską naukę. Destrukcyjne skutki tej choroby pokażą tylko na jednym przykładzie, choć znam ich dużo więcej, mianowicie działalności International Business Information Management Association (IBIMA). Stowarzyszenie to corocznie organizuje sympozja naukowe poświęcone szeroko pojętym naukom o informacji. Szefem konferencji (Conference Chair) IBIMA zawsze jest Khalid S. Soliman z International Business Information Management Association, USA. Ani Google Scholar, ani oficjalna strona internetowa Solimana nie zamieszczają żadnych informacji o jego aktualnych akademickich afiliacjach.

W skład Komitetu Organizacyjnego IBIMA, poza Khalidem Solimanem, wchodzi: Chijioke Nwachukwu, Horizons University Paris, Francja; Mercy Ejovwokeoghene Ogbari, Covenant University, Nigeria; Rugayah Gy Hashem, Universiti Teknologi MARA, Malezja; Matthew A. Oluwatoyin, Covenant University, Ota, Nigeria.

Ministerstwo Edukacji i Nauki, przyznaje 70 punktów za publikację artykułu w materiałach pokonferencyjnych na IBIMA. Polscy naukowcy licznie partycypują w pracach konferencji mimo świadomości, że artykuły wysyłane na IBIMA podlegają skrupulatnej ocenie przez co najmniej dwóch anonimowych recenzentów, jak wynika z ulotki informacyjnej. Dobrze to świadczy o ambicjach polskich naukowców. Nasi koryfeusze nauki chętnie używają swoich nazwisk do firmowania różnych podcastów konferencyjnych na IBIMA, stanowią też liczną reprezentację w Komitecie Programowym Konferencji.

Właśnie ukazały się „Proceedings” z poprzedniego sympozjum *The 35th International Business Information Management Association Conference*, 1–2 April 2020, Seville, Spain. Materiały te liczą dokładnie 18.869 stron, słownie: osiemnaście tysięcy osiemset sześćdziesiąt dziewięć stron. Przyjmując, że średnia objętość artykułu wynosi 12 stron (są i krótsze), to – jak łatwo policzyć – tylko w tej publikacji pokonferencyjnej ukazało się 1500 artykułów znaczących, tak domniemywam, dla rozwoju nauki o informacji. W przeliczeniu na punkty konferencja IBIMA generuje ok. 100 tys. punktów. Oczywiście autorzy referatów muszą za te punkty zapłacić. Opłata konferencyjna wynosi 295 dolarów. Za punkt wychodzi zatem 4,5 dolara, a to nie jest drogo. Po przemnożeniu opłaty IBIMA przez liczbę artykułów otrzymujemy jednak całkiem niezłą sumkę: ok. pół miliona dolarów.

Koszty ponoszone przez organizatora są żądne. Po przeniesieniu konferencji do przestrzeni wirtualnej średnio zdolny informatyk cały proces obsługi i przebiegu IBIM-y potrafi

w pełni zautomatyzować. Organizator musi raz na rok odpalić parę ikonk na ekranie komputera i regularnie sprawdzać stan swego konta. Tylko pozazdrościć.

## Kupczenie odpustami

Oczywiście pojawia się pytanie: Jakim cudem ten kolosalny szwindel naukowy, nazwijmy to w końcu po imieniu, zyskał błogosławieństwo Komisji Ewaluacji Nauki i ministra nauki poprzez przydzielenie mu 70 punktów? I to mimo że IBIMA nie znajduje się na liście Core Rankings Portal. Przecież każdy w KEN wie, co to jest IBIMA, konferencje te są organizowane od lat. Pierwszy raz usłyszałem o nich jakieś dziesięć lat temu – nie skorzystałem. No cóż, zapewne tryb pracy Komisji przy rozpatrywaniu wniosku o umieszczeniu IBIM-y w załączniku „Wykaz...” jest standardowy. Czyli: jeśli członkowie zgodzą się na żądania tych członków, którzy są lobbystami pana Solimana, a ma on za co lobbować, to lobbyści spojrzą przychylnie z kolei na nasze propozycje i... biznes się kręci. Takich megafabryk punktów jak IBIMA jest co najmniej kilkadziesiąt, a liczba ich stale rośnie. Jako ekonomista analityk pracujący w zawodzie od prawie pięćdziesięciu lat obserwuję trendy na rynku punktów ewaluacyjnych. Mimo dużego popytu ich cena powoli, ale systematycznie, spada, co oznacza, że liczba fabryk punktów KEN rośnie, psując ten lukratywny rynek.

Proceder uprawiany przez IBIMA nieodparcie przypomina mi kupczenie odpustami przez papieży. Jak wiemy, za określoną kwotę można było u pontifeksa nabyć zaświadczenie o odpuszczeniu, który otwierał drogę do wiekiściego zbawienia. Podobnie tu: my wysyłamy realny pieniądz wraz z plikiem zawierającym nasz artykuł, a w zamian dostajemy swój własny plik uzupełniony o logo IBIM-y. Ale właśnie to pozwala nam na zarejestrowanie pliku jako publikacji naukowej, a tym samym powiększenie o kolejne 70 punktów swego dorobku naukowego. Po uściboleniu tą drogą odpowiedniej liczby punktów otwierają się nam wrota do wspaniałej kariery naukowej: habilitacje, profesury tytularne. Za całą tą zyskowną dla obu stron hochsztaplerkę jak zwykle płaci profanum vulgus, czyli polskie społeczeństwo składające się poprzez swoje podatki na budżet naszej nauki.

Pozwoliłem sobie kiedyś na mały eksperyment. Na *36th International Business Information Management Association Conference – IBIMA*, 1–2 April 2021, Granada, Spain, wysłałem artykuł. Tekst stanowił zrandomizowany kolaż dwóch artykułów o zupełnie różnej tematyce. Umieściłem w nim tabele z innych artykułów. Dodatkowo wplotłem weń fragmenty Regulaminu Studiów. Po mie-

Obok Rosji i Rumunii, Polska jest krajem, którego reprezentanci najchętniej biorą udział w konferencjach IBIMA i publikują artykuły w materiałach konferencyjnych. Na stronie organizacji można znaleźć szczegółowe informacje na temat liczby „polskich” artykułów: autorzy z 96 uczelni opublikowali tam 2127 artykułów, co można przeliczyć na niemal 150 tys. naszych krajowych punktów ewaluacyjnych. Biorąc pod uwagę cenę jednego artykułu – 295 dolarów amerykańskich – i wartość dolara w 2020 r. na średnim poziomie 3,9 zł, wydaliśmy na publikacje w tym nic nieznaczącym wydawnictwie (co udowodnił nasz autor opisanym eksperymentem) prawie 630 tys. dolarów, czyli prawie 2,5 mln zł.

Najaktywniejsi w tym procederze są przedstawiciele: Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu – 334 tekstów (23380 punktów), Politechniki Częstochowskiej – 269 (18830

punktów) i Uniwersytetu Szczecińskiego – 147 (10290 punktów). Wśród publikujących tam są autorzy z uczelni badawczych: Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu – 70 artykułów, Politechniki Śląskiej – 65, Uniwersytetu Jagiellońskiego – 23, Politechniki Gdańskiej, Akademii Górniczo-Hutniczej i Uniwersytetu Wrocławskiego – po 12, Uniwersytetu Warszawskiego – 10, Politechniki Warszawskiej – 9, Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu – 4. W gronie autorów IBIMA znaleźli się też przedstawiciele pozostałych uczelni z konkursu IDUB: Politechnika Wrocławska – 89, Uniwersytet Gdański – 12, Uniwersytet Łódzki – 11, Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu i Politechnika Łódzka – po 5, Uniwersytet Śląski – 3.

(mit)

siącu otrzymałem informację, że artykuł został zaakceptowany przez organizatorów konferencji jako full paper z gratulacjami za jakość treści. Tekst zostanie opublikowany bez poprawek (camera ready format) oczywiście pod warunkiem, że wpłacę 300 dolarów.

Mój eksperyment pokazuje, że szkodliwość patologii tego typu ma nie tylko wymiar finansowy, to przede wszystkim destrukcja w sensie moralnym, zwłaszcza wobec młodych pracowników nauki. Nie ma sensu prowadzić wieloletnich badań czy pisać opasłe tomy, wystarczy sklecić byle co i wysłać na IBIM-ę – 70 punktów gwarantowane, prawie tyle co za monografię wydaną przez PWN (80 punktów). Co gorsza, utuczeni na IBIM-owych punktach profesorowie, którzy swoje stopnie i tytuły zawdzięczają podobnym szwindlom, pretendują do bycia autorytetami naukowymi i moralnymi dla młodzieży naukowej.

Tragiczne jest to, że dzięki przychylności Komisji Ewaluacji Nauki miliony dolarów z budżetu polskiej nauki są wyprowadzane za granicę do kieszeni różnych cwaniaków. Od lat polska nauka, zwłaszcza w aspekcie kadrowym, awansu naukowego, nie jest kształtowana ani przez pion nauki ministerstwa odpowiedzialnego za naukę, ani przez Radę Doskonałości Naukowej (i jej poprzedniczkę), ani tym bardziej przez Komisję Ewaluacji Nauki, ale de facto przez ludzi pokroju pana Solimana. Takie instytucje jak IBIMA stoją za pierwszymi publikacjami naszych młodych naukowców, podtrzymują ich rozwój naukowy (lekką przy tym demoralizując), a potem artykuły opublikowane tam czy w tym podobnych fabrykach punktów ewaluacyjnych stają się podstawą dorobku, za który otrzymuje się stopnie i tytuły naukowe. Pozwolą Państwo, że zacytuję autentyczny fragment recenzji: „Przedstawione do oceny dokonania p. xxxx nie zawierają pozycji wybitnych, niemniej recenzent uważa, że pod względem ilościowym, zwłaszcza wykazywanego dorobku punktowego, zbiór publikacji habilitanta można uznać za wystarczający”, czyli IBIMA do kwadratu. Konkluzja recenzji jest oczywiście pozytywna i w ten sposób kolejny tytan nauki powiększa poczet polskich profesorów. A wszystko to dzięki mrówczej, sowiec opłacanej także z polskiego budżetu, pracy Solimana et consortes. Ponieważ opisany powyżej proceder trwa od wielu, wielu lat, osoby, które swoją pozycję naukową zawdzięczają K. Solimanowi i podobnym mu wydawcom, zajmują już wysokie stanowiska w hierarchiach uczelni, są członkami ważnych gremiów akademickich.

## U nas to nie przejdzie

Rozwiązanie problemu takich wydawnictw może być banalnie proste. Wystarczy, aby Komisja Ewaluacji Nauki wymagała od organizatora konferencji podania liczby publikacji (czyli tzw. oferowanych slotów), jakie ukażą się w materiałach pokonferencyjnych. Sympozja, w których przewidywana liczba publikacji przekroczy ustalony limit, powinny być automatycznie odrzucane.

Takie podejście zmusi organizatorów sympozjów naukowych do autentycznej selekcji nadsyłanych propozycji na podstawie rzetelnych recenzji. Podobne działania powinny zostać przeprowadzone przez KEN w stosunku do wytycznych Załącznika do Komunikatu Ministra Edukacji i Nauki z dnia 31 lipca 2019 r. „Wykaz czasopism naukowych i recenzowanych materiałów z konferencji międzynarodowych wraz z przypisaną liczbą punktów”. Załącznik ten liczy 3.151 stron i ciągle puchnie. W styczniu 2017 r. wykaz obejmował jedynie 19.014 tytułów, obecnie ujęto w nim 31.433 czasopism i 1.638 materiałów konferencyjnych. Można podejrzewać, że ktoś świadomie rozdał tę listę do rozmiaru, który uniemożliwia jakąkolwiek kontrolę, a zatem także eliminację hochsztaplerów.

Do każdej dyscypliny KEN powinna ustalić maksymalną liczbę punktowanych pozycji (slotów) w „Wykazie...”. Wprowadzenie nowej pozycji na listę powinno nastąpić jedynie poprzez wyeliminowanie pozycji wcześniej zamieszczonej, a negatywnie zweryfikowanej. Może takie rozwiązanie działałoby dyscyplinująco na wydawców i organizatorów konferencji, którzy obecnie po upchnięciu swojej pozycji na naszej liście zachowują się w myśl powiedzenia: hulaj dusza, piekła nie ma.

U nas to nie przejdzie. Zbyt wielu utytułowanych lobbyistów, usadowionych na kluczowych stanowiskach we wszelkiego rodzaju decyzyjnych komisjach, utraciłoby wpływy i związane z tym pieniądze. Dlatego spodziewam się, że mój pomysł nie będzie nawet poddany pod dyskusję. Zostanie zrobione wszystko, aby spetryfikować ten układ.

W konsekwencji zaniechania przez KEN realizacji zadań statutowych wychodzimy przed światem nauki na naród półgłówków. Wystarczy bowiem założyć fikcyjne czasopismo naukowe na Cyprze czy w Nigerii, aby z Polski zaczęły napływać miliony dolarów. Jakoś inne nacje są bardziej odporne na tego rodzaju szwindle, może dlatego, że nie mają własnej KEN.

Jest rzeczą oburządzającą, że w sytuacji, gdy KEN hojnie przydziela punkty różnym zagranicznym hochsztaplerom, pismo „Rachunkowość”, zasłużone dla rozwoju polskiej rachunkowości, otrzymało zero punktów. Ten redagowany od lat przez dr. Zdzisława Fedaka miesięcznik utrzymuje bardzo wysoki poziom i jest autorytetem dla środowiska polskich ekonomistów. „Rachunkowość” publikuje nie więcej niż 5–7 artykułów w jednym numerze, i – w to nikt nie uwierzy – nie pobiera żadnej opłaty od autorów. Wręcz przeciwnie, płaci im honoraria za artykuły przyjęte do druku. W numerze marcowym (2021) „Rachunkowości” ukaże się mój artykuł *Dyskusyjne aspekty teorii i praktyki Międzynarodowych Standardów Rachunkowości*. Za tę publikację otrzymam zero punktów KEN, co jest dla mnie swoistą nobilitacją.

Prof. dr hab. inż. Edward Radosiński, Wydział Informatyki i Zarządzania Politechniki Wrocławskiej

# Należy zawsze sięgać do źródła

List nadesłany w odpowiedzi na artykuł Marka Wrońskiego „Jak zapłacić sloty” (FA 2/2021)

Szanowny Panie Profesorze, zwrócił Pan uwagę na istotne problemy, jakie mogą generować próby umiędzynarodowienia wyników polskich badań za granicą. Jako że do ich egzemplifikacji posłużyły Panu za przykład książki mojego autorstwa („monografia dr. hab. Michała Gałędka pt. *National Tradition or Western Pattern? Concepts of the New Administrative System for the Congress Kingdom of Poland (1814-1815)* jest tłumaczeniem habilitacji *Koncepcje i projekty nowego ustroju administracji dla przyszłego Królestwa Polskiego*”), chciałbym zabrać głos w dyskusji, do której Pan zaprosił Czytelników, najpierw naświetlając szerzej całą sprawę i przy okazji uzupełniając i korygując uproszczenia zawarte w Pana tekście.

Pragnę zacząć od tego, że jest dla mnie sprawą oczywistą, że publikacja naukowa w języku polskim i jej tłumaczenie na język angielski nie powinny być zgłaszane jako osobne osiągnięcia naukowe i nie powinny przynosić podwójnych punktów w ewaluacji jednostek naukowych. System ewaluacji jednostek naukowych powinien być zaopatrzony w narzędzie eliminujące podobne przypadki. W przypadku przywołanej książki mojego autorstwa zadbałem o to, żeby w wydaniu angielskim znalazła się stosowna, jednoznaczna adnotacja o tym, że wydanie to stanowi skróconą, a jednocześnie zmodyfikowaną wersję mojej dysertacji habilitacyjnej wydanej wcześniej w języku polskim. Podkreślałem, że umieściłem taką adnotację, mimo że wydanie angielskie nieco różni się od wydania polskiego. Uważam bowiem, że – odnosząc się do pytania, „czy należy przyznawać punkty za książkę wydaną pierwotnie po polsku, czy za jej wersję anglojęzyczną?” – nawet znacząco zmodyfikowana publikacja tych samych wyników badań naukowych nie powinna być zgłaszana jako osobne osiągnięcie. Jednocześnie uważam, że wybór, które wydanie danej publikacji zostanie zgłoszone w ramach ewaluacji jednostek naukowych, należy do władz danej jednostki naukowej.

Takie zmiany wynikały ze specyfiki prowadzonych przeze mnie badań opartych na bardzo szczegółowym materiale źródłowym. Jednym z podstawowych celów, który zamierzałem osiągnąć w publikacji przeznaczonej na rynek polski i adresowanej do polskiego czytelnika, była szczegółowa analiza nieznanych bądź niewykorzystywanych w polskich badaniach źródeł histo-

rycznych. Dlatego obszerna, czterdziestoarkuszowa książka polskojęzyczna to przede wszystkim bardzo drobiazgowa analiza skierowana do specjalistów z zakresu polskiej historii oraz historii państwa i prawa. Publikacje przeznaczone na rynek zagraniczny przygotowuje się inaczej. Z jednej strony stanowią ujęcie bardziej syntetyczne, z drugiej wymagają wzbogacenia o informacje ułatwiające czytelnikowi zagranicznemu odnalezienie się w problematyce z zakresu historii Polski. Co istotne, publikacja zagraniczna powinna się wpisywać w dyskurs naukowy i paradygmaty funkcjonujące za granicą, które często są odmienne aniżeli przyjęte w dyskursie naukowym w Polsce. Jednym słowem sukces książki naukowej dotyczącej tematów lokalnych uzależniony jest od zastosowania odpowiednich zabiegów dostosowawczych i to na kilku różnych polach. Mimo to – odnosząc się do pytań „Czy należy się za to kolejna porcja punktów? A jeśli nie, to czy należy przyznawać punkty za książkę wydaną pierwotnie po polsku, czy za jej wersję anglojęzyczną?” – uważam, że nawet znacząco zmodyfikowana publikacja nie powinna być powtórnie wyceniana. Natomiast fakt, że książka ukazuje się w renomowanym, zagranicznym wydawnictwie naukowym, które decyduje o publikacji podejmuje na podstawie opinii gremium naukowego lub recenzji wydawniczych, a nie – jak mogłoby wynikać z Pana tekstu – w oparciu o wniesienie określonej opłaty – sprawia, że taką książkę powinno się móc sparametryzować punktami wydawnictwa wyższego poziomu.

Po drugie, sprostowania wymaga informacja, iż książka anglojęzyczna mojego autorstwa została wydana ze środków budżetowych (wydziałowych). Koszt wydania publikacji w całości pokryło Wydawnictwo Brill Nijhoff. Niezależnie jednak od tego stoję na stanowisku, że skoro jednym z zasadniczych celów reformy szkolnictwa wyższego jest umiędzynarodowienie polskich badań naukowych, to na realizację tego celu może i powinien zostać ukierunkowany strumień środków publicznych.

Po trzecie, nie jest prawdą, że „na Wydziale Prawa UG wprowadzono [...] mechanizm zdobywania punktów”. Z dostępnych mi informacji wynika, że książka mojego autorstwa będzie być może jedyną wydziałową monografią wydaną przez wydawnictwo II poziomu. Powstała zaś w warunkach, które wyżej wyjaśniłem. Przyczyn, dla których na WPiA UG nie istnieje rzekomy „mechanizm do zdobywania punktów”, jest pewnie kilka, ale

w mojej ocenia zasadnicza sprowadza się do kwestii etycznych. Natomiast przyczyny dla których zjawisko umiędzynarodowienia polskich publikacji naukowych za granicą nie ma charakteru masowego, czy chociaż istniejącego w większej skali, są dość złożone, choć przede wszystkim wiąże się z niedostatkiem środków na ten cel w większości polskich uczelni, a zwłaszcza tych, które pozostają w dyspozycji władz wydziałowych.

W przypadku publikacji zgłaszanych do renomowanych wydawnictw i czasopism zagranicznych podstawowy problem polega na tym, że polski autor zwykle nie ma wystarczających kwalifikacji językowych, aby całkowicie samodzielnie przygotować publikację w języku obcym. Wiele wydawnictw i czasopism odgórnie zastrzega, iż przyjmuje tylko publikacje przygotowane (przetłumaczone bądź skorygowane) przez native speakera. W przypadku pozostałych, które tego nie zastrzegają, znacząco wzrasta ryzyko, że publikacja nie zostanie przyjęta ze względów językowych. Optymalnym rozwiązaniem jest więc złożenie publikacji przetłumaczonej bądź skorygowanej przez native speakera, nawet jeśli wydawnictwo bądź czasopismo tego nie wymaga. Należy więc pozyskać fundusze na ten cel. Problem polega jednak na tym, że pomimo tego złożona publikacja może zostać odrzucona zarówno już na pierwszym etapie przez radę redakcyjną, jak i na kolejnym – przez recenzentów. Zainwestowane środki, które w przypadku opracowań monograficznych będą stosunkowo wysokie, mogą więc nie przynieść spodziewanego efektu w postaci wysoko punktowanej publikacji. Ponadto wydawnictwa zagraniczne mogą – podobnie jak to czynią powszechnie wydawnictwa polskie – przerzucić część bądź część kosztów wydawniczych na autora, a nawet obciążyć go dodatkową opłatą za przyjęcie książki do recenzji nawet bez gwarancji jej wydania. Polityka wydawnictw zagranicznych nie jest w tym względzie jednolita. Większą swobodą w tym względzie cieszą się rady redakcyjne niektórych serii wydawniczych.

Odnosząc te uwagi do przypadku publikacji książki anglojęzycznej mojego autorstwa, mimo zaproszenia nie podjąłbym się jej przygotowania, gdybym nie uzyskał dostatecznych środków na tłumaczenie. Udało mi się je pozyskać z grantów Narodowego Centrum Nauki, a więc nie ze środków wydziałowych, ale jednak budżetowych. We wnioskach projektowych zgłaszanych do NCN powszechną praktyką jest zabieganie o fundusze, czy to na tłumaczenie, czy też na korektę językową. Publikacje w czasopismach i wydawnictwach zagranicznych zwiększają szansę na uzyskanie wysokiej oceny za wykonanie projektu, więc zabieganie o środki na ten cel nie tylko jest dopuszczalne, ale ze wszech miar wskazane. W przypadku publikacji mojego autorstwa nie dysponowałem jednak środkami wystarczającymi na tłumaczenie przez native speakera. Zdecydowałem się więc podjąć ryzyko i skorzystałem tylko z usług polskiego tłumacza. W jednej z recenzji mojej książki zwrócono na to uwagę, zalecając, aby publikacja została jednak jeszcze sprawdzona przez native speakera. Nie było to warunkiem jej wydania, ale w sytuacji, w której miałem takie zapewnienie w pozytywnych recenzjach naukowych, rzeczywiście zwróciłem się z wnioskiem do dziekana mojego wydziału o pokrycie tego wydatku, uzyskując wsparcie w kwocie 1000 euro. Nie był to oczywiście koszt wydawniczy, a tym bardziej warunek transakcyjny, aby wydać książkę w prestiżowym wydawnictwie. Wsparcie to jednak podniosło jej jakość i zwiększyło szansę na pozytywny odbiór publikacji polskiego autora za granicą.

Po czwarte, błędna jest sugestia zawarta w artykule, jakoby przyczyną wydania książki anglojęzycznej były względy parametryzacyjne. Zaproszenie do publikowania wyników moich badań w języku angielskim otrzymałem z dwóch niezależnych zagranicznych źródeł. Najpierw w 2015 r. od członka Rady Redakcyjnej serii „Legal History Library”, prof. Remco van

Rhee, w której ukazała się książka mojego autorstwa, a następnie w 2018 r. od prof. Ulrike Muessig, z którą współpracuję przy realizacji kierowanego przez nią międzynarodowego grantu naukowego ERC Advanced Grant (informację o tym można znaleźć we wstępie do książki, którą Pan przywołuje w tekście). Z tych też właśnie powodów nie musiałem zabiegać o wsparcie wydania książki ze środków budżetowych (wydziałowych). Nieprawdziwa jest zatem konstatacja zawarta w artykule: „Niewątpliwie sam fakt publikacji po angielsku w prestiżowym wydawnictwie międzynarodowym jest dużym wyróżnieniem i honorem dla autora. Jest to jednak honor kupiony za wydziałowe – czyli budżetowe – pieniądze UG”.

Po piąte, zwracam ponownie uwagę, że wydział fragmentu Pana artykułu poświęconego „mechanizmowi zdobywania punktów” jest taki, że wysoko punktowane publikacje w prestiżowych wydawnictwach naukowych za granicą można sobie po prostu kupić w zasadzie niezależnie od ich jakości, sposobu ujęcia tematu, międzynarodowej rozpoznawalności czy osiągnięć ich autora, dokonując przekładu pierwszej lepszej pracy w języku polskim. Z moich doświadczeń wynika jednoznacznie, że tak nie jest. Natomiast ten szkodliwy stereotyp jest rozpowszechniony w środowisku humanistów. Znaczny odsetek tego środowiska nie ma niestety żadnych doświadczeń z publikowaniem w wydawnictwach elitarnych (albo ma negatywne doświadczenia wskutek tego, o czym pisałem powyżej), a to powoduje, że chętnie tego typu stereotyp jest podchwytywany w rozmowach i staje się obiegową opinią w kuluarach. Nie jest dobrze więc, jeżeli na łamach „Forum Akademickiego” zabiegi o umiędzynarodowienie polskich badań – śmiem twierdzić, że w moim przypadku udane – staramy się bez sprawdzenia wskazanego przykładu przedstawiać jako efekt transakcji kupna-sprzedaży podlanej jeszcze sosem punktów parametryzacyjnych.

Na zakończenie na marginesie tylko nadmienię, że w przypadku moich publikacji „sloty” będą zapewne wypełnione innymi publikacjami wysoko punktowanymi (100 punktów i wyżej za każdą). To spowoduje, że polskojęzyczna monografia habilitacyjna (efekt siedmioletniej zmuśnionej pracy) i tak raczej nie będzie liczyć się do dorobku parametryzowanego ze względu na zbyt małą liczbę punktów, chyba że uwzględniona zostanie jej zmodyfikowana, anglojęzyczna wersja bądź wydział podjemnie decyzyjne, aby zgłosić tylko pierwotną wersję habilitacji polskojęzycznej za 100 punktów.

Problem, który Pan podniósł, jest wieloaspektowy i wymaga szczegółowego rozpatrzenia na różnych płaszczyznach. Szkoda, że tak niefortunnie dobrał Pan przykład, aby zegzemplifikować jeden z licznych nierozwiązanych problemów, jaki wiąże się z najbliższą parametryzacją (i parametryzacją w ogóle). Osobiście nie żywię urazy, ale chciałbym zwrócić uwagę na potrzebę nie tylko staranniejszego weryfikowania pozyskiwanych informacji, ale także i nieco szerszego badania wiarygodności oraz motywacji Pana informatorów. To jest szczególnie istotne przy realizacji tak trudnej i odpowiedzialnej misji, której się Pan podjął, ponieważ bardzo łatwo jest ją wykorzystywać do rozgrywek personalnych pod pretekstem walki o wyższą sprawę. Problem jest ważki i, abstrahując od okoliczności, cieszę się, iż został wywołany na tym forum. Uważam jednak, że przy pozyskiwaniu informacji należy zawsze próbować sięgać do źródła w celu weryfikacji prawdziwości głoszonych twierdzeń – skonsultować się z autorem publikacji, aby poznać dokumenty wskazujące na źródła jej finansowania oraz potencjalne mechanizmy wspierające tego typu przedsięwzięcia.

Z poważaniem,  
Michał Gałędek

Tytuł tekstu pochodzi od redakcji.

Rozmowa z dr. hab. Markiem Średniawą, prof. ASP w Gdańsku, ekspertem Polskiej Komisji Akredytacyjnej w dyscyplinie sztuk projektowych

# Nie kontrola, nie audyt

W tej chwili myślimy najpierw o tym, czego chcemy nauczyć, jakie kompetencje ma posiadać absolwent, a potem – jak do tego doprowadzić. Zmieniała się perspektywa widzenia. Ważne jest nie tyle to, czy zrealizowaliśmy program, tylko czy studenci osiągnęli określone kompetencje. Ocena pracy także przewraca się do góry nogami. Nie tyle oceniamy studentów, czy nauczyli się, czy nie, ile oceniamy siebie, czy stworzyliśmy im takie warunki, że oni osiągnęli zakładane efekty.

## Czym jest design?

Mamy taki moment w historii designu, że nie potrafimy na to pytanie odpowiedzieć jednoznacznie, wciąż trwają próby zdefiniowania obszaru, którym design się zajmuje. Korzenie designu to poszukiwanie estetyki form przedmiotów produkowanych przemysłowo. Projektant wzornictwa – designer, był kimś, kto formę takich przedmiotów projektował. Wypracowana metoda projektowania w zakresie wzornictwa okazała się na tyle uniwersalna, że zaczęto ją stosować do rozwiązywania problemów z innych obszarów. Jednocześnie pierwotny zakres wzornictwa, najbardziej związany z estetyką, był poszerzany i zaczął obejmować także warstwę użytkową, semantyczną i nawet technologiczną wyrobów. Mam wrażenie, że używane współcześnie zamiennie pojęcia design i wzornictwo nie są pojęciami tożsamymi. W popularnych artykułach prasowych, w potocznym znaczeniu, design staje się cechą produktu: „samochód jest komfortowy, szybki i ma dobry design”. Dlatego myślę, że dla określenia wydzielonego obszaru twórczej działalności człowieka lepiej używać pojęcia wzornictwo. Samo pojęcie wzornictwa jest rozchwiane, także obszary, którymi wzornictwo się zajmuje, zaczynają się rozmywać. Projektanci produktu dążą do rozszerzenia zakresu wzornictwa. Dochodzi do tak paradoksalnych określeń jak „wzornictwo usług” zamiast „projektowanie usług”. Z kolei z punktu widzenia procesów związanych z gospodarką, z kształtowaniem pojęć w zakresie prawa ważne jest dążenie do precyzowania definicji tak, by wyraźnie zostało określone, czym jest wzornictwo, czym jest projektowanie wzornictwa, co to jest projekt wzorniczy i czym zajmuje się projektant wzornictwa.

Jeśli będziemy rozważali definicję wzornictwa w aspekcie kształcenia projektantów, sprawa okaże się nieco prostsza. W Polsce wzornictwo jest autonomiczną subdyscypliną artystyczną, która zbudowała swoją tożsamość i metodykę działania. W tradycji polskiego szkolnictwa wzornictwo zawsze było lokowane w akademiach sztuk pięknych. W definicji, którą próbujemy stworzyć chociażby na potrzeby kontaktu ze studentami, powiemy, że wzornictwo jest działalnością twórczą, która polega na opracowaniu pożądaných cech przedmiotów, systemów, przestrzeni oraz procesów z punktu widzenia zaspokajania potrzeb ludzkich. Prof. Jacek Popek zawsze podkreślał,

że projektowanie wzornictwa to jest projektowanie procesu, a przedmiot, który przy okazji powstaje, jest tylko partyturą, w której zaprojektowany proces jest zapisany.

## Czy jednak uczelnie nie gubią się w określaniu zakresu wzornictwa jako popularnego obecnie kierunku studiów?

Niestety tak. Rozszerzenie definicji tego pojęcia spowodowało, że na uczelniach pojawiają się kierunki, które noszą nazwę wzornictwo, ale nie zawierają w sobie istotnego rdzenia, czyli nie kształtują umiejętności projektowania w rozumieniu uniwersalnym, metodycznym. Niekiedy zajmują się czymś, co niektórzy nazywają designem autorskim. W tym przypadku projektant jest równocześnie wykonawcą tego, co zaprojektował. To jest silny i modny nurt, w którym twórczość projektanta silnie związana jest z ekspresją artystyczną. Absolwent kończący taki kierunek będzie posiadał tytuł licencjata lub magistra sztuki w zakresie wzornictwa, ale wobec wyzwania, jakie gospodarka stawia przed wzornictwem, będzie bezradny, ponieważ nigdy nie miał kontaktu z projektowaniem rozumianym jako budowanie zamysłu realizowanego przez innych metodami przemysłowymi. Będzie utożsamiał projektowanie z robieniem rzeczy, przedmiotów. I tutaj oddalamy się od rdzenia definicji pojęcia wzornictwo.

## Praktyczny profil studiów, przynajmniej w założeniu, ma przygotowywać studentów do radzenia sobie z konkretnymi wyzwaniami zawodowymi.

W naszej rozmowie dotyka pani najbardziej drażliwych spraw. Proszę sobie wyobrazić, że mamy wykształcić projektanta wzornictwa, czyli człowieka, który ma współpracować z przemysłem, ma potrafić rozpoznać potrzeby użytkownika i przetworzyć je w taki sposób, żeby w przedmiocie zakłąć cechy, które umożliwiają zaspokojenie tych potrzeb i to na różnych poziomach, tym bezpośrednim, użytkowym, ale i tym wyższym, związanym z wartościami estetycznymi, semantycznymi. Oczywiście przedmiot ten musi zostać wyprodukowany z użyciem konkretnych technologii wytwarzania. I oczywiście projektant musi znać możliwości i konsekwencje związane z użyciem technologii. Różnych technologii, wszystkich dostępnych technologii... Ale wiadomo, że postęp w zakresie technologii

ma zawrotne tempo. Absolwent kierunku wzornictwo rozpocznie pracę zawodową w innej rzeczywistości technologicznej niż ta z okresu jego studiów. Tak więc w kształceniu projektantów wzornictwa na kierunkach studiów o profilu ogólnoakademickim koncentrujemy się na istocie procesu projektowania. Musimy kształcić umiejętność projektowania w pewnym stopniu w uniezależnieniu od technologii. Musimy założyć, że absolwent, który skończy studia i zacznie pracować dla określonej gałęzi przemysłu, może spotkać się z technologiami, z którymi nie miał szansy zapoznać się na uczelni, ponieważ uczelnia musiałaby mieć dostęp do wszystkich możliwych technologii teraźniejszych i przyszłych.

### Co oczywiście jest niemożliwe.

Absolutnie niemożliwe. To jest poważny problem. Proszę sobie wyobrazić, że ktoś zajmuje się projektowaniem jachtów – w naszej uczelni jest prowadzona pracownia projektowania architektury okrętów. Materia, w której się będzie obracał, to są na przykład gigantyczne formy kadłubów laminowane w wysoce zaawansowanych współczesnych technologiach ciśnieniowych. Oczywiście uczelni nie stać na posiadanie takiego zaplecza technicznego i student nigdy na terenie uczelni nie będzie mógł zbudować w takiej technologii na przykład dziesięciometrowego kadłuba. Tymczasem uczelnia, która kształci na kierunkach praktycznych, musi zapewnić w programie studiów to, żeby student poświęcił więcej niż połowę łącznego nakładu pracy koniecznego do ukończenia studiów, na zajęcia kształtujące umiejętności praktyczne.

### Powinna więc pojawić się koncepcja realizacji części zajęć poza uczelnią.

Dokładnie tak. I tutaj przechodzimy do sedna. Jeśli mamy myśleć o dobrym, współczesnym programie studiów o profilu praktycznym w zakresie projektowania wzornictwa, to taki program powinien uwzględniać ściśle współpracę z otoczeniem gospodarczym, która umożliwi studentom udział w procesie produkcji lub przynajmniej aktywną obserwację tego procesu. Dotyczy to zarówno praktyk studenckich, jak i zajęć dydaktycznych prowadzonych poza uczelnią. Jak już wspomniałem, trudność polega jednak na ogromnej różnorodności współczesnych technologii. Logiczne więc wydaje się, że akademie sztuk pięknych prowadzą studia o profilu ogólnoakademickim na kierunku wzornictwo. To pozwala skoncentrować się na samym rdzeniu kształcenia, czyli na metodologii projektowania, poznawaniu języka kompozycji umożliwiającego budowanie form o założonym oddziaływaniu, wiedzy o człowieku, poznawaniu warsztatu projektanta. Czyli zdobywaniu kompetencji uniwersalnych, które nie zdezaktualizują się zbyt szybko. To wszystko oczywiście z założeniem, że kompletna formacja zawodowa absolwenta nastąpi po okresie studiów.

### Jak rozumiem, pracodawca, do którego trafi absolwent kierunku prowadzonego na profilu ogólnoakademickim, powinien mieć świadomość, że musi mu zapewnić szkolenie z technologii wykorzystywanych w konkretnym, specyficznym procesie produkcji.

Tak, proszę także zwrócić uwagę, że technologie błyskawicznie się zmieniają, więc opieranie projektowego kierunku studiów, które mogą trwać w sumie pięć lat, na nauczaniu technologii wydaje się, o czym już mówiłem, mało sensowne. Drugim rozwiązaniem, które bardzo mi się spodobało, jest prowadzenie mocno wyspecjalizowanych kierunków z obszaru wzornictwa na profilu praktycznym. Mam tutaj na myśli np. projektowanie ubioru, obuwia czy tkanin, takie miałem przyjemność poznać i dlatego używam ich jako przykładów. W przypadku tak pro-

wadzonych kierunków studenci kształcą się w zakresie metodologii projektowania z zachowaniem pierwiastka twórczości, ale jest to bardzo mocno ułożone w określonej technologii czy zbiorze technologii. W tym przypadku uczelnia może zbudować sobie zaplecze technologiczne i poszukiwać partnerów do współpracy w konkretnej gałęzi przemysłu. Studenci opuszczają mury uczelni wyposażeni z jednej strony w aktualną wiedzę o określonych technologiach, w których realizowane są ich zamysły, a z drugiej strony mają też umiejętność budowania tych zamysłów, czyli projektowania.

Poza tymi dwiema drogami istnieje niestety trzecia – droga pewnego nieporozumienia, przyklejania nazwy wzornictwo do kierunków studiów, których program koncentruje się na przykład na projektowaniu graficznym, twórczości z zakresu uniikatowych form biżuterii z pominięciem metodyki projektowania i wiedzy z zakresu technologii. Taki program studiów niewiele ma wspólnego ze wzornictwem. Oczywiście wymienione przeze mnie obszary twórczości mogą być świetnym poligonem doświadczalnym dla studentów wzornictwa, ale nie mogą stanowić „kręgosłupa” kierunku, nie można ich utożsamiać ze wzornictwem jako takim. Wzornictwo dzisiaj jest modne. Są osoby, które nie chcą studiować w akademii sztuk pięknych, ponieważ wiąże się to z koniecznością przejścia przez sito trudnego egzaminu wstępnego. Nie czują się też na tyle mocne w zakresie nauk ścisłych, żeby wiązać się z kierunkiem opartym na technologii. Szukają sobie innego miejsca. Właśnie do tych osób uczelnie idące tą trzecią drogą kierują swoją ofertę.

### Jakie zagadnienia są priorytetowe w ocenie warunków jakości kształcenia na praktycznym profilu studiów? Z czym rektorzy i dziekani mają największe problemy?

Największym problemem jest to, że trudno wyobrazić sobie prowadzenie kierunków projektowych tylko w murach uczelni, w oderwaniu od otoczenia. Na początku, po wprowadzeniu Ustawy 2.0, część środowiska akademickiego uznała, że profil praktyczny jest prostszy, bo nie trzeba, jak w przypadku profilu ogólnoakademickiego, prowadzić badań naukowych.

### Zmniejszyły się też wymogi kadrowe.

Jest w tym jednak pewien paradoks – uważam, że łatwiej spełnić wymogi kadrowe w profilu ogólnoakademickim niż w praktycznym. W profilu praktycznym muszą być zatrudnieni specjaliści z pewnego zakresu, którzy mają doświadczenie pozaakademickie. Znalezienie osoby, która z jednej strony jest praktykiem w danym zakresie pracy zawodowej, a z drugiej strony ma kompetencje nauczyciela akademickiego, to bardzo poważny problem. Uczelnia prowadząca studia na kierunku o profilu ogólnoakademickim sama generuje sobie kadre – doktorów w określonej dyscyplinie, którzy robią habilitacje i zdobywają szczyble kariery akademickie. Specyfiką polskiego szkolnictwa artystycznego jest to, że nauczyciele akademicy zatrudnieni w uczelniach artystycznych są aktywnymi twórcami. Myślę, że prawie każdy znany i uznany projektant wzornictwa pracuje jako nauczyciel akademicki.

### Uczelnie, które kształcą w profilu praktycznym, nie mogą w ten sposób generować sobie kadry. Pojawia się więc pytanie o weryfikację kompetencji pracowników pozyskanych „z zewnątrz”.

Tak, każda uczelnia prowadząca studia na kierunkach o profilu praktycznym spotyka się z tym problemem. Drugim trudnym do spełnienia warunkiem jest konieczność współpracy z otoczeniem gospodarczym czy raczej społeczno-gospodarczym. Nie jesteśmy w stanie w procesie dydaktycznym symulować rzeczywistych procesów, które są związane na przykład z wdrażaniem nowego produktu, produkcją, w związku z tym

musimy uwzględnić to, że część zdefiniowanych dla kierunku efektów uczenia się studenci muszą zdobywać w warunkach właściwych dla działalności zawodowej związanej ze wzornictwem. Służą temu między innymi praktyki zawodowe, które są elementem programu studiów. Wiąże się to z koniecznością precyzyjnego określenia efektów uczenia się zakładanych dla tych praktyk. Nie wystarczy zaświadczenie, że student odbył sześć miesięcy praktyk, praktyki muszą być realnie i rzeczywiście wpisane w koncepcję kształcenia i programu studiów, co oczywiście stanowi pewną trudność organizacyjną.

**W jakim stopniu uczelnie artystyczne poradziły sobie z wdrażaniem przepisów związanych z Ustawą 2.0? Czy czas na wdrożenie tych przepisów nie okazał się zbyt krótki?**

Nie potrafię spojrzeć na to zagadnienie z ogólnej perspektywy. Znam środowisko akademickie związane z kształceniem na kierunkach projektowych. Moja obserwacja jest taka, że są świetnie prowadzone studia na kierunku wzornictwo na profilu ogólnoakademickim, które na dodatek najczęściej spełniają także wszystkie warunki profilu praktycznego. Są również świetnie prowadzone studia na kierunku wzornictwo na profilu praktycznym. Jeżeli takie uczelnie istnieją, to znaczy, że czasu nie było zbyt mało.

**Czy jednak nie ma różnicy jakościowej pomiędzy uczelniami prowadzącymi kierunki w profilu ogólnoakademickim, które spełniają przy okazji wymogi profilu praktycznego, a uczelniami, które prowadzą kierunki tylko w profilu praktycznym?**

Pewnie panią zaskoczę, ale byłbym w stanie wymienić niewielkie uczelnie, prawdziwe perełki kształcące w profilu praktycznym w taki sposób, że można się od nich uczyć. Oczywiście są też takie, które nie dają sobie rady i mają problem ze zrozumieniem istoty profilu praktycznego. Widzimy, że wiele zależy od tego, czy na uczelni jest odpowiednia grupa ludzi, którzy pracują z sercem i zależy im na jakości kształcenia. Wiadomo, że zmiany zawsze są kłopotliwe. Przy czym wydaje mi się, że zapomnieliśmy, iż mamy do czynienia ze studiami wyższymi, których istotą jest studiowanie, a nie tylko uczenie się. Zmieniają się definicje programu studiów, procedury, organizacja uczelni. Dla środowiska akademickiego te zmiany są jak ciągłe szturchanie. Uważam, że środowisko akademickie powinno mieć jakiś czas stabilizacji uwarunkowań prawnych. Czas na sprawdzenie na przykład swoich koncepcji organizacyjnych. Oczywiście inaczej jest, czy też powinno być, w obszarze badań i twórczości – tu absolutnie musimy wyprzedzać przemysł, politykę, relacje społeczne. Musimy wytaczać kierunki rozwoju, zmieniać się i zmieniać rzeczywistość. Tutaj nie ma miejsca na stabilizację.

Zdarzają się niestety uczelnie, które nie koncentrują się na planowaniu koncepcji kształcenia, chcą natomiast prowadzić popularne kierunki studiów. I tu, moim zdaniem, przebiega granica jakości: kierunek może być zarządzany dobrze albo źle, bez względu na jego profil i na to, czy jest prowadzony w małej czy dużej uczelni, publicznej czy niepublicznej.

**Może to także kwestia rozumienia pewnego etosu akademickiego, a nie sprowadzania wszystkiego do kalkulacji biznesowej.**

Nie lubię w dyskusji wchodzić w te obszary, które są najbliższe mojemu sercu, bo zawsze dostaję po nosie: „jaki etos, trzeba myśleć praktycznie”. Ale trafiła pani w sedno, mogę tu przytoczyć wiele anegdot. Koncepcja kształcenia musi być zgodna z misją i strategią uczelni, to jedno z kryteriów, które jest analizowane w procesie oceny jakości kształcenia. Dokonujemy analizy jakości kierunku i czytamy, że misją uczelni jest podwojenie zysków w ciągu najbliższych iluś tam lat... Myślę, że kształcenia na poziomie szkolnictwa wyższego nie można prowadzić tylko jako biznesu.

**W programie swojej pracowni zaznaczył pan, że istotna jest droga, a nie tylko cel, do którego zmierzamy, czyli efekt.**

Tak, ale jedno nie przeczy drugiemu. Pojawienie się koncepcji budowania programu studiów na podstawie efektów kształcenia, czy później uczenia się, było radykalną zmianą koncepcji. Do tej pory program studiów budowaliśmy na standardach kształcenia. Myśleliśmy o kształceniu w ten sposób, że jeśli stworzymy odpowiedni zakres programowy i przepuścimy przez taką maszynkę studenta, to on automatycznie nabierze pewnych umiejętności. W tej chwili myślimy najpierw o tym, czego chcemy nauczyć, jakie kompetencje ma posiadać absolwent, a potem jak do tego doprowadzić. Zmieniła się perspektywa widzenia. Ważne jest nie tyle to, czy zrealizowaliśmy program, tylko czy studenci osiągnęli określone kompetencje. Ocena pracy także przewraca się do



góry nogami. Nie tyle oceniamy studentów, czy nauczyli się, czy nie, ile oceniamy siebie, czy stworzyliśmy im takie warunki, że oni osiągnęli zakładane efekty. Mnie się to podoba, bo można wtedy nie tylko świadomie zaprojektować program studiów, ale też dobrze dokonywać ewaluacji tego programu i widzieć, czy nie popełniliśmy błędów w jego konstrukcji i realizacji.

### **Jaka jest specyfika wizytacji przeprowadzanych przez PKA w okresie pandemii?**

Nowa koncepcja zakłada możliwość prowadzenia wizytacji on-line. Nie przyjeżdżamy więc do uczelni, wszystko odbywa się zdalnie.

### **A jak pan ocenia możliwość rzetelnej weryfikacji jakości kształcenia przy zastosowaniu takiej metody?**

Myszę, że na poważną ocenę przyjdzie jeszcze czas. Obecnie zbieramy informacje i doświadczenia. Nietrudno sobie wyobrazić, że w obszarze sztuki mamy dwie nogi na hamulcu tej zmiany. Z przymrużeniem oka. Musimy wejść do pracowni, poczuć jej atmosferę, to dla nas ważny element poznania. Muzycy mówią: musimy być na uczelni, słyszeć, co tam się dzieje. W sztukach filmowych i teatralnych mówią: musimy zobaczyć i poczuć ekspresję słowa, gestu. To prawda. To, co jest istotą kształcenia w dziedzinie sztuki, pozostaje nieuchwytnie. Z jednej strony milcząco przyjęliśmy koncepcję, że całą wiedzę daje się zwerbalizować. Systemy zdalne są świetne do weryfikowania zwerbalizowanej wiedzy, ale w dziedzinie sztuki znaczna część wiedzy jest niezwerbalizowana. To się różnie w różnych językach nazywa: wiedza ukryta, wiedza milcząca. Pomiędzy osobami biorącymi udział w procesie kształcenia w zakresie sztuki wytwarza się szczególna więź i w to faktycznie trzeba się zanurzyć – wejść do pracowni, chwilę tam postać. Obecnie także się widzimy, tyle że na ekranie.

Kolejna sprawa dotyczy infrastruktury, w której odbywa się proces kształcenia. Dobrze jest wejść, dotknąć, sprawdzić. Obecnie dysponujemy materiałem filmowym – zespół pracowników z kamerą wędruje przez uczelnię, rozmawiamy z nimi, prosimy, aby się odwrócili, coś nam pokazali. Daje nam to złudzenie uczestnictwa. Największy problem mamy z wizytacją zajęć prowadzonych metodą zdalną. Sami także jesteśmy nauczycielami akademickimi i borykamy się z podobnymi problemami. Myszę, że dopiero po pewnym czasie będziemy mogli zobaczyć, jakie są efekty uczenia się w tych warunkach i co się tak naprawdę wydarzyło. Część moich kolegów jest zadowolona ze zdalnego sposobu przeprowadzania wizytacji, bo jest spokojniejszy, mniej stresujący obie strony, i tę wizytującą, i tę wizytowaną. Proszę sobie wyobrazić, że jest pani szefem wydziału i nagle wchodzi pięć czy sześć osób bardzo poważnie ubranych... Ja zawsze jestem skrępowany, gdy wchodzę na uczelnię, czuję się jak intruz. A tu, jeśli sytuacja jest zbyt napięta, to ktoś naciska przycisk i mówi: „przepraszam połączenie się przerwało” (śmiech). Na początku wszyscy byliśmy zestresowani, głównie obawialiśmy się technicznych problemów z wykorzystaniem nowych dla nas platform zdalnej pracy. Podsumowując, wydaje mi się, że zdalne wizytacje mają bardziej roboczy charakter, są mniej „nadęte”.

### **Jest to jednak sytuacja wymuszona pandemią. Załóżmy scenariusz odwrótu pandemii, czy wołałby pan wrócić do wcześniejszego sposobu przeprowadzania wizytacji?**

To oczywiście nie zależy ode mnie, ale myślę, że wszystkie sprawy związane z pracą z dokumentami prawdopodobnie zostawiłbym w postaci zdalnej. Tak jest wygodniej i mniej stresująco. Uczelnia ma wówczas więcej czasu na właściwe przygotowanie dokumentów. Spodobała mi się praca w przestrzeni

wspólnej, gdzie na serwerze pojawiają się dokumenty z uczelni, eksperci mogą pracować nad nimi i jednocześnie współpracować ze sobą. To bardzo usprawnia pracę i ją porządkuje. Z drugiej strony chciałbym móc stanąć na schodach wejściowych uczelni i rozejrzeć się dookoła. Bardzo lubiłem w czasie wizytacji spacerować korytarzami. Czasami widziałem, że coś się dzieje, studenci pracują, siedzą na podłodze z laptopami. Innym razem, że jest pustka. Pytam, czy dziś nie ma zajęć? Są, ale studenci tylko wchodzą i wychodzą. Oczywiście nie ma takiego kryterium czy punktu „opisz atmosferę uczelni”, ale ona często coś istotnego wyraża. Tak więc opowiedziałbym się za hybrydowym modelem wizytacji. Zaznaczam, że to moja prywatna opinia, nie wiem, na ile zgodna z tym, co myślą inni eksperci.

### **Jak można ustrzec się przed negatywną oceną wizytowanego kierunku?**

Ważne jest zbudowanie sprawnie i skutecznie działającego systemu zapewnienia jakości kształcenia, a szczególnie – monitorowania programu studiów i jego realizacji przez osoby z odpowiednimi kompetencjami, które potrafią szybko reagować na wszelkie nieprawidłowości w tym zakresie oraz na zmiany uwarunkowań prawnych. Przez dwie kadencje pracowałem jako prorektor w Akademii Sztuk Pięknych i między innymi na mnie spoczywały obowiązki związane z jakością kształcenia. Mam więc świadomość, że nie wystarczy bieżący ogląd, potrzebny jest także mechanizm sumowania doświadczeń i wytyczania drogi do osiągnięcia zakładanej jakości.

Spróbuję opisać proces wystawiania oceny programowej. Oczywiście nie będzie to wykładnia PKA, tylko moja opowieść. Wizytacja to nie kontrola czy nawet audyt. Zespół uczelniany zajmujący się danym kierunkiem przygotowuje raport samooceny, dokładnie według tych samych kryteriów, według których oceniany jest kierunek. Po sformułowaniu raportu zespół ekspertów analizuje ten dokument, formułuje pytania, wątpliwości i pojawia się na uczelni. W trakcie wizytacji prowadzone są rozmowy z różnymi grupami społeczności akademickiej i interesariuszami zewnętrznymi. Równocześnie zespół oceniający próbuje zbudować sobie własny obraz tego, jak funkcjonuje kierunek, prowadzi wieloaspektowe analizy oceny spełnienia dziesięciu zdefiniowanych kryteriów oceny programowej. Po wizytacji zespół formułuje raport, który podlega recenzji wewnętrznej, głównie w aspekcie jego wewnętrznej spójności. Raport zawiera propozycję oceny. Każde kryterium jest osobno opisane, wymienione są przesłanki, które stanowią podstawę do uznania kryterium za spełnione, częściowo spełnione lub niespełnione. W przypadku kryterium spełnionego częściowo formułowane są zalecenia. Jest to odpowiedź ze strony ekspertów, a ponieważ trzon zespołu wizytującego stanowią nauczyciele akademicki, natychmiast włącza się im tryb belfra: jak można doradzić, co zrobić, aby poprawić sytuację. Raport przekazywany jest uczelni, która w odpowiedzi przygotowuje swoje stanowisko, opisując między innymi podjęte działania. Te dwa dokumenty trafiają na obrady zespołu działającego w ramach dziedziny nauki, sztuki lub zespołu do spraw kształcenia nauczycieli – w naszym przypadku zespołu sztuki. Zespół Na podstawie tych dokumentów i relacji przewodniczącego zespołu oceniającego przygotowuje opinię, która jest podstawą decyzji Prezydium PKA. Jak widać, od chwili napisania raportu samooceny do podjęcia uchwały w sprawie oceny programowej przez Prezydium PKA jest długa droga.

*Rozmawiała Krystyna Matuszewska*

### Oferta na miarę czasów

Rok pandemii wymusił potrzebę poczynienia błyskawicznych zmian w wielu obszarach. Konieczność modyfikacji kierunków działania nie ominęła także sektora szkolnictwa wyższego, który musiał szybko i sprawnie zareagować na zaistniałe



okoliczności. Jak w tych nieprzewidywalnych czasach poradziła sobie jedna z lubelskich uczelni, informuje miesięcznik Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej „Wiadomości Uniwersyteckie” (nr 1/2021).

Z przytoczonych słów skierowanych do społeczności akademickiej przez rektora UMCS, prof. dr hab. Radosława Dobrowolskiego wynika, że

kierowana przez niego jednostka zdała ten trudny egzamin z wynikiem pozytywnym. Umiejętne dostosowanie procesu dydaktycznego do potrzeb bieżącej chwili oraz wykorzystanie metod kształcenia na odległość pozwoliły na zachowanie ciągłości nauki. W covidowym zamieszaniu nie można zapomnieć o innych odniesionych sukcesach. Prof. Dobrowolski wymienia wiele osiągnięć zapisanych na koncie uczelni, przypominając o zdobytych przez lubelskich badaczy laurach w konkursach organizowanych przez Narodowe Centrum Nauki, o owocnej współpracy z otoczeniem społeczno-gospodarczym, utworzonych nowych kierunkach studiów czy modernizacji i rozbudowie istniejącej infrastruktury.

Prof. dr hab. Dorota Kołodyńska, prorektor ds. studentów i jakości kształcenia UMCS, artykułuje z kolei potrzebę utrzymania wysokiego poziomu edukacyjnej oferty. Jej zdaniem, od jakości tejeż zależeć będzie dalszy kierunek rozwoju zarówno sfery dydaktyczno-społecznej, jak i potencjału nauczycieli oraz studentów. Zadaniem na dziś jest przygotowanie propozycji dla przyszłych kandydatów w taki sposób, by chcieli oni wybrać właśnie UMCS.

### Więcej światła

Materiały wybuchowe, narkotyki czy inne niebezpieczne substancje pozostawiają ślady niewidoczne dla ludzkiego oka. Skoro tak się dzieje, to nasuwa się pytanie, jak radzą sobie w sytuacjach zagrożenia służby odpowiedzialne chociażby za



ochronę lotnisk czy innych obiektów użyteczności publicznej, zobligowane do sprawdzenia zawartości pozostawionych bez opieki toreb, paczek lub worków foliowych. W sukurs przychodzi im metoda wzmocnionej powierzchniowo spektroskopii Ramana (SERS). Na czym dokładnie polega jej specyfika informuje pismo Wojskowej Akademii Technicznej „Głos Akademicki” (nr 11-12/2020).

Z opisu techniki opierającej się na unikatowym procesie, jakiemu ulegają fotony, dowiadujemy się, że tzw. efekt Ramana zachodzi po rozproszeniu światła przez cząsteczki substancji w momencie, kiedy następuje zmiana energii padającego fotonu. Już rozproszone światło pada na detektor i kolejno zostaje przetworzone na widmo. O skuteczności tej charakterystycznej metody dowodzą prowadzone na WAT badania. Oprócz tych ostatnich, uczelnia jest także aktywna na wielu innych polach. Uczestniczy m.in. w interdyscyplinarnym projekcie „Platforma rozwoju urządzeń optycznych na bazie nieliniowych, topologicznych stanów światła opartych o materię miękką – TopoLight”, który realizowany jest w ramach programu Horyzont 2020-FET Open pod hasłem *Future and Emerging Technologies* (Przyszłość i powstające technologie). W tym przypadku naukowców interesują zjawiska zachodzące w tzw. wnękach optycznych. Po zakończeniu całego procesu poznawczego badacze mają nadzieję uzyskać nie tylko wiedzę na temat natury oddziaływania światła z materią, ale także poznać możliwości odkrycia takiego rodzaju materiałów, których istnienie wpłynie na rozwój technologii fotonicznych.

### Tradycja zobowiązuje

W listopadzie ub. roku minęło 100 lat od pierwszego posiedzenia Rady Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Poznańskiego. Wydarzenie, które jest synonimem inauguracji studiów lekarskich na uczelni ze stolicy Wielkopolski miało unikatowych charakter. Uczestniczyły w nim bowiem zaledwie cztery osoby, w tym pierwszy dziekan wydziału, prof. Adam Wrzosek. O tym, jak historyczne wątki wplatają się w materię terażniejszości, opowiada w rozmowie



z dwumiesięcznikiem Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu „Fakty UMP” (nr 5-6/2020) obecny dziekan Wydziału Lekarskiego, dr hab. Maciej Cymerys.

Mając świadomość wartości przekazanego dziedzictwa, interlokutor zwraca uwagę na aktualność słów wypowiedzianych kiedyś przez prof. Wrzoska, który apelował, by kształcenie medyków odbywało

się w duchu humanizmu, a nie wyłącznie na drodze jednostronnej edukacji przyrodniczo-lekarskiej. Indagowany o przyszłość Wydziału Lekarskiego w kolejnym stuleciu dr Cymerys podkreśla, że trudno jest jednoznacznie odpowiedzieć na takie pytanie, zważywszy chociażby fakt zauważalnego tempa zmian, jakie nieustająco dokonują się w otaczającym nas świecie. Dziś w roli zadań priorytetowych przeznaczonych do realizacji występują zagadnienia dydaktyczne, wychowawcze i organizacyjne. Następne pokolenia z pewnością w większym stopniu korzystać będą w procesie kształcenia z nowoczesnych metod edukacyjnych.

Jedna rzecz natomiast nigdy nie powinna ulec zmianie. Tą rzeczą jest nauczanie przy łóżku chorego. Nic bowiem nie jest w stanie zastąpić bezpośredniego kontaktu przyszłego medyka z pacjentem.

Aneta Zawadzka

Ewa Woźniak

# Przełomowe dwudziestolecie

W książce poświęconej dwudziestolecu międzywojennemu przekonuję, że konieczne jest spojrzenie na dwudziestowieczną polszczyznę bez ideologicznych okularów wypaczających obraz, a ponadto z możliwego już dzisiaj dystansu, który nie tylko gwarantuje większy obiektywizm, lecz także pozwala dostrzec nieuchwytnie wcześniej analogie.

W opisach dziejów polszczyzny lata międzywojenne (1918-1939) włącza się tradycyjnie do tzw. doby nowopolskiej, której centrum stanowi XIX wiek. Takie przyporządkowanie może być zaskakujące nawet dla laika, dostrzegającego zasadniczo odmienny status języka polskiego po odzyskaniu niepodległości: z języka dyskryminowanego, o ograniczonym zakresie użycia w sferze publicznej, staje się on językiem urzędowania, nauczania, przedmiotem polityki językowej państwa oraz podstawowym narzędziem asymilacji mniejszości etnicznych w wielonarodowościowej Drugiej Rzeczypospolitej. Umiejscowienie lat dwudziestych i trzydziestych XX wieku w obrębie tendencji dziewiętnastowiecznych, jako okresu schyłkowego, umożliwiło postawienie umownego punktu granicznego w rozwoju języka na 1945 roku, do czego zapewne aprobując odnosiły się PRL-owskie władze, chętnie dystansujące się wobec dziedzictwa międzywojennej Polski. Wyznaczając początek nowych dziejów polszczyzny na okres po II wojnie światowej, odwoływano się do argumentu przesunięcia granic ze wschodu na zachód, przesiedleń oraz migracji ludności, zmieniających strukturę narodowościową i gwarową, czy likwidacji analfabetyzmu. Były to czynniki interpretowane jako przełomowe, wywołujące integrację językową i znaczący wzrost liczby osób posługujących się odmianą ogólną języka, czyli tzw. językiem literackim. Przemiany społeczno-polityczne po 1945 roku ukazywano jako stymulator rozwoju leksyki oraz bazę do wykształcania się nowych mechanizmów słowotwórczych.

W książce poświęconej dwudziestolecu międzywojennemu przekonuję, że konieczne jest przewartościowanie tych ocen, to znaczy spojrzenie na dwudziestowieczną polszczyznę bez ideologicznych okularów wypaczających obraz, a ponadto z możliwego już dzisiaj dystansu, który nie tylko gwarantuje większy obiektywizm, lecz także pozwala dostrzec nieuchwytnie wcześniej analogie. Powinna to być również perspektywa uwzględniająca kategorie poznawcze, które nie były brane pod uwagę w periodyzacji historycznojęzykowej, jak kultura masowa czy globalizacja językowa.

## Do połowy pusta szklanka

W ocenie rangi dwóch dekad międzywojnia właściwym punktem odniesienia jest stan wyjściowy, a więc sytuacja językowa u progu niepodległości. Tymczasem w wartościowaniu dokonań tego okresu przyjmowano raczej perspektywę docelową, podkreślając na przykład, że nie udało się osiągnąć powszechnej piśmienności, że pomimo wprowadzenia siedmioletniego obowiązku szkolnego znaczna część placówek, zwłaszcza na wschodzie Polski, miała tylko klasy niższe, że nie udało się wyrównać różnic edukacyjnych pomiędzy miastem a wsią, a także dysproporcji w dostępie do oświaty pomiędzy dawnymi dzielnicami. Miało to konsekwencje w postaci ciągle niewielkiego odsetka ludności zdolnej do posługiwania się literacką odmianą polszczyzny, która dzięki temu zachowywała elitarny poziom. W opisach rynku prasowego w Polsce międzywojennej akcentowano, dla jakiej części społeczeństwa był on cenowo niedostępny. Stosowano strategię uwypuklania, że szklanka pozostała do połowy pusta, a nie że się do połowy zapełniła. Takie ujęcie perspektywne, a więc nastawione na konfrontację ze stanem docelowym, choćby całkowitą likwidacją analfabetyzmu po II wojnie światowej, powodowało niedoszacowanie osiągnięć międzywojnia, nie pozwalało na ukazanie dynamiki i skali przemian w relacji do początku XX wieku.

Również ruchy ludności (w sensie terytorialnym i społecznym), które wskazywane były jako argument przemawiający za cezurą roku 1945, pobudzone zostały już wcześniej przez I wojnę światową, utratę majątków na obszarach zajętych przez Sowieci, a po restytucji państwa przez zniesienie kordonów oraz potrzeby na rynku pracy. Mobilność ludności wskutek zaistnienia tych czynników była nieporównywalnie większa niż w okresie pod zaborami. Przy tym największą ruchliwość wykazywały warstwy wykształcone, migrujące w poszukiwaniu posad i możliwości zarobku. Konsekwencją na poziomie języka było przenikanie się różnych sposobów mówienia, wariantów regionalnych, a tym samym pobudzanie procesów unifikacyjnych. Ich finalizacja nastąpiła oczywiście już w okresie powojennym, choćby z racji tego, że dwie dekady to okres zbyt krótki, by mogły się w nim zakończyć przebiegające na ogół w wolniej-

szym tempie zmiany językowe. Również tzw. ruchy pionowe, z dołu drabiny społecznej wwyż, przybrały w międzywojniu znaczący wymiar. W latach trzydziestych prasa opisywała społeczno-ekonomiczne niebezpieczeństwa „masówek” uniwersyteckiej, nadprodukcji inteligencji. Nieprzypadkowo też człowiek z awansu społecznego, przedstawiciel nowej kadry urzędniczej czy działacz sfer biznesowych, staje się częstym bohaterem międzywojennej powieści obyczajowej o współczesnej tematyce.

### Świadomość międzywojennych tradycji

Oczywiście można alternatywę, który przełom bardziej znaczący: czy 1918, czy 1945 roku, potraktować jak wybór między wyższą rangą świąt Bożego Narodzenia lub Wielkanocy, jestem jednak przekonana, że odkrycie dla historii języka zaniedbywanego i marginalizowanego międzywojnia ma szczególną wartość także dlatego, że pozwala na lepsze zrozumienie zjawisk uobecniających się w polszczyźnie końca XX wieku, przełomu stuleci. Dostrzegamy tu tendencje, które zainicjowane zostały w dwudziestoleciu, po czym zahamowane w wyniku wojny światowej oraz po 1945 roku, a ze zdwojoną siłą powróciły po 1989 roku. Bez zaplecza w postaci wiedzy o dziejach języka traktujemy je jako nowe, podczas gdy w rzeczywistości są to powroty tego, co już było w międzywojniu.

Zapewne nie wzbudzałyby kontrowersji i nie miały światopoglądowych podtekstów nazwy żeńskie, gdyby ich używaniu oraz wypowiadaniu się o nich i ocenie towarzyszyła świadomość międzywojennych (i wcześniejszych) tradycji. Wzrost aktywności kobiet na różnych polach po I wojnie światowej był przyczyną powstawania licznych feminatywów, które tworzone w sposób naturalny, odpowiadając na zaistniałe potrzeby nazewnictwa oraz uznając takie postępowanie za zgodne z „duchem polszczyzny”. Wątpliwości mógł budzić tylko wybór jednego z licznych przyrostków żeńskości, które oferuje system słowotwórczy polszczyzny. Było to przyczyną dylematów w rodzaju: dramaturgini czy dramaturżka, pedagogini, pedagogiczka czy pedagożka, posełka, posełkini, poślca czy posłanka itp. Stosowanie nazw męskich w odniesieniu do kobiet uznawano za potencjalne źródło nieporozumień (na przykład doktor, zamiast doktorka), zaś paniom, które wyłamywały się od zasady nazywania kobiet za pomocą formacji feminatywnych, zarzucano „podszywanie się pod płaszcz męski” i „wstyd kobiecości”. W tworzeniu nazw żeńskich nie były wówczas przeszkodą ani zbitki spółgłosek (znana była adiunktka, architektka, chirurgka, jeźdźczyni czy stewardka), ani wieloznaczność (np. szoferka ‘kobieta kierująca pojazdem’, ‘prowadzenie samochodu’, ‘kabina kierowcy’).

Odcięcie od tradycji używania feminatywów nastąpiło w okresie PRL-u i miało wymiar propagandowy: stosowanie jednej nazwy (męskiej) w odniesieniu do obydwu płci dowodziło równouprawnienia, które zapewnił kobietom system socjalistyczny, w przeciwieństwie do swojego „zgnitego” opoenta. Wiele nazw żeńskich, które w dwudziestoleciu wzbogaciło zasób leksykalny polszczyzny, natomiast po 1945 roku znalazło się poza obiegiem, jest obecnie przywracanych użytkownikom polszczyzny, choć najczęściej bez świadomości ich językowej kontynuacji. Gdyby sięgnąć do zasobów słownictwa międzywojennego, nie trzeba byłoby dziś ogłaszać konkursu na żeński odpowiednik słowa kierowca, ponieważ w podobnym plebiscycie (chodziło o rodzimy zamiennik dla obcego szofera i jego żeńskiej formy), zorganizowanym przez periodyk motoryzacyjny „Lotnik i Automobilista” już w 1912 roku, wybrano jako najbardziej odpowiednie słowo kierowczyni, podobnie jak w niedawnym konkursie MPK w Poznaniu.

Dla znawcy dwóch dekad międzywojnia nie jest również nowością równoległe stosowanie nazwy męskiej i żeńskiej, gdy mowa o zbiorach różnoplciowych (chodzi o zalecane dziś w dys-

kursie równościowym połączenia typu studenci i studentki, Polki i Polacy), ponieważ w dwudziestolecie było to powszechną praktyką, zaniechaną w czasach „słusznie minionych”.

Meandrom funkcjonowania polskich feminatywów poświęcałam osobny rozdział *Nazwy żeńskie – między tradycją a nowoczesnością*. Ich współczesny status pokazuje, że po PRL-owskiej przerwie przywrócenie stanu z międzywojnia nie było możliwe, a obciążenie negatywną stylistyką pozostało jak na razie trwałym komponentem feminatywów, ograniczającym językowy obyczaj ich używania, zwłaszcza w sytuacjach oficjalnych.

### Foxtrotty przy dźwiękach jazz-bandów

Pomost pomiędzy dwudziestoleciem a czasami nam współczesnymi stanowią również językowe wpływy angielskie. Napływ zapożyczeń pobudzały wówczas kontakty międzynarodowe odrodzonego państwa, otwarcie na informacje ze świata, propagowanie kultury i obyczajowości zachodniej (angielskiej, amerykańskiej). Jest to zjawisko interesujące z tego względu, że stopień znajomości angielskiego w ówczesnym społeczeństwie był znikomy (znacząco ustępując pod tym względem francuskiemu i niemieckiemu), a język ten dopiero zaczął претендовать do roli lingua franca (kwestiom tym poświęcam jeden z rozdziałów książki, zatytułowany *Ranga języków obcych*). Nowe pożyczki nie były własnością elit. Kanałem transmisji anglicyzmów, zapewniającym szybkie rozprzestrzenianie się oraz asymilację, była kultura masowa. Duża ich część wzbogaciła pole tematyczne rozrywki, sportu, spędzania czasu wolnego. Zapraszano się na fajfy, jadano lunchy, podróżowano slippingiem, hallami nazywano nie tylko wnętrza hotelowe, ale i dawne salony, elity określano jako high-life, na dancingach, przy dźwiękach jazz-bandów, tańczono amerykańskie foxtrotty i shimmy, a zawodowe tancerki nazywano girlsami. Obecność niektórych zapożyczeń w międzywojennej prasie jest zaskakująca z dzisiejszego punktu widzenia, ponieważ ich pojawienie się w polszczyźnie skłonni byłibyśmy wiązać dopiero z ostatnimi latami, np. cocktailbar, dumping, handicapować, hot-dog, kardigan, roadster, tabloid, weekend. Falowo napływające zapożyczenia ulegały szybkiej adaptacji fleksyjnej i słowotwórczej, tworząc rozbudowane nieraz rodziny, np. od wyrazu interview nie tylko powołało derywaty interviewer i interviewować, ale również go odmieniano: o interviewie.

Analogie pomiędzy zjawiskami i tendencjami uobecniającymi się w języku w dwóch okresach, rozdzielonych kilkoma dziesięcioleściami PRL-u, właściwie nie powinny dziwić. Znajdują one uzasadnienie w podobnych uwarunkowaniach rozwoju języka po restytucji państwa oraz po przełomowym 1989 roku. „Wybijając się na niepodległość”, Polska zrywała różnorakie, wielopłaszczyznowe więzi (polityczne, prawne, komunikacyjne, oświatowe itp.) z organizmami państw zaborczych, w które wrosła przez długi okres niewoli, podobnie po 1989 roku uwalniała się z politycznego reżimu bloku wschodniego. Dwukrotnie odradzała się jako państwo demokratyczne o ustroju parlamentarnym – z sejmem, senatem, urzędem prezydenta oraz systemem wielopartyjnym. Po okresie zaborów jako państwo niepodległe zaczęła rozwijać kontakty międzynarodowe, pretendując do zajmowania znaczącego miejsca w ówczesnej „wspólnocie europejskiej”. Wreszcie, preferując otwartość na wzorce zachodnie, w tym amerykańskie, m.in. w zakresie stylu dziennikarskiego czy propagowanych treści, przekraczała granice lokalności i wchodziła w przestrzenie zjawisk o zasięgu globalnym. Kosmopolitycznie ukierunkowana była kultura masowa, rozpowszechniająca wartości odmienne od obowiązujących w dobie niewoli narodowej. Dobrze oddaje to parodystyczny wierszyk Juliana Tuwima *Na zbytnie a niepowściągliwe dziwkochwalstwo naszego wieku* (Jarmark rymów, 1934 r.):

„Uroczą Bebi Papi/ W yachcie na Missisipi.”/ „Zmysłowa Duda Papa,/ Jej uśmiech, pies i kanapa”./ „Fertyczna Elli Belli/ Pije kawę w kąpieli”. „Żelazna kurtyna”, zaciągnięta po 1945 roku, skutecznie odcięła polską kulturę popularną od takich treści, proponując w zamian obrazy przodowniczek pracy. Kontynuację odnajdujemy w mass mediach rozwijających się od lat dwięćdziesiątych XX wieku.

### Czas dynamicznych przemian

Odkrywając dwudziestolecie jako bliższe językowej dwudziestowieczności, sięgam do różnorodnych źródeł. Wykorzystuję świadectwa osobiste (pamiętniki, wspomnienia), teksty prasowe oraz literackie (powieści obiegu popularnego o współczesnej tematyce), ale także dokumenty prawne i urzędowe. W doborze materiału ilustrującego towarzyszyła mi myśl o krzyżowaniu różnego rodzaju świadectw, które złożyłyby się na spójny obraz wybranych problemów języka w tym czasie.

Intencją, która przyświecała mi podczas pisania książki, było zdjęcie z dwudziestolecia etykiety okresu schyłkowego wobec wygasających tendencji dziewiętnastowiecznych i ukazanie go jako czasu dynamicznych przemian, wynikających ze zmiany

statusu języka polskiego po restytucji państwa oraz dokonujących się wówczas gruntownych przeobrażeń w sferze komunikacji społecznej. Tej intencji podporządkowany był wybór problemów stanowiących tematy kolejnych rozdziałów: 1. Prestiż polszczyzny w dwudziestolecie; 2. O roli prasy i radia, czyli o początkach komunikacji masowej i wymiarach globalizacji w międzywojniu; 3. Ranga języków obcych; 4. Wkład dwudziestolecia w kształtowanie współczesnej nomenklatury; 5. Nazwy żeńskie – między tradycją a nowoczesnością. W ostatnim, podsumowującym rozdziale zbieram wnioski, będące argumentami w dyskusji nad periodyzacją dwudziestowiecznej polszczyzny. Proponuję uznać za graniczny rok 1918 jako zamykający dobę nowopolską, a otwierający nową dziejową epokę – można by ją określić jako „ponowopolską” (nawiązując do tradycyjnego nazewnictwa, utrwalonego w historii języka) lub nazwać „dobą komunikacji masowej”, akcentując w ten sposób przemiany w zakresie komunikacji społecznej. Kolejny przełomowy rok 1989 otwierałby już nową dobę – komunikacji elektronicznej.

*Dr hab. Ewa Woźniak, prof. UŁ, Instytut Filologii Polskiej i Logopedii, Wydział Filologiczny Uniwersytetu Łódzkiego*



*Rys. Sławomir Matal*

# Protokoły przyszłości

Wielofotonowe stany kwantowe można porównać do wykorzystania wielu rdzeni procesora, które znacznie przyspieszają przetwarzanie informacji.

Zwierzęciem symbolem dziejącej się właśnie na naszych oczach rewolucji kwantowej mógłby być manul Erwin. Jest przedstawicielem gatunku, który zamieszkuje stepy, pustynie oraz góry Azji Środkowej. Zimno mu niestraszone, bo grube futro skutecznie chroni przed niskimi temperaturami. Imponuje sprawnością – we wspinaniu się po skałach nie ma sobie równych. Należy do jednej z najstarszych rodzin kotowatych, bo manule pojawiły się przed dwoma milionami lat. Jako nieliczne w tej kociej rodzinie mają okrągłe źrenice. I jak wszystkie mieszkają swoje humory. Zamieszkujący warszawskie zoo Erwin jest pupilem Grupy Badawczej Kwantowych Technologii QCAT działającej na Uniwersytecie Warszawskim.

– Gdy kilka lat temu zaczynałam projekt „First Team” Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, zoo szukało sponsorów dla dzikich kotów. Ponieważ bardzo lubię koty, stwierdziłam: czemu nie? Tak zrodził się pomysł „adopcji” manula – wspomina liderka zespołu, dr hab. Magdalena Stobińska.

Jak każdemu fizykowi koty towarzyszą jej nieustannie. Z tym ze słynnego eksperymentu myślowego noblisty Erwina Schrödingera – jednocześnie żywym i martwym – ma do czynienia niemal bez przerwy. Sama napisała kiedyś artykuły o fotonicznych „kotach” i „kotchach” Schrödingera. A jeszcze na studiach była współautorką popularnonaukowego tekstu o czasoprzestrzeni z kotem na horyzoncie, opisującego zjawiska związane z czarnymi dziurami. Od pewnego czasu z sukcesami zajmuje się również ciekawymi wielofotonowymi stanami kwantowymi wytwarzanymi w sposób naturalny w układach fotonicznych. Dla lepszego zobrazowania porównuje je z wielordzeniowymi procesorami, które znacznie przyspieszają przetwarzanie informacji.

– Można na nich budować np. nowe, o wiele wydajniejsze protokoły przesyłania informacji kwantowej – tłumaczy.

## Splątane kwanty

O ile informatyka konwencjonalna do kodowania informacji wykorzystuje bity o jednej z dwóch wartości – 0 lub 1, o tyle qubity, czyli bity kwantowe, mogą przyjmować jednocześnie oba te stany. Ich wzajemne oddziaływanie sprawia, że przestają być od siebie całkowicie niezależne i wchodzą w stan tak zwanego splątania. Dzięki temu komputery kwantowe mogą osiągać nieporównywalnie większą moc obliczeniową i pozostawić w tyle swoje konwencjonalne odpowiedniki. Teoria informacji kwantowej opisuje, w jaki sposób dane zakodowane w qubitach przechowywać, przetwarzać i przysyłać, a przez to wykorzystywać prawa mechaniki kwantowej w praktyce, np. do prze-

prowadzenia odpornej na podsłuch transmisji danych, uzyskania prawdziwie losowych liczb potrzebnych w informatyce albo zwiększenia precyzji pomiarów ponad ograniczenia wynikające z fizyki klasycznej.

– Dużym wyzwaniem w obszarze technologii kwantowych jest łączenie propozycji teoretycznych, czyli np. jakiegoś protokołu, z możliwościami aparatury dostępnej w laboratoriach. Wiadomo, że sprzęt, w przeciwieństwie do naszej fantazji, jest ograniczony, i sztuką jest połączyć te dwa obszary. Nam się powiedziało – opowiada badaczka.

Chodzi o rozwiązanie problemu dystrybucji kwantowego splątania na bardzo duże odległości w otoczeniu, gdzie występują straty. Zazwyczaj jakiegokolwiek niedoskonałości urządzeń szybko psują kwantowe korelacje, co oznacza ni mniej, ni więcej, że tracą one swój charakter i zachowują się dokładnie tak, jak klasyczne. Naukowcy z UW opracowali protokół kwantowej komunikacji poprzez łącza satelitarne o bardzo dobrej jakości. Nie dość tego, wyposażony został w „umiejętność” samotestowania: sprawdza w czasie rzeczywistym zachowanie reżimu kwantowego. Ambicją zespołu jest implementacja na większą skalę – dwie stacje odległe od siebie o kilkaset kilometrów łączą się za pomocą satelity znajdującego się na orbicie. To osiągnięcie, pozwalające ominąć dotychczasowe problemy spotykane w technologiach opartych na pojedynczych fotonach, nie byłoby możliwe, gdyby nie pójście pod prąd.

– Zawsze uważałam, że trzeba mieć swoją ścieżkę, swój pomysł i nie należy ulegać modom, szczególnie w nauce. Na początku jest może trudno, ale nadchodzi taki moment, w którym rodzą się naprawdę oryginalne koncepcje – dowodzi dr hab. Magdalena Stobińska.

## Wielofotonowy s(z)tos

Obrany przez nią kierunek nie cieszył się dotąd zbyt dużą popularnością. Większość uczonych woli pracować nad technologiami opartymi na pojedynczych fotonach. Jest to spowodowane prostotą i niezawodnością takiego rozwiązania, a także brakiem do niedawna odpowiedniej aparatury do badań nad wielofotonowymi stanami kwantowymi. Kiedy więc w laboratoriach zaczęły pojawiać się nowe detektory zliczające fotony, tzw. TES (Transition-Edge Sensors), opracowane wcześniej przez amerykański National Institute of Standards and Technology na potrzeby astronomii, zapaliło się zielone światło dla fizyków kwantowych. Grupa QCAT opracowała do nowych układów narzędzia matematyczne i numeryczne, nawiązano też współpracę z zagranicznymi zespołami, które nauczyły się

wytwarzać i mierzyć wielofotonowe stany Focka. Zaskoczeniem był fakt, że wbrew obiegowej opinii stany wielofotonowe mogą być wykorzystane także w układach, w których występują duże straty, np. w optycznych łączach satelitarnych. Dotychczas bazą dla nich były pojedyncze fotony – nawet jeśli dochodziło do strat, to nie powodowały one obniżenia jakości zasobu kwantowego. W przypadku stanów wielofotonowych nie udało się tego uzyskać. Badacze z UW wyeliminowali niedoskonałości i zaferowali technologię o tych samych własnościach, ale opartą na stanach wielofotonowych.

– Jeśli pojawiają się straty, to obniżamy tylko efektywność protokołu, a nie jego jakość. A o tę jakość zawsze chodzi. Dodatkowo oczekiwania były tak duże, że nie mogliśmy ograniczyć się do jednego elementu i musieliśmy opracować od podstaw cały wielofotonowy „stos technologiczny”, czyli poszczególne ogniwa tego systemu – podkreśla uczona z UW.

Zainteresowanie fizyką wzbudziła w niej książka Stephena Hawkinga *Krótką historią czasu*. Czarne dziury, czerwone karły, gwiazdy neutronowe – to działało na wyobraźnię. Z naukowego punktu widzenia ten obszar jest tyleż atrakcyjny, co niewdzięczny – o dane doświadczalne, które przecież wyznaczają przełomowe momenty w nauce, niezwykle w nim trudno. Dlatego, gdy trafiła na wykład z optyki kwantowej prof. Krzysztofa Wódkiewicza, okazało się, że równie ciekawa, a może nawet ciekawsza od teorii grawitacji jest teoria mechaniki kwantowej. Jak mówi, to zupełnie inna filozofia myślenia. Jest nieintuicyjna i dlatego wielu trudno ją zrozumieć, wszak zupełnie przeczy naszemu codziennemu doświadczeniu. I na dowód przytacza ulubione porównanie o informacji. W świecie klasycznym jest ona w zasadzie pomijana, niezauważana, a przecież obiektywnie istnieje. Natomiast w świecie kwantowym, gdy chcemy wiedzieć, np. gdzie jest elektron, musimy dokonać pomiarów. Bez pomiaru informacji nie ma, jest dopiero stwarzana. I zaraz po pomiarze znika. Jednym słowem, informacja na temat obiektów kwantowych to wielkość, która „żyje” w bardzo krótkim odcinku czasu. Przyszyczym do tego, że informacje na temat różnych obiektów fizycznych istnieją zawsze, bez względu na to, czy się o nie pytamy, czy nie, może być trudno pojąć ten kwantowy świat, w którym – poprzez pytanie, a później pomiar – informacja dopiero się tworzy.

– Uważam ten aspekt za źródło mocy technologii kwantowej – zaznacza badaczka i dodaje jeszcze jeden jej walor: bezwarunkowe bezpieczeństwo. Podłuchanie informacji zakodowanej w splątanych stanach kwantowych niszczy w nich korelacje kwantowe i jest wykrywane za pomocą testu. Dlatego złamanie systemów kryptografii kwantowej, jeżeli są dobrze zbudowane, jest nieosiągalne.

## Protokół na satelicie

Wszystko to sprawia, że nie tylko w komunikacji, ale też w medycynie i naukach przyrodniczych, metrologii, robotyce i sztucznej inteligencji, technologiach symulacyjnych i cyberbezpieczeństwie, otwierają się całkiem nowe perspektywy. Oczywiście układy elektroniczne nie znikną, ale funkcjonalna przewaga po stronie scalonych układów fotonicznych stanie się niepodważalna. Wyścig o pozycję kwantowych liderów już się rozpoczął, a do udziału w nim bez kompleksów przystąpili również polscy naukowcy. Grupa QCAT skupia wprawdzie teoretyków, ale w kwantach bez ich pracy – obliczeń, idei, hipotez – niewiele da się zrobić. Zespół zajmuje się nie tylko informacją kwantową. Specjalizuje się także w optyce kwantowej, czyli układach będących odpowiednikami rozwiązań znanych z elektroniki w fotonice, jak polaryzatory, falowody, detektory fotonów. Naukowcy integrują je, miniaturyzują, zwiększają kontrolę nad nimi. Ważnym filarem są także narzędzia numeryczne,



w tym m.in. programy do superkomputerów w ACK Cyfronet AGH czy TASK w Gdańsku.

Najmłodszą gałęzią badań, które podejmują członkowie grupy, jest nanooptyka. Liderka zespołu przyznaje, że to jednak nie w ścisłych ramach tematycznych, ale zwykle na przecięciu tych obszarów, rodzi się to, co najciekawsze. Zawsze dziwiła ją daleko idąca specjalizacja i brak komunikacji między naukowcami zajmującymi się na pozór odległymi tematami. Jak wiele korzyści może przynieść łączenie sił, pokazuje fizyka ciała stałego. Dzięki technologii naukowcy byli w stanie badać ciała stałe w coraz mniejszych skalach, aż dotarli do nano. Rozwinięła się inżynieria nanomateriałowa. Co ciekawe, takie układy niby ciała stałe, ale w skali nano, bardzo dobrze są opisywane modelami optyki kwantowej. Naturalne stało się połączenie tych dwóch, funkcjonujących dotąd obok siebie, obszarów. Tak zrodziła się nanooptyka.

– Chcemy kwantowym światłem pobudzać układy ciała stałego w skali nano – wybiega w przyszłość dr hab. M. Stobińska.

Właśnie zaczyna, w roli koordynatorki, prestiżowy grant AppQInfo (Applications and Hardware for Photonic Quantum Information Processing). Będzie kierować pracami konsorcjum złożonego z piętnastu instytucji i firm. To dopiero piąty w historii projekt MCSA-ITN pilotowany przez Polskę. Dotyczy komunikacji kwantowej z użyciem m.in. technologii satelitarnych, kwantowych obliczeń i symulacji oraz wykorzystania zintegrowanych układów fotonicznych.

– Celem jest stworzenie kadr, które będą w stanie przenieść technologie kwantowe z uczelni do przemysłu. Oni muszą rozmawiać z inżynierami, wiedzieć, jak działa rynek, muszą odnaleźć się i w laboratorium, i w rozmowie z teoretykami. Te szkolenia sprzyjają interdyscyplinarnej, nowoczesnej nauce, która polega na tym, że pracuje się w dużych zespołach. To jest nauka przez duże N – zaznacza.

Wobec projektu, na którego realizację KE przeznaczyła ponad 4 mln euro, warszawska badaczka ma jasno sprecyzowane plany: zamierza umieścić opracowany przez QCAT protokół komunikacji kwantowej na satelicie. Taki jest jej plan minimum. Erwin z warszawskiego zoo nie miałby chyba nic przeciwko temu.

# „Nie chcemy masowej produkcji magistrów”

Łódzcy studenci doby „Solidarności” poczuli się ludźmi wolnymi i w konsekwencji zbudowali koncepcję autonomicznej uczelni, wyzwolonej z gorsetu doktrynalnych ograniczeń – tak w sferze badań, jak i dydaktyki.

Postulaty studentów łódzkich uczelni, którzy strajkowali od 21 stycznia do 18 lutego 1981 r., zwykle sprowadzane są do krótkiego zestawu żądań: rejestracji Niezależnego Zrzeszenia Studentów, ustanowienia autonomii programowej uczelni, zniesienia obowiązkowych lektoratów z języka rosyjskiego czy prawa do posiadania paszportu przez każdego obywatela. W rzeczywistości lista ta była dużo dłuższa i obejmowała bardzo różne, nie tylko akademickie, dezyderaty. Ich najpełniejszy wykaz zawierał spis firmowany przez Międzyuczelnianą Komisję Porozumiewawczą, który stał się przedmiotem zmuszonych negocjacji z Komisją Międzyresortową.

Postulaty te zostały usystematyzowane w grupy tematyczne. Łącznie było ich osiem, niektóre z nich poważnie rozbudowane, np. dotyczące zapewnienia pełnej niezależności uczelni w sprawach naukowych, dydaktycznych i wewnątrzorganizacyjnych czy odnoszące się do zagadnień ogólnospołecznych. Każda z nich zasługuje z pewnością na odrębne omówienie. W tym miejscu zwrócimy jednak uwagę tylko na te, które dotyczyły oczekiwanych przez strajkującą młodzież zmian w programach nauczania. Wbrew pozorom studenci nie dążyli do zmniejszenia obciążeń związanych z kształceniem, ale usiłowali unowo-

cześcić i zrationalizować ten proces. Stąd brały się słowa Wojciecha Walczaka, studenta IV roku psychologii na UŁ i jednocześnie przewodniczącego MKP, który 30 stycznia 1981 r. (drugi dzień negocjacji, dziesiąty dzień strajku) powiedział do prof. Janusza Górskiego, ministra nauki i szkolnictwa wyższego: „Teraz usiłujecie państwo wydobyć instrumentalne trudności, a chodzi o to, żeby w końcu zacząć studiować, czyli mieć jakikolwiek wpływ na to, co się przyswaja, a nie biernie poddawać się [...] schematycznemu] wciskaniu do głowy gotowych tematów”.

## Przedmioty społeczno-gospodarcze i rosyjski

W praktyce tego rodzaju dążenia były postulowaniem likwidacji lub znacznego ograniczenia przedmiotów o charakterze indoktrynacyjnym, a w programach poszczególnych uczelni, zwłaszcza chodziło tu o uniwersytety, było ich bardzo dużo. Kwestionowano potrzebę przyswajania wiedzy z podstaw nauk politycznych, ekonomii politycznej socjalizmu czy kapitalizmu. Studenci, dążąc do „pełnego rozwoju studenta i humanizacji studiów”, przedstawili postulat wprowadzenia do programów nauczania obowiązkowego kursu historii filozofii. Wnosili również o rozszerzenie grupy tzw. przedmiotów humanizujących (ekonomia, estetyka, etyka, historia sztuki, metodologia nauk, podstawy politologii, psychologia i socjologia); student byłby zobowiązany do zaliczenia dwóch spośród nich na zasadach określonych przez odpowiednią radę wydziału. W reakcji na te działania minister i jego współpracownicy podjęli starania o zachowanie istniejącego stanu poprzez wyeksponowanie wagi przedmiotów społeczno-gospodarczych. „Uważam, że w obecnych warunkach – przekonywał prof. Górski – każdy człowiek powinien trochę poznać prawidłowości gospodarcze. Jest to pewna absolutna konieczność”. Spotkało się to z rozsądną ripostą Macieja Godyckiego-Ćwirko, studenta filozofii na UŁ, reprezentującego w trakcie negocjacji strajkowych – nazwijmy to – frakcję samorządową, który sprzeciwił się zawężaniu problemów kształtowania studenckiego poglądu na otaczający go świat do bloku zagadnień gospodarczych: „My uważamy, że dla absolwenta uczelni wyższej konieczna jest znajomość problemów związanych ze znacznie szerszym zakresem przedmiotów”.



Fot. Edward Chudzik

Przy tej okazji na cenzurowanym znalazł się także język rosyjski. Nie podważano w tym wypadku przydatności znajomości tego języka, choć takie wątki też się pojawiały (kwestionowano np. przydatność rosyjskiego dla archeologów), ale w pierwszym rządzie chodziło o zlikwidowanie funkcjonującego na uczelniach rozwiązania, które de facto oznaczało przymus nauki tego języka (z dwóch lektoratów do wyboru jeden musiał być kontynuowany, a język rosyjski był nauczany już w szkołach podstawowych i stąd jego uprzywilejowanie). Do tego oczywiście dochodziły skojarzenia z tym, że kiedyś był on narzędziem rusyfikacji, a obecnie, tzn. w dobie PRL, stał się formą indoktrynacji. To stanowisko wyraził Marek Perliński, członek MKP: „Natomiast chciałem podkreślić, że język rosyjski jest w Polsce językiem bezwarunkowo narzuconym i zaczyna się od szkoły podstawowej i nie ma żadnej możliwości ustosunkowania się młodego człowieka w tym kraju do przymusowości jego nauczania”.

### Określony system w określonym duchu

Bardzo wymowne było także zgłoszenie przez studentów postulatu niezwłocznego opracowania nowych podręczników do historii. Strajkujący oczekiwali, że znajdą się w nich treści dotąd pomijane w tego rodzaju opracowaniach lub fałszowane (zwłaszcza chodziło tu o dzieje najnowsze). Studenci negocjatorzy, których w dyskusji wspierała doc. Krystyna Śreniowska z Instytutu Historii UŁ, wskazywali na konkretne problemy świadczące o politycznym czynnikiem rzutującym na kształt podręczników. Swoją postawą zirytowali oni jednak ministra na tyle, że obcesowo odpowiedział młodzieży, iż nie powinna zatłwiać wszystkich spraw za środowiska, „które są do tego powołane”.

Z wcześniej wymienionymi postulatami wiązała się kwestia zapewnienia w szkołach wyższych PRL zasady wieloświatopoglądowości w odniesieniu do sfery badań naukowych, dydaktyki i działalności społecznej (w praktyce chodziło o sferę wychowania). Postawienie tej kwestii 14 lutego jako warunku koniecznego zakończenia strajku (w tle był oczywiście ciągle jeszcze niezatłwiony kardynalny postulat rejestracji NZS) rozpaliło gorącą dyskusję i zdecydowany sprzeciw strony rządowej. Minister i wspierające go osoby z Komisji Międzyresortowej argumentowali, że z przywracanej w tym okresie uczelniom autonomii wynika możliwość stosowania w badaniach różnych metod, które są naukowo sprawdzalne. Pozostałe sfery funkcjonowania szkół wyższych miały jednak być wyłączone spod działania tej zasady, gdyż światopogląd uznano za prywatną sprawę człowieka, w którą nie wolno się wtrącać. Strona rządowa zajmując takie stanowisko, obawiała się w pierwszym rządzie szerszego oddziaływania Kościoła katolickiego na młodzież, które mogło być konsekwencją otwarcia się na pluralizm światopoglądowy. Stąd Jan Steperski (dyrektor departamentu w MNSzWiT) bardzo otwarcie i stanowczo oświadczył Piotrowi Kociołkowi, reprezentantowi PŁ w MKP, że w szkołach wyższych w Polsce obowiązuje „określony system wychowawczy, w określonym duchu, i czy się to komuś podoba, czy nie, tak jest”. W ostateczności wieloświatopoglądowość w odniesieniu do sfery dydaktyki i działalności społecznej uczelni została zaakceptowana i znalazła się w tekście porozumienia podpisanego 18 lutego 1981 r. (pkt. VIII.15.1).

### Poculi się obywatelami

Z powyższego wynika, że horyzont programowy strajkujących studentów w Łodzi w styczniu i lutym 1981 r. był daleko szerszy niż powszechna dziś o nim wiedza. Powstawał on w wyjątkowej atmosferze, którą w Polsce zapewniało utworzenie i funkcjonowanie NSZZ „Solidarność”, i jak wiele wtedy

stworzonych koncepcji cechował go ogromny rozmach. Tamto pokolenie wierzyło, że zastany świat trzeba i należy zmieniać, co potwierdzało jedno z haseł na odręcznie sporządzonym plakacie: „Są sprawy, o które walczyć WARTO [podkreślenie w oryginale – przyp. KL], by życie nie okazało się przegraną kartą”. Młodzież akademicka w Łodzi, popierana przez inne ośrodki akademickie, w pierwszym rządzie chciała przebudować najbliższe jej środowisko, czyli uczelnie i na nowo zdefiniować miejsce w nich studentów. Stąd aspirowanie do takiego skonstruowania programów nauczania, aby zapewniały wysoki poziom kształcenia zawodowego, ale jednocześnie nie prowadziły do zasklepienia się studentów i przyszłych absolwentów w wąskich specjalnościach. Symbolem tych dążeń było hasło wymienione w tytule niniejszego tekstu: „Nie chcemy seryjnej produkcji magistrów”, widniejące na ogrodzeniu budynku Wydziału Filologicznego UŁ. Obiekt, który stał się główną areną negocjacji z Komisją Międzyresortową. Akcentując znaczenie postulatów studentów dotyczących zreformowania szkół wyższych w Polsce, zawsze jednak trzeba pamiętać, że czuli się oni także obywatelami i w związku tym wypowiadali się o szeregu innych zagadnień, niezwykle ważnych dla ówczesnego społeczeństwa – od ograniczenia cenzury, przez zniesienie embarga na dostęp do emigracyjnego dorobku polskiej kultury czy uwolnienie więźniów politycznych, po sprzeciw wobec łamania ustawodawstwa dotyczącego ochrony środowiska.

Można zatem stwierdzić, że łódzcy studenci doby „Solidarności” poculi się ludźmi wolnymi i w konsekwencji zbudowali koncepcję autonomicznej uczelni, wyzwolonej z gorsetu doktrynalnych ograniczeń – tak w sferze badań, jak i dydaktyki. Poza tym uczelnie miały funkcjonować w środowisku, które także powinno być wolne np. od inwigilacji ze strony Służby Bezpieczeństwa czy nacisku marksistowskiej ideologii i ograniczeń cenzuralnych. Warto więc podkreślić, że w wyjątkowym czasie lat 1980–1981 na polskich uczelniach studiowało niezwykle pokolenie, godne nie tylko wspomnienia przy okazji rozmaitych rocznic, lecz także pogłębionego namysłu nad jego dokonaniem.

*Dr hab. Krzysztof Lesiakowski, prof. UŁ, Instytut Historii Uniwersytetu Łódzkiego*



Fot. Zbigniew Józwiak

# W niesprzyjających warunkach

Fenomen Polskiego Wydziału Lekarskiego w Edynburgu jest szczególnie, bowiem pokazuje, że nauczanie tej profesji może się powieść również w warunkach skrajnie niesprzyjających. Tak się w najnowszych dziejach polskiej medycyny zdarzyło kilkakrotnie. Raz w Edynburgu oraz równolegle w Warszawie pod okupacją hitlerowską, gdzie funkcjonowały Wydział Lekarski tajnego Uniwersytetu Ziem Zachodnich i fakultet medyczny Uniwersytetu Warszawskiego.

Obchody stulecia utworzenia Uniwersytetu Poznańskiego w maju 2019 r. zaowocowały szeregiem okolicznościowych publikacji ukazujących dzieje tej zasłużonej uczelni, a także szkół i instytucji z niej się wywodzących. Również Uniwersytet Medyczny w Poznaniu celebrował ten jubileusz, bowiem swymi korzeniami sięga Wydziału Lekarskiego UP, który został uruchomiony w 1920 r. Właśnie podczas obchodów stulecia Uniwersytetu Poznańskiego grono poznańsko-szkockich badaczy postanowiło uczcić osiemdziesięciolecie powstania Polskiego Wydziału Lekarskiego w Edynburgu, którego kreatorami byli w znacznym stopniu przedwojenni poznańscy akademicy. Rezultatem wspólnej pracy jest publikacja pt. *Polski Wydział Lekarski w Edynburgu (1941-1949) – miejsce edukacji poznańskich lekarzy. Historia – tradycja – współczesność*, wydana okazale przez oficynę UMP. Autorzy założyli, iż celem książki ma być z jednej strony przypomnienie (poprzez tekst i obraz) historii Polskiego Wydziału Lekarskiego, z drugiej strony ukazanie rozwoju kontaktów między Uniwersytetem Medycznym w Poznaniu a Uniwersytetem w Edynburgu. Ta żywa dzisiaj współpraca poznańskiego ośrodka akademickiego ze Szkocją opiera się na niezwykłym fenomenie, jakim był przypadek The Polish School of Medicine at the University of Edinburgh.

W wyniku dramatycznych wydarzeń podczas II wojny światowej wielu profesorów, wykładowców i studentów Uniwersytetu Poznańskiego zginęło, inni zaś podjęli działania na rzecz kontynuacji kształcenia na poziomie wyższym. Taką instytucją pod okupacją niemiecką był tajny Wydział Lekarski Uniwersytetu Ziem Zachodnich w Warszawie, zaś na wychodźstwie – Polski Wydział Lekarski przy Uniwersytecie w Edynburgu. Jego twórcą i pierwszym dziekanem był prof. Antoni Tomasz Jurasz (1882-1961), przed wojną kierownik poznańskiej Kliniki i Katedry Chirurgii, a także prorektor Uniwersytetu Poznańskiego w latach 1927-1929. Mając poparcie władz polskich na uchodźstwie, jak również przychyłność władz brytyjskich, prof. Jurasz doprowadził do otwarcia 22 marca 1941 r. Polskiego Wydziału Lekarskiego w Edynburgu, stanowiącego

w istocie autonomiczną uczelnię, opartą na przedwojennej ustawie o szkołach akademickich z 15 marca 1933 r.

Niewątpliwie powierzenie misji tworzenia PWL prof. Juraszowi nie było przypadkowe. Oprócz tego, że nakreślił koncepcję kształcenia polskich medyków w Szkocji, posiadał duże doświadczenie na polu kierowania jednostkami edukacji medycznej, był bowiem już dziekanem Wydziału Lekarskiego UP w latach 1925-1927. Ponadto, jako pół-Brytyjczyk (jego matka Karolina, z domu Gaspey, była Angielką), a także asystent w latach 1908-1910 w jednym ze szpitali londyńskich, jak mało kto z Polaków znał specyfikę funkcjonowania służby zdrowia w Wielkiej Brytanii.

## Wybitni absolwenci

Publikacja podzielona jest na dwie części. W pierwszej, bogato ilustrowanej zdjęciami z epoki, zarysowano genezę i rozwój Polskiego Wydziału Lekarskiego w latach 1941-1949, a także ukazano rolę wykładowców oraz losy studentów wywodzących się z Uniwersytetu Poznańskiego. W opracowaniu wykorzystano relacje wykładowców PWL, w szczególności Antoniego T. Jurasza, Jakuba Rostowskiego i Wiktora Tomaszewskiego, a także uwzględniono ustalenia dotychczasowej historiografii. Z kolei druga część publikacji jest próbą opisanego rozwoju kontaktów, od lat pięćdziesiątych do współczesności, między Akademią Medyczną i Uniwersytetem Medycznym w Poznaniu a Uniwersytetem w Edynburgu.

Książkę cechuje wyeksponowanie osobowości wykładowców i studentów PWL związanych z Uniwersytetem Poznańskim. Warto przypomnieć, że na Polskim Wydziale Lekarskim przez osiem lat, do 1949 r., podjęło studia 337 studentów, w przeważającej większości kontynuujących edukację rozpoczętą w Polsce przed wybuchem wojny. Wprawdzie gros słuchaczy stanowili studenci w mundurach, niemniej w przededniu zakończenia wojny prawie jedna trzecia nie była żołnierzami. Inną cechą PWL była duża liczba kobiet, tak wśród słuchaczy wojskowych, jak i cywilnych. Na przykład w roku akademickim 1944/1945 wśród grona 167 studentów wojskowych było także 20 kobiet.

Jeszcze więcej studentek znalazło się w gronie słuchaczy cywilnych (63 panie), zaś w sumie płeć piękna stanowiła prawie 26% ogółu studiujących na PWL.

W ciągu ośmiu lat istnienia wydziału dyplom lekarza zdobyło 227 osób, zaś 19 medyków uzyskało stopień doktora medycyny. Niestety nie spełniło się marzenie słuchaczy Polskiego Wydziału Lekarskiego o powrocie do Polski, bowiem ponad 90% z nich nie zdecydowało się na powrót do kraju, głównie ze względów politycznych. Po zakończeniu wojny, mimo początkowych trudności, większość absolwentów PWL znalazła pracę w Wielkiej Brytanii, a także w USA, Kanadzie, Australii, a nawet w Nowej Zelandii. Niektórzy osiągnęli wysoką pozycję akademicką, jak np. dr Łukasz Kulczycki, absolwent z 1944 r., po latach profesor Georgetown University, pionier badań w zakresie mukowiscydozy. Także nieliczni absolwenci, którzy wrócili do kraju, odnieśli sukces zawodowy i naukowy, jak prof. Antoni Kępiński, absolwent PWL z 1946 r., prekursor psychoterapii indywidualnej i grupowej w Polsce.

### Kadra z pięciu przedwojennych ośrodków

Niewątpliwie wysoki poziom edukacyjny zawdzięczał PWL kadrze wykładowców, którzy w większości dotarli do Edynburga, pokonując trasę przez Węgry, Rumunię oraz Francję. Jej tron stanowiło, obok profesorów Uniwersytetu Edynburskiego, 37 profesorów, adiunktów i asystentów wywodzących się z pięciu przedwojennych ośrodków akademickich: Warszawy, Krakowa, Lwowa, Wilna oraz Poznania. Z Uniwersytetu Poznańskiego rekrutowało się prawie 28% nauczycieli akademickich. Obok wspomnianego prof. Jurasza, w gronie „poznańskich” nauczycieli akademickich PWL wyróżniali się: prof. Adam Straszyński, dermatolog, prof. Leon Łakner, stomatolog czy dr Jarosław Iwaskiewicz, otolaryngolog, po wojnie twórca i długoletni kierownik Katedry i Kliniki Chorób Uszu, Nosa, Gardła i Krtani Akademii Medycznej w Gdańsku.

Szczególnie zasłużoną postacią dla PWL w Edynburgu był doc. Wiktor Tomaszewski (1907-1995), poznański internista, który wracając w sierpniu 1939 r. z USA do Polski okrętem „Piłsudski”, ostatecznie wysiadł na brzeg w Szkocji. Po wojnie, mimo propozycji objęcia stanowisk akademickich, nie wrócił do kraju i pozostał w Wielkiej Brytanii, będąc tam wieloletnim depozytariuszem i propagato-

rem wiedzy o Polskim Wydziale Lekarskim. Dzięki jego działalności w Edynburgu powołano do życia program stypendialny, z którego skorzystało wielu studentów i pracowników wydziałów lekarskich w kraju. Utrzymywał także bliskie relacje ze środowiskiem medycznym w Poznaniu, ofiarowując mu w 1985 r., z okazji przyznania doktoratu honorowego Akademii Medycznej, wspomniały album zdjęć, dokumentujących działalność Polskiego Wydziału Lekarskiego w Edynburgu.

Sadzę, że właśnie ilustracje są dużym walorem książki. Autorem udało się pozyskać z archiwów, jak i z kolekcji prywat-



Płk prof. Antoni Tomasz Jurasz – organizator i pierwszy dziekan Polskiego Wydziału Lekarskiego przy Uniwersytecie w Edynburgu

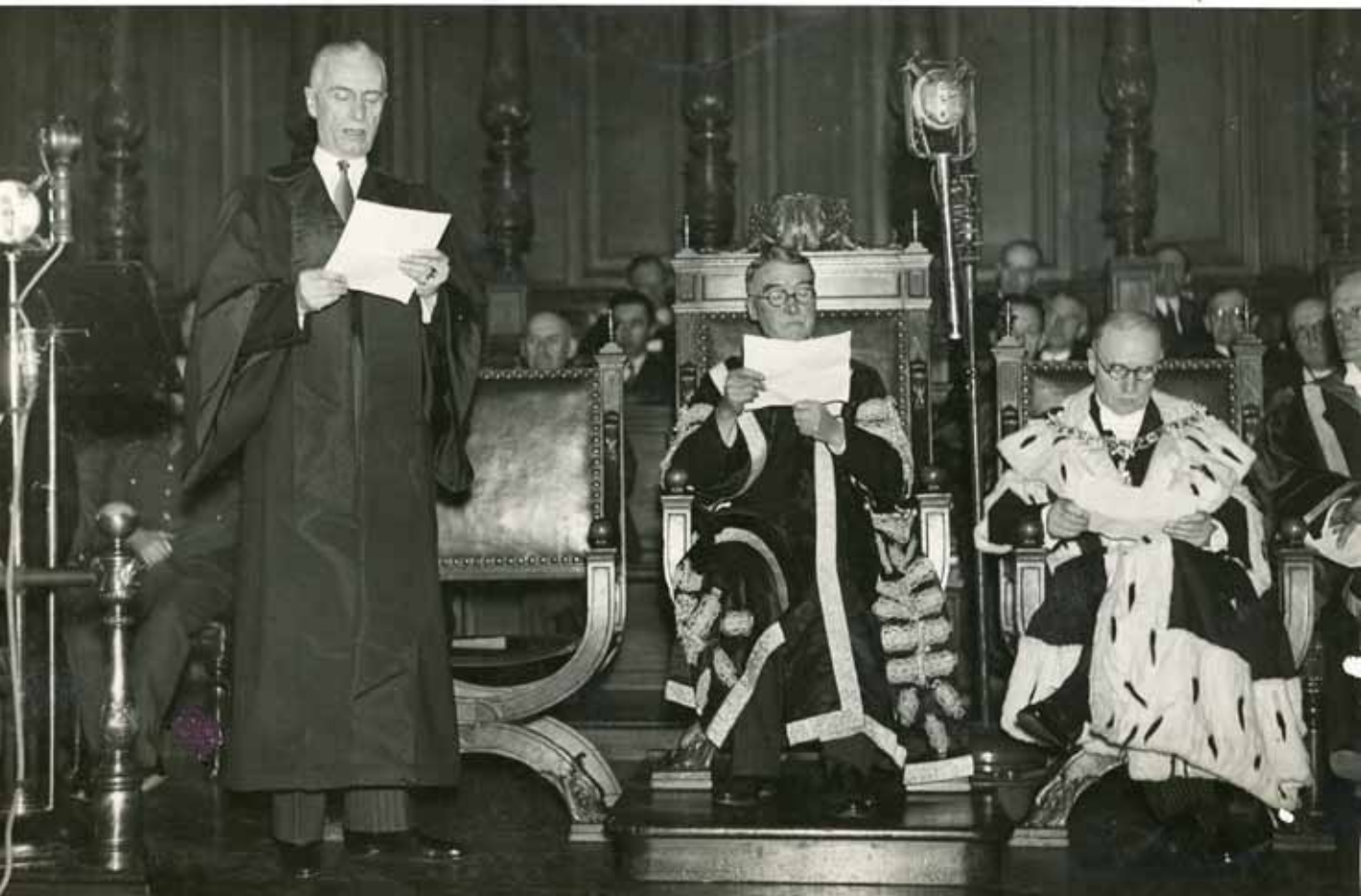
nych, kilkaset oryginalnych fotografii, z których prawie dwieście zamieszczono w publikacji. Szczególnie cenne są zdjęcia prawie wszystkich wykładowców polskich i brytyjskich, a także „pознаńskich” studentów, którzy stanowili prawie jedną czwartą słuchaczy, po studentach wywodzących się z Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego w Warszawie, z Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, wreszcie z Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Najmniej było na PWL słuchaczy, którzy zaczęli edukację medyczną na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. Poza przeważającą grupą studentów wywodzących się z przedwojennych polskich wydziałów lekarskich na PWL kontynuowało edukację również wielu słuchaczy fakultetów medycznych z innych krajów, w tym najwięcej Polaków studiujących we Francji. Sporą wreszcie grupę stanowili w Edynburgu akademicy, którzy zaczęli przed wojną studiować inne kierunki, na przykład weterynarię czy farmację.

### Idea przeniesienia do Polski

Ważną częścią publikacji jest rozdział poświęcony związkom i kontaktom Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu z Uniwersytetem w Edynburgu po II wojnie światowej. Właściwie symbolicznym aktem zamykającym funkcjonowanie Polskiego Wydziału Lekarskiego w Edynburgu było uroczyste odsłonięcie 16 listopada 1949 r. tablicy pamiątkowej na dziedzińcu Medical Buildings, dokonane przez ostatniego dziekana, prof. Jakuba Rostowskiego. Jeszcze trzy lata wcześniej prof. Jurasz próbował przenieść do Polski powiązany z PWL Szpital im. Ignacego Jana Paderewskiego w Edynburgu. Miał on stanowić podstawę do zorganizowania w kraju nowoczesnego instytutu medycz-

nego służącego szkoleniu, zarówno przed- jak i podyplomowemu, polskich lekarzy. W trakcie dwóch podróży odbytych w 1946 r. udało się prof. Juraszowi przenieść z Edynburga do kraju tylko ruchome wyposażenie, które stało się bazą sprzętową nowego szpitala w Oświęcimiu. Kolejne transporty sprzętu medycznego ze Szkocji do Polski uzupełniły wyposażenie Szpitala św. Adalberta w Opolu oraz Szpitala św. Józefa w Poznaniu, jak również zwiększyły arsenał przeciwegruźliczy placówek medycznych w centralnej Polsce.

Generalnie jednak idea przeniesienia Polskiego Wydziału Lekarskiego do kraju, jako załączka nowej akademii medycznej, spaliła na panewce. Przyczyny fiaska tej koncepcji były głównie natury politycznej. Władze komunistyczne wysuwały bowiem oskarżenia pod adresem twórców PWL, w tym także wobec prof. Jurasza, traktując ich jako reprezentantów rządu londyńskiego, wrogo nastawionego do nowego ustroju w Polsce. W istocie dopiero w latach sześćdziesiątych kontakty między środowiskiem akademickim w Poznaniu a środowiskiem absolwentów PWL w Wielkiej Brytanii nabrały kolorytu. Okazją były kolejne jubileusze powstania PWL uroczystie obchodzone w Edynburgu, na które zapraszano absolwentów z całego świata, a także z Polski. Dla środowiska poznańskiego ważną cezurą było sprowadzenie w 1977 r. prochów prof. Jurasza, który zmarł nagle w Nowym Jorku w 1961 r. Pamięć o nim, a także działania środowiska absolwentów PWL, ze wspomnianym doc. Tomaszewskim na czele, doprowadziły do stworzenia funduszu pod nazwą The Polish School of Medicine Memorial Fund, z którego skorzystało wielu utalentowanych studentów i pracowników naukowych z wydziałów lekarskich w Polsce. Także ze strony szkockiej przyjechało



Uroczystość otwarcia Polskiego Wydziału Lekarskiego przy Uniwersytecie w Edynburgu 22 marca 1941 r. Stoi prezydent RP Władysław Raczkiewicz, obok siedzą wicekanclerz Uniwersytetu w Edynburgu Sir Thomas Holland (w środku) i Lord Provost Edynburga Sir Henry Steele

Fot. autor mierzmy, Album fotograficzny PWL, zbiory Muzeum UMP



Studenci Polskiego Wydziału Lekarskiego przy Uniwersytecie w Edynburgu podczas wykładu z biochemii.  
W pierwszym rzędzie, druga od lewej Wanda Piłsudska

do Poznania kilkunastu wykładowców, którzy wygłosili wykłady w ramach cyklu *Professor Antoni T. Jurasz Lectureship*, upamiętniającego postać pierwszego dziekana PWL.

Z perspektywy historii medycyny fenomen Polskiego Wydziału Lekarskiego w Edynburgu jest szczególnie, bowiem pokazuje, że nauczanie tej profesji może się powieść również

w warunkach skrajnie niesprzyjających. Tak się w najnowszych dziejach polskiej medycyny zdarzyło kilkakrotnie. Raz w Edynburgu, w postaci Polskiego Wydziału Lekarskiego, oraz równoległe w Warszawie, pod okupacją hitlerowską, gdzie funkcjonowały zarówno Wydział Lekarski tajnego Uniwersytetu Ziemi Zachodnich, jak i fakultet medyczny Uniwersytetu Warszawskiego.

Na kanwie omawianej publikacji nasuwa się również pytanie o okoliczności, jakie musiały zaistnieć, by takie przedsięwzięcie mogło się powieść. Odpowiedź w znacznym stopniu można uzyskać dzięki analizie genezy i historii PWL w Edynburgu, która pokazuje, że w sytuacji dramatycznej społeczeństwo polskie podejmuje działania, które przynoszą niekiedy zaskakujące, ale kapitalne rezultaty. Nie ulega wątpliwości, że kasus Polskiego Wydziału Lekarskiego w Edynburgu na trwałe wpiął się w dzieje polskiej medycyny, a także w historię Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu.

Błażej MĘCZEKALSKI, Michał MUSIELAK, Ewa SUMELKA, Maria DŁUGOŁĘCKA-GRAHAM, *Polski Wydział Lekarski w Edynburgu (1941-1949) – miejsce edukacji poznańskich lekarzy. Historia – tradycja – współczesność*, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu, Poznań 2020.

Prof. dr hab. Michał Musielak, kierownik Katedry Nauk Społecznych i Humanistycznych Wydziału Nauk o Zdrowiu Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu





Fot. Stefan Ciechan

Piotr Hübner

# Z miłości własnej i nie tylko

Towarzystwa naukowe były podstawową formą samoorganizacji środowiskowej, przeciwstawną biurokratycznemu etatyzmowi, a w polskich realiach – polityce zaborców.

Towarzystwa naukowe rozwijały się w XIX wieku pod znakiem strukturalnych opozycji między masońską z genezy formułą „przyjaciół nauk” a profesjonalnym akademizmem, między wewnętrznym demokratyzmem procedur a arystokratyczną nierównością twórców. Realizowały potrzeby swych członków, co było cechą definicyjną każdego towarzystwa, ale wprowadziły też cel zewnętrzny – wspieranie rozwoju nauki akademickiej. Działały inkluzywnie w formie zebrań naukowych i administracyjnych, ale ich prace wydawnicze i organizowane zjazdy środowiskowe pozostawiały rezultaty widoczne dla władz i publiczności. Promieniowała od towarzystw naukowych kultura organizacyjna i etos najwyższej, w skali narodowej, próby. Towarzystwa naukowe były podstawową formą samoorganizacji środowiskowej, przeciwstawną biurokratycznemu etatyzmowi, a w polskich realiach – polityce zaborców.

Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk (1800-1832) przyczyniło się do powołania szkół wyższych, które złożyły się na powstały w 1816 roku Uniwersytet Królewsko-Warszawski. Cenzus dorobku naukowego bądź „poważnego wynalazku” czy pracy nauczycielskiej sprzyjały takiemu doborowi członków, by towarzystwo pracowało aktywnie. Sprzyjała temu także epoka klasycyzmu i działania łóż masońskich. Odmienne nastroje wywołały represje z czasów Świętego Przymierza, łączące się z nowym rozbiorem i represyjną likwidacją ośrodka akademickiego w Warszawie. Działające od 1816 roku Towarzystwo Naukowe z Uniwersytetem Jagiellońskim Połączone było ulokowane w Wolnym Mieście Krakowie. Ścisły związek z uniwersytetem zapewniał odpowiednie warunki do działań. Dopiero represje po powstaniu narodowym z 1846 roku ujawniły anemię organizacyjną.

Jak wspominał Maciej Józef Brodowicz (*Krótką wiadomość o Rektorach Uniwersytetu Jagiellońskiego w: Ważniejsze dokumenta... 1874*), „składki Profesorów strącał Kasjer Akademicki

zaraz przy wypłacie im pensji, a Członkowie zewnętrzni mieli je oddawać do rąk pedela”. Wszystkie trafiały do Sekretarza Towarzystwa, ale „wielu Towarzyszy zewnętrznych ochłodziło z wolna z pierwotnego zapału, a zatem nietylko że nie uczęszczali i nie rozprawiali na posiedzeniach, ale, kilku wyjąwszy, oraz i składać miesięczne opłaty zaprzestali, tak dalece, iż kiedy w roku 1839 zająłem krzesło Prezesa, Sekretarz ówczesny wykażał nam sumę 10 290 złp na diletantach zaległą!”.

W *Zdaniu sprawy Prezesa Towarzystwa* za rok 1847/1848 (datowanym na 29 II 1848) Brodowicz podkreślał – bez przywołania tych pojęć – demokratyczną równość członków: „przy nazwach osób opuszczam wszelkie tytuły i czcze epiteta, które w korespondencji naukowej istotnego waloru nie mają”. Krytykował beczynność organizacyjną „tych wszystkich honorowych, którzy nas w niczem ani wspomagają, ani protegują”. Do tego „rachuję do umarłych wszystkich czynnych nieczynnych i wszystkich korespondentów, co nigdy nie korespondują”.

## Udowodnione zamiłowanie w naukach

Odmienne formowały się losy Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego, powołanego w 1857 roku. Powstało na „naukowej pustyni”, by umożliwić działania naukowe mimo braku polskiego uniwersytetu. Za główne zadanie uznano początkowo (na wniosek Władysława Niegolewskiego przedstawiony na Walnym Zebraniu 5 VII 1857): „zebranie pomników piśmiennych, odnoszących się do dziejów polskich, a złożonych w archiwach pruskich, i opis statystyczno-historyczny W. Ks. Poznańskiego”, co okazało się niewykonalne. Działano w wydziałach bez określenia ich struktury i nazwy w statucie. Po roku liczba członków wzrosła do 146, z których 28 wpłaciło składkę dożywotnią. Wśród członków było 16 badaczy, 18 naukowców, 68 ziemian, 15 księży, 2 księgarzy. Tylko 16 członków wywodziło się spoza Wielkopolski. Fundusz żelazny gro-

madzono ze składek dożywnych, które przeznaczano na zakup poznańskich listów zastawnych. Pojawiły się też darowizny i zapisy pieniężne. Towarzystwo pozyskało z daru pięć akcji Spółki Bazarowej – było reprezentowane na walnych zebraniach akcjonariuszy przez podskarbiego i pobierało dywidendy (akcje te sprzedano w 1887 roku). Wobec braku wsparcia instytucjonalnego szczególną rolę odgrywali zasobni mecenasi, August hr. Cieszkowski oraz Adam Tytus hr. Działyński. Nadzieje pokładano we wszystkich członkach. Przy wyborze kandydatów na członków towarzystwa potrzebne było „udowodnione zamiłowanie w naukach”. Członków wybierano na zgromadzeniu – „drogą głosowania tajnego, prostą większością głosów”. Składki od członków czynnych były zróżnicowane: jednorazowe (1200 złp) bądź pobierane przez sześć lat po 200 złp, albo corocznie (po 24 złp, czyli po 4 talary). Członkowi honorowi mieli prawa (wyjątkiem były decyzje majątkowe i wyborcze) – bez obowiązków. Dopiero w 1860 roku wybrano pierwszych członków honorowych: aż 43, niemal wszystkich spoza Poznania. Liczbę członków w tym roku podwojono (do 231). Nową kategorię stanowili (od 12 VI 1876) członkowie korespondenci. Jednocześnie zniesiono wymogi wobec kandydatów oraz przeniesiono wybór członków na wydziały, co zatwierdził zarząd. Już po dwóch latach liczba członków wzrosła do 457. Było wśród nich 131 ziemian, 80 lekarzy, 71 księży, 12 dziennikarzy i publicystów, a tylko kilkunastu emerytowanych nauczycieli (nadal władze zakazywały czynnym nauczycielom i urzędnikom akcesu do towarzystwa).

Walne Zebranie Towarzystwa dokonało dalszej instytucjonalizacji (4 V 1880), usuwając statutowo ze składu zarządu osoby, które z tytułu pełnionych funkcji pobierały wynagrodzenie. Oddzielono więc urząd konserwatora od urzędu sekretarza, który miał działać honorowo. Opłacanymi urzędnikami towarzystwa byli – obok konserwatora – pomocnik sekretarza i zarazem archiwista, bibliotekarz oraz „ogólny pomocnik”. Wydawano na pracowników rocznie 5140 marek (w tym na stróża 540). Zadania konserwatora ujęto w formę regulaminu. Do roku 1885 dominowała „**epoka gospodarcza**”, na pewien okres (1882-1885) zawieszono nawet publikacje „Roczników”, drukując jedynie „Sprawozdania”. Na pierwszy plan wysunięto gromadzenie zbiorów muzealnych. Liczebność członków ustabilizowała się: było ich 541 w 1896 roku i 511 w 1906. Konkurencyjne wobec TPN towarzystwo niemieckie Deutsche Gesellschaft für Kunst und Wissenschaft der Provinz Posen powstało dopiero w 1900 roku.

Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk ułatwiało doskonalenie wiedzy profesjonalnej – służyły temu zebrania z referatami, publikowanymi w „Rocznikach”, zwłaszcza przez lekarzy. Redagował ten periodyk TPN Heliodor Święcicki (1888-1903), przewodniczący Wydziału Lekarskiego (1896-1904). Odnowiono w 1887 roku doroczne posiedzenia publiczne. Od lat dziewięćdziesiątych XIX wieku towarzystwo pozyskiwało skromną dotację roczną (200 mk) od władz miasta. W połowie 1904 roku zakończyła się ministerialna i sądowa batalia o uzyskanie przez towarzystwo praw korporacyjnych na mocy nowego kodeksu cywilnego. Po wciągnięciu towarzystwa do rejestru stowarzyszeń zyskało ono osobowość prawną. Tym samym upadła, rozważana od 1897 roku, koncepcja założenia spółki akcyjnej do administrowania nieruchomościami towarzystwa, by zabezpieczyć je przed administracją niemiecką. W 1916 liczba członków doszła do ośmiuset.

Po odzyskaniu niepodległości i założeniu Uniwersytetu Poznańskiego powstały warunki do pełnej akademizacji towarzystwa. Projekt statutu, dołączony do sprawozdania towarzystwa za rok 1919, przewidywał w przepisach przejściowych: „Pierwsze grono członków czynnych tworzą ci z dotychczas-

owych członków rzeczywistych, którzy są członkami czynnymi lub korespondentami Akademii Umiejętności w Krakowie, współpracownikami Komisji tej Akademii albo drukowali swoje prace naukowe w wydawnictwach Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu. Pozostali z dotychczasowych członków rzeczywistych nie tracą swojego tytułu, zyskują prawa i obowiązki członków wspierających”. Opór tej ostatniej grupy miłośników nauki sprawił, że mimo napływających do tworzonego uniwersytetu uczonych, przygotowano bardziej umiarkowaną reformę. Wycofano – wobec odzyskania niepodległości – formułę o języku polskim, pozostawiając jako cel „pielęgnowanie nauki, literatury i sztuki”. Podobnie zmodernizowano zapis o apolityczności: „Towarzystwo wyłącza z zakresu swej działalności sprawy polityczne”. Zmodernizowany zakres działalności obejmował: „1) organizowanie wykładów i dyskusji naukowych; 2) publikacja i popieranie prac i wydawnictw naukowych; 3) gromadzenie i utrzymywanie zbiorów naukowych i artystycznych; 4) organizowanie i utrzymywanie instytutów naukowych”.

### Związek i podstawa materialna

W założonym w 1901 roku we Lwowie Towarzystwie dla Popierania Nauki Polskiej ujawniła się nadmierna zależność od środków finansowych, a pośrednio od zasobnych mecenasów. By zdobyć środki, towarzystwo powoływało delegatów, których zadaniem było „jednanie członków, ewentualnie darów”. Mieli też dbać o „ściągnięcie wkładek” od członków. W pierwszym dziesięcioleciu zgromadzono 120 tys. koron, z czego 50 tys. zł stanowił kapitał zakładowy. W szczególnych warunkach, jakie tworzyła Wielka Wojna, jeden z członków założył towarzystwa, właściciel Kalnikowa Bolesław Orzechowicz, przekazał 500 tys. koron (akt fundacji z 16 II 1914), a 158 575 koron w 1916, co władze skarbowe opodatkowały nakazem płatniczym w wysokości 20 261 koron.

W roku 1915 ukazała się dwutomowa praca *Księga Pamiątkowa ku czci Bolesława Orzechowicza*. Na blisko 80 arkuszach druku prezentowano kilkadziesiąt artykułów uczonych, niepowiązanych systemowo, a nawet rozbieżnych przedmiotowo (potocznie zwanych składanką). Publikacja ukazała się w okolicznościach wojennych. Zaspokajała nie tylko uzasadnione ambicje autorów, ale i miłość własną adresata, który stworzył kolejne formy wsparcia towarzystwa. W akcie fundacji z 25 marca 1916 roku Orzechowicz wyraził życzenie, „ażeby we Lwowie powstało Towarzystwo naukowe, a cała niniejsza fundacja stała się zawiązkiem i podstawą materialną Towarzystwa naukowego we Lwowie, przez stosowne przekształcenie istniejącego obecnie Towarzystwa dla popierania nauki polskiej we Lwowie. W razie takiego przekształcenia, ze względu na genetyczny związek i ciągłość obu instytucji, fundacja ta staje się już przez samą tę zmianę instytucji własnością Towarzystwa naukowego”. Z tą samą datą powołał Orzechowicz kolejną fundację imienia Wandy z hr. Rozwadowskiej Orzechowiczowej. Dla „utrwalenia pamięci swoich Rodziców” powołał jeszcze fundację imienia Jędrzeja i Zofii z Obniskich Orzechowiczów (akt z 15 VII 1916). W 1926 roku Orzechowicz przekazał 24 tys. USD oraz akcje warte 14 tys. zł. Austro-węgierskie Ministerstwo Wyznań i Oświaty zasililo towarzystwo subwencją po 800 koron w 1915 i 1916 roku (w poprzednich latach po 1200 k.). Pojawiły się też datki drobniejsze, nawet po symbolicznej jednej koronie od kilkudziesięciu obywateli. Po odzyskaniu niepodległości przekształcono w 1920 roku towarzystwo w akademickie Towarzystwo Naukowe we Lwowie.

Odzyskanie niepodległego państwa przyniosło szansę na wspieranie społecznego ruchu towarzystw naukowych, tym potrzebniejsze, że zanikł mecenat prywatny.



Fot. Stefan Ciecchan

Piotr Müldner-Nieckowski

# Dialog jednoosobowy

Człowiek po to został wyposażony w język, żeby lepiej myślał, lepiej niż mój pies. Który zresztą taki głupi nie jest, skoro potrafi się droczyć i zawsze wie, jaki typ wyjścia z domu zaplanowałem, kiedy zdejmuję pantofle i wkładam buty. Jeśli nie idę na spacer ani do sklepu po bułki, to leży kamieniem i nawet nie drgnie. Skąd wie? Dialoguje ze mną bez słów? Sądzę, że pies lepiej rozumie, co ja mówię do niego, niż ja, co on do mnie.

Dialog to nie zawsze rozmowa z kimś innym. Pisarze zauważyli to już dość dawno i nieprzypadkowo jednym z częstszych typów narracji prozatorskiej jest opowieść w pierwszej osobie. Autor unika wtedy fałszywego podsufania czytelnikowi, co rzekomo myślą bohaterowie utworu. Niby skąd miałby to wiedzieć? Z własnej głowy i tylko z niej, bo przecież nie z umysłów, do których w naturze nie ma dostępu nikt poza ich nosicielami. Prawie nie spotyka się dziś dobrej wszechwiedzącej prozy, gdyż wszyscy piszący wiedzą, że niemal żaden czytelnik w takie rewelacje nie uwierzy, chyba że tekst mieści się gatunkowo w fantastyce.

Nieporównanie częściej pojawia się autodialog, to znaczy rozmowa autora z samym sobą, czasem zręcznie maskowana takim typem narracji, który odwraca uwagę odbiorcy od śledzenia techniki zapisu w stronę dziania się, psychologii, zachowań, emocji. Podobnie zresztą jest w poezji. Do najlepszej gatunkowo poezji tradycyjnie zalicza się lirykę, czyli właśnie autodialog albo jakiś rodzaj autobiografizmu, analizy samego siebie. Dobremu poecie liryka daje mechanizmy ochronne przed wprowadzaniem banału przez to, że angażuje doświadczenie własne, oryginalne i unikatowe. Dialog jednoosobowy to piękna sprawa. Można doświadczać cudów wyobraźni i jednocześnie natychmiast je weryfikować, czy są prawdziwe, możliwe, naturalne. To zwiększa bezpieczeństwo uniknięcia chwytów grafo-mańskich (pod warunkiem, że ma się te pięć procent talentu).

Wspominam o tym wszystkim, bo wcale dobrze autodialog służy nauce, szczególnie tam, gdzie wchodzi się w nowe obszary nieznanego albo próbuje przełamać utrwalone stereotypy wiedzy i teorii, zwłaszcza te chronione środowiskowo. „Nikt z tobą szczerze nie pogada”. To zdanko ma swoją wymowę, szczególnie kiedy pojawił się w nas, to znaczy w mózgu czy choćby – tak, tak! – we śnie jakiś absurdalny koncept, który po wstępnej analizie już z absurdu zdaje się troszkę odarty i zaczyna pączkować jako odkrycie lub wynalazek. Wtedy trzeba zaprzęgać do roboty ów dialog! Jakże pomocne narzędzie. Nauka nie musi się wyposażać w laboratoria. Nie każda. Były co prawda dekady, wieki nawet, kiedy aprioryzm był przeciwstawiany aposterioryzmowi lub odwrotnie, ale dzisiaj, jak to pięknie wywiodła pro-

fesor Barbara Tuchańska („Filozofia Nauki” nr 19/4, 2011), taka opozycja nie jest do niczego potrzebna. Każda nauka ma swoje ograniczenia i wymagania i każdy przyzna, że inaczej jest zmuszony rozumować fizyk i inaczej literaturoznawca, jeszcze inaczej lekarz i inaczej matematyk, co można ująć w kategoriach właściwości ich nauk. Myślę, że nadeszły już czasy, kiedy nie trzeba się o to spierać, choć doświadczenie z ostatnich dziesięciu lat, zwłaszcza w związku z wątpliwą urodą rewolucją w nauce w Polsce, pokazuje, że niektórzy aprioryści nigdy nie uznają empirii, to jest humanistyki, ba, nawet medycyny czy socjologii za naukę i będą się przy tym upierać aż do śmierci. Będą także szkodzić, wsadzać kij w szprychy, sypać piasek w tryby.

Autodialog jest wspaniały przez to, że potrafi brać pod uwagę to wszystko. Nie jest techniką trudną do nauczenia się. Polega w pierwszym rzędzie na opanowaniu umiejętności rozumienia, czym jest wiedza (por. modelowy wykład prof. Ryszarda Wójcickiego z UŁ, jest w Internecie), następnie na poprawnym korzystaniu z wiedzy encyklopedycznej, aby dokonywać jej wyboru dla danej potrzeby i układania wedle dogodnego wzoru. Pamiętam własne próby z dzieciństwa, kiedy układałem sobie grupy danych po trzy, na przykład: „kocha, nie kocha, jest osobą obojętną”. Kiedy w roku maturalnym dowiedziałem się, że poniekąd tak robił Hegel (teza – antyteza – synteza), poszukałem innego sposobu, ale najlepsze metody autodialogu ściśle naukowego, choćby w definiowaniu (ustalaniu rozpoznania choroby), podsuwali mi nauczyciele na studiach lekarskich. Wybitne metody, bardzo bliskie „aprioryki”, wybitni nauczyciele. Miałem szczęście, że wtedy byli akurat Oni.

Rozmowa z kimś drugim albo z wieloma osobami niestety nie jest już efektywna. Po pierwsze nigdy nie ma pewności co do podstaw zaufania i szczerości, po drugie przez to traci się radość poszukiwania nowości, a po trzecie zdarza się, że powstaje z tego targ konkurencji, czegoś, co dla odkryć i wynalazków, nawet tych mikroskopijnych, jest zabójcze. Jakże często rozmowa we dwoje, troje wytwarza coś w rodzaju żelaznej siatki, która uniemożliwia swobodny przepływ magnetyzmu pomysłowości.

Dzisiaj ludzie nie chcą dyskutować. W żadnej kawiarni nie ma stolika matematycznego Stefana Banacha i kolegów. Jeśli jednak gdzieś się znajduje, to gratuluję, ale to na pewno jakiś wyjątek potwierdzający regułę. Trzeba więc dialogować samemu, prywatnie, tajnie. No i umieć te rozmowy zapisywać; ale to już inne zagadnienie.

e-mail: lpj@lpj.pl

## Fajny film wczoraj widzieliśmy



Jeszcze od czasów liceum prowadzę spotkania dyskusyjnych klubów filmowych – najpierw w szkole, potem w ramach koła naukowego, w duszpasterstwie akademickim, a po studiach na oddziale dziennym szpitala psychiatrycznego (znajomy organizował nawet DKF-y w więzieniu). Organizator takich spotkań staje przed dwoma problemami: jak dobrać film i jak animować dyskusję po projekcji. Jedno wynika zresztą z drugiego: jeśli wybierzemy film, który będzie podsuwał same gotowe odpowiedzi, zamiast zadawać pytania, nie będzie potem o czym rozmawiać. Można rzecz

jasna oczekiwać, że ktoś uderzy pięścią w stół, wstanie i huknie: „A ja się nie zgadzam!”, ale taką sytuację widziałem tylko raz. Najczęściej zgromadzonych trzeba ciągnąć za język, a z reguły część w ogóle nie zostaje po projekcji.

Wykorzystanie filmu w edukacji nie jest pomysłem nowym, ale polska szkoła długo nie potrafiła (a po części do dziś nie potrafi) z tego narzędzia korzystać. Projekcja wielu uczniom kojarzy się z wypełnianiem godzin lekcyjnych na zastępstwach czy ogólnie z pójściem przez pedagogów na łatwiznę. Tymczasem film może być wymagającym tekstem kultury i dostarczać treści pomocnych w wychowaniu. Działając amatorsko i kierując się intuicją, przekonałem się, że nie wystarczą dobre chęci. Publikacja Katarzyny Krasoń jest propozycją narzędzi – i to niestandardową. Z zastosowaniem w edukacji najczęściej kojarzą się filmy prezentujące wyraziste konflikty i postawy moralne, rzadziej tzw. teacher movies, prezentujące dylematy nauczycieli. Autorka omawia trzy z tych ostatnich: francuskiego *Pana od muzyki*, amerykańskie *Słowa-wzruszenie umarłych poetów* i indyjskie *Gwiezdny na ziemi*, ale rdzeń jej propozycji to... *Gwiezdne wojny*. I nie chodzi o wdziewanie się do uczniów poprzez uznanie ich popkulturowych zainteresowań, ale o realne wykorzystanie wzorów mistrz – padawan (uczeń) i kodeksu Rycerzy Jedi w praktyce szkolnej.

Saga George’a Lucasa z uwagi na kosmiczny sztafaż uważana jest często za eskapistyczną. Tymczasem to mistrzowie Jedi – Yoda, Obi-Wan Kenobi czy Qui-Gon Jinn – mogą być wzorcami nauczycieli-mistrzów, którzy umieją być wobec uczniów wymagający, a jednocześnie traktować ich z szacunkiem, prowadzić ich do wiedzy, ale nie manipulować nimi, a przede wszystkim potrafią uczyć się także od swoich uczniów i przyznawać się do błędów. Krasoń wrywa czytelników z klimatu wyższościowego uśmiechu nad Brytyjczykami czy Amerykanami, którzy tak już zgłupieli, że dorosli ludzie uważają się za Rycerzy Jedi. Jeśli taką metodą można skłonić młodych ludzi do określenia się wobec wartości, to może warto spojrzeć na uniwersum Gwiezdnego Wojny jako na coś ważnego?

Jednocześnie autorka nie odsądza od czci i wiary tradycyjnych metod nauczania. Wskazuje na zasadniczy w pedagogice podział na didaskalocentryzm (transfer wiedzy przez nauczyciela) i pajdocentryzm (podążanie nauczyciela za uczniem czy raczej wraz z uczniem) i podkreśla, że ten pierwszy może być w niektórych sytuacjach bardziej wskazany. Jej książka nie jest publikacją metodyczną, nie zawiera zatem gotowych scenariuszy lekcji czy innych materiałów do bezpośredniego wykorzystania. W konfrontacji z praktyką szkolną wizja autorki wyda się zapewne zbyt idealistyczna – o konieczności wprowadzenia relacji mistrz – uczeń na wszystkich poziomach mówi się chyba odkąd pojawiło się masowe szkolnictwo, czyli od co najmniej dwustu lat. Chodzi jednak o to, by wyjść poza machanie ręką na wszystko, co wykracza poza przygotowanie uczniów do matury, a tak kwitowanych jest wiele propozycji unowocześnienia polskiej szkoły czy wprowadzenia metod aktywizujących uczniów. Jeśli szkoły mają opuszczać nie tylko maturzyści, ale też obywatele, to może warto zaprząć do tego także mistrza Yodę? Polska szkoła nudna być nie musi.

Marek Misiak

Katarzyna KRASOŃ, *Padawanika. Przebudzenie mocy w doświadczeniu*  
zapośredniczonym. Studium o filmie, wychowaniu i wsparciu rozwoju,  
Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2020.

## Pamiętanie o Krasińskim



Niedawno zmarły Marcin Król mówił o Zygmuncie Krasińskim, że jako poeta nie dorównywał Mickiewiczowi, Słowackiemu i Norwidowi, ale był spośród nich myślącym najgłębszym, rangi europejskiej. Króla, choć nie był literaturoznawcą i swoje sądy o twórczości autora *Nie-Boskiej komedii* powtarzał za innymi, to jako znakomity historyk idei był kompetentny do wydania opinii o Krasińskim jako jednym z największych myślicieli w dziejach Polski. No cóż, spór o to, czy Krasiński dorównywał innym wieszczom, czy też nie,

pozostanie już chyba na zawsze nierozstrzygnięty. Niech literaturoznawcy toczą boje, bo najgorsze co mogłoby się przydarzyć to zaszufladkowanie jako „wielkiego poety” i odstawienie na półki z książkami, po które nikt nie sięga. A Krasiński żyje! Powstaje na jego temat sporo prac, nawet takie o charakterze paszkwilanckim. Ukoronowaniem tego, co można by nazwać pamiętaniem o Krasińskim, jest 12 woluminów *Dzieł zebranych* pisarza, wydanych przez oficynę UMK w Toruniu w 2017 r. Publikacja obejmuje dzieła wszystkie, z wyjątkiem listów, w nowym krytycznym opracowaniu. Redaktorem naukowym całości jest Mirosław Strzyżewski, natomiast dwa pierwsze tomy, tj. *Wiersze* i *Poematy*, przygotował i opracował Maciej Szargot.

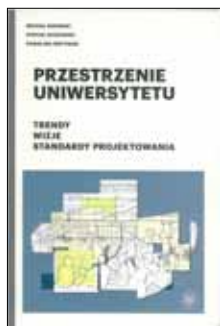
Myślę, że przez długie lata kolejne pokolenia polonistów sięgają będą po książkę prof. Szargota „*Kochany Poeta Ruin...*” *Studia o Krasińskim* i konfrontować ją z wcześniejszymi. Już tylko w ten sposób Maciej Szargot zapewnił sobie trwałą pozycję pośród badaczy Krasińskiego, ale przecież to nie wszystko. To czwarta książka poświęcona autorowi *Przedświtu* w dorobku uczonego. Tym razem zebrał on kilkanaście tekstów dotyczących twórczości Krasińskiego i jej recepcji, aby przedstawić je czytelnikowi w jednym tomie. Część z nich była dotychczas niepublikowana, inne ukazały się co prawda w druku, ale często w trudno dostępnych monografiach pokonferencyjnych i specjalistycznych czasopismach. Jak wiadomo, to Juliusz Słowacki w dedykacji do *Balladyny* nazwał Krasińskiego „kochanym Poetą Ruin”. Maciej Szargot, tłumacząc się z wykorzystania tego zwrotu w tytule swojej książki, mówi, że stanowi ona „wyraz i hołdu, i fascynacji, by nie powiedzieć słowami Słowackiego: miłości czy też przyjaźni z poetą i jego dziełem, trwającej w moim przypadku już prawie 40 lat”.

Praca podzielona została na dwie części. Pierwsza, *Od juveniliów do epitafiów*, przynosi analizę utworów Krasińskiego, począwszy od dziecięcych wierszy (tu przydarzają się małemu Zygmuntovi błędy ortograficzne), poprzez mało znane utwory z ducha gotycyzmu, bajronizmu i hoffmanizmu, aż po epitafia. Krasiński był twórcą nagrobków literackich, tzn. takich, które zaistniały tylko w utworach, ale również nagrobków „właściwych”, które rzeczywiście zostały umieszczone na grobach. Szargot uznaje za przesadę nazywanie Krasińskiego polskim „poetą grobów”, choć jednocześnie przyznaje, że tematyka funeralno-cmentarna nie była obojętna romantykowi z Opinogóry. Druga część poświęcona jest recepcji twórczości Krasińskiego. Badacz wnikliwie przygląda się tej problematyce, uwzględniając przede wszystkim Mickiewicza, Słowackiego i Sienkiewicza. Wydaje się jednak, że równie interesujące mogą być uwagi poczynione w rozdziałach *Liryki czytają „Nie-Boską komedię”* i *Śmieszny Krasiński*. Tutaj przywołane zostają m.in. nazwiska Przybyszewskiego, Lechonia, Przybosa, Iwaszkiewicza, Różewicza, a nawet Hemara i Stachury. Książka jest wynikiem z jednej strony podejścia emocjonalnego, bo autor nie kryje się ze swoim uwielbieniem dla twórczości Krasińskiego, z drugiej konsekwentnie stosowanej i przemyślanej metody badawczej. Ergocentryzm, intertekstualność i szczypta biografistyki owocuje publikacją mówiącą w przystępny sposób o trudnych sprawach.

Tomasz Klusek

Maciej SZARGOT, „*Kochany Poeta Ruin...*” *Studia o Krasińskim*, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2020, seria: Literaturoznawstwo. Sylwetki.

## Budynki mają głos



Narysuj mi swój dom, a dowiem się, kim jesteś. Za pomocą tego prostego testu mogę spróbować sprawdzić, jak wewnętrzna konstrukcja pojedynczej osoby wpływa na kształt zewnętrznego obiektu. Po analizie wszystkich szczegółów powinien bowiem ujawnić się nie tylko jej system wartości, ale także sposób widzenia rzeczywistości oraz sen o przyszłości.

O tym, że świat wielowymiarowych brył nie jest zwykłym monolitem, ograniczonym w istnieniu wyłącznie przez strukturę tworzywa, z którego powstał, wiadomo nie od dziś. Rzeczą znaną

jest także fakt, że zbudowane w określonym czasie budynki opowiadają historię danego miejsca, wiele mówią o ideach i trendach obowiązujących w przekroju pewnej epoki. Poszukiwacze różnych mód i kierunków skupiają często swoją uwagę na pałacach, świątyniach czy kamienicach. Stosunkowo rzadko przywoływane są w tym kontekście przypadki uczelni, a przecież one także, wraz ze swoimi kampusami, tworzą tkankę miasta, wplatając w jej strukturę wartości związane z wiedzą, rozwojem, innowacyjnością czy relacyjnością. Odczuwany brak dobrze wypełni lektura książki *Przestrzenie uniwersytetu*. Ta opracowana z rozmachem pozycja stanowi bowiem idealne poszerzenie wiedzy o meandrach projektowania miejsc związanych z akademickością. Michał Sikorski, Stefan Jackowski i Karolina Matysiak sprawnie kreślą zarys praktycznych rozwiązań opartych na aktualnie obowiązujących trendach, odwołując się do wielu przykładów obejmujących obiekty znajdujące się w różnych częściach naszego globu. Bogato ilustrowana oraz dopracowana pod względem edytorskim pozycja gwarantuje czystą przyjemność odbioru.

W dziewięciu rozdziałach udało się zmieścić szereg użytecznych wskazówek i technicznych nowinek, nie czyniąc przy okazji z powstającej pozycji hermetycznego skryptu, czytelnego wyłącznie dla wąskiego grona wtajemniczonych. Uzupełnienie poszczególnych części o rozmowy z uznanymi polskimi i międzynarodowymi architektami, urbanistami i naukowcami pozwala spojrzeć na pracę koncepcyjną z perspektywy praktyka, który potrafi w taki sposób połączyć niezbędne detale, by ostatecznie powstała spójna i czytelna całość. Jako iż obecne czasy wymagają, by tworzone obiekty uniwersyteckie były innowacyjne, ergonomiczne i przyjazne dla środowiska, a jednocześnie wypełniały funkcje kulturo- i społecznotwórcze, najlepsze uczelnie zabiegają o otwartych na nowości specjalistów, którzy nie boją się tworzyć unikatowych projektów. Współczesne kampusy uniwersyteckie w niczym bowiem mają nie przypominać powstałych dawniej budynków, których rolę wyznaczał praktyczny pragmatyzm. Dziś oczekuje się raczej, że będą to miejsca emanujące pełną znaczeń energią, potrafiące łączyć przestrzeń związaną z wiedzą z nowoczesną formą wyrazu. Przykłady takiego udanego mariażu autorzy zamieścili na licznych i starannie dobranych fotografiach. Wizualizacja wybranych koncepcji pozwala przyjrzeć się z bliska twórcemu warsztatowi pracy, a jednocześnie jest dobrą okazją do nauki i refleksji dotyczącej tego, jak wiele funkcji może pełnić bryła oraz to, co kryje jej wnętrze.

Autorzy, pilnie śledząc trendy, przypominają jednocześnie, że etapem poprzedzającym każdą inwestycję powinno być umiejętne wsluchanie się w potrzeby osób, które z powstającej infrastruktury będą korzystać w przyszłości. Bez skupienia na uwagach zgłaszanych przez użytkowników konkretnej przestrzeni nie będzie bowiem można stworzyć miejsca jednocześnie funkcjonalnego i stymulującego powstanie wspólnoty.

Książka, którą bez przesady nazwać można almanachem współczesnej architektury związanej z akademickością, jest dobrym przykładem popularyzacji wiedzy z zakresu projektowania. Stanowi także inspirację dla wszystkich ciekawych sposobów formowania otaczającej przestrzeni.

Aneta Zawadzka

Michał SIKORSKI, Stefan JACKOWSKI, Karolina MATYSIAK, **Przestrzenie uniwersytetu. Trendy, wizje, standardy projektowania**, Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2020.

## Badanie listów samobójców



Samobójstwo należy do radykalnych działań eskapistycznych, do jakich zdolny jest człowiek. Ucieczka od społeczeństwa, które jawi się desperatowi jako nieprzyjazne, ma specyficzną dramaturgię. Wpisują się w nią pozostawiane przez samobójców listy pożegnalne.

Kwestią szczególnie interesującą, a dla osób osieroconych przez samobójcę fundamentalną, jest próba zrozumienia motywacji samobójców. Po samobójstwie bliskiego człowieka ludzie zadają sobie pytanie: dlaczego to zrobiłeś? Ci, którzy decydują się na śmierć, w powszechnym wyobra-

żeniu doświadczają specyficznych bodźców i podnieć. Jedynym sposobem dla badacza pragnącego je poznać i opisać jest dotarcie do źródeł zawierających się w dokumentach osobistych. Praktyka badawcza pokazuje jednak, że nie wszyscy samobójcy pozostawiają po sobie takie dokumenty. Osoby osierocone przez samobójcę niezbyt chętnie dzielą się nimi. Tym bardziej docenić pracę Halszki Witkowskiej, która podjęła się próby zbadania i opisanego listów samobójców, uznając je za specyficzny gatunek wypowiedzi oraz fakt kulturowy.

Książka składa się z trzech zasadniczych części. Pierwsza zawiera takie zagadnienia jak: definicje samobójstwa, zarys typologii zachowań samobójczych i podstawowych teorii, statystyki zachowań samobójczych w Polsce i na świecie. W tej części autorka odnosi się też do historii badań listu pożegnalnego. W ostatnich podrozdziałach traktuje samobójstwo i list samobójcy jako fakty kulturowe. Wypada zgodzić się z zawartym tu przekonaniem, że „Dla nadawców tych tekstów liczy się sam przekaz, jego siła i symbolika. To społeczeństwo i kultura budują wzorzec listu samobójcy”.

Drugą część książki, *Autentyczne zapisy samobójców*, zawiera szczegółowe informacje o oryginalnych badaniach autorki. Listy pożegnalne, stanowiące bazę badawczą w analizowanej książce, pochodzą z warszawskich prokuratur. Ogółem badaniu poddano 75 listów. Dwie trzecie z nich napisane zostało przez mężczyzn. W tej części pracy znalazły się analizy struktury tekstu oraz list samobójcy jako wypowiedź performatywna. Znajduje się tu także analiza sytuacji granicznych i sytuacji izolacji społecznej samobójcy. Szczególnie cenne jest wyróżnienie dwunastu funkcji tekstu pożegnalnego, w tym listu samobójcy.

Trzecia część monografii analizuje list samobójcy w kulturze. Autorka przedstawia obraz listu pożegnalnego w filmie fabularnym. W szczegółowy sposób analizuje zagadnienie na podstawie trzech filmów: *Skazani na Shawshank*, *Weronika postanawia umrzeć* oraz *Trzy billboardy za Ebbing, Missouri*. Dochodzi przy tym do interesującego wniosku, że list staje się symbolem samobójcy, jego obrazem i kwintesencją. W kolejnym podrozdziale ukazuje samobójcę i list pożegnalny w literaturze. Bardzo oryginalnym zabiegiem jest porównanie listów bohaterów literackich z autentycznymi zapisami samobójców. W sposób bardzo szeroki potraktowała Witkowska problem listów pożegnalnych w Internecie. Pokazała, że pojawiają się powszechnie na forach internetowych, portalach oraz w prywatnych blogach. Te fragmenty książki wpisują się w nową subdyscyplinę suicydologii, czyli cybersuicydologii.

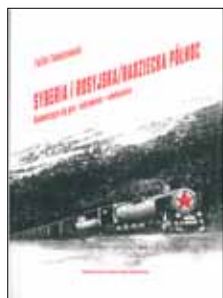
Autorka zauważa, że dla samobójcy pozostawienie po sobie świadectwa w postaci listu jest swoistym wyzwaniem. Większość samobójców nie jest w stanie sprostać temu przede wszystkim dlatego, że nie czuje już więzi ze światem.

W swoich analizach autorka doszła do interesujących wniosków. Pokazują one, że w ramach suicydologii mogą powstawać ważne i interesujące prace naukowe nie tylko pisane z perspektywy psychiatry, psychologa, socjologa, lecz także humanisty. Praca jest dowodem na to, że nie tylko zaawansowana statystyka, zastosowanie testów i skali, lecz także perspektywa humanistyczna korzystająca z analizy jakościowej jest motorem rozwoju wiedzy suicydologicznej.

Adam Czabański

Halszka WITKOWSKA, **Samobójstwo w kulturze dzisiejszej. Listy samobójców jako gatunek wypowiedzi i fakt kulturowy**, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2021.

## Jesteś pyłem łagrowym



O Syberii usłyszeć można różne sady. Często uwpólniają się w tym, że na Syberii odległość pozbawia nadziei, mróz zabija, błotnista, odtałała ziemia pochłania, a bogactwa naturalne oszałamiająca tak, jak ekstremalna pogoda. Komary są tam znacznie groźniejsze od syberyjskiego tygrysa, a małe meszki budzą większą trwogę niż syberyjski niedźwiedź. Ale też niektórzy Syberię widzieli inaczej. Na początku lat sześćdziesiątych XIX wieku Fiodor Dostojewski we wstępie do *Wspomnień z domu umarłych* pisał:

„klimat wspaniały, mnóstwo niepospolicie bogatych i gościnnych kupców, mnóstwo niezmiernie zamożnych tubylców. Panienki kwitną jak róże i są w najwyższym stopniu cnotliwe. Zwierzyna lata po ulicach i sama się nawija myśliwemu. Szampana piją tu niezwykle dużo. Kawior wspaniały. Urodzaj w niektórych okolicach bywa piętnastokrotny... Słowem, ziemia błogosławiona. Trzeba tylko umieć z niej korzystać”. Syberia wydawała się Dostojewskiemu prawie rajem. Dzisiaj pielgrzymki do syberyjskiego rajy przepłatają się z wypadami do syberyjskiego piekła, a pełen zadumy marsz drogą z kości przekształca się w trekkingowy spacer, w końcu wyprawa do miejsc zbrodni przestacza się w wyprawę po zdrowie i kondycję fizyczną. Syberyjskie piekło i raj są tak blisko siebie, że ich granice ulegają zatarcu.

Dodając do takiej rzeczywistości świat ducha, myśli ludzkiej, którą usiłowano tu stłamsić, pozbawić żywotności, otumanić, zabić, a na koniec jeszcze wymazać to, że kiedykolwiek istniała, można już rozpocząć jedyną w swoim rodzaju peregrynację. Feliks Tomaszewski towarzyszy w niej dyskretnie, bo to w końcu nasze spotkanie z Syberią. Autor przygotowuje czytelnika do podróży. Nie chodzi tu bynajmniej o ekwipunek turysty, to przygotowanie mentalne. Zaczyna od spotkania Jezusa z Piłatem z *Mistrza i Małgorzaty* Michaiła Bułhakowa. Mocne zderzenie z Prawdą po to, by za chwilę poznać prawdę Syberii. Widzimy ją oczyma mieszkańców i przybyszów, których wciąż nowe fale napływały w czasach Rosji carów i przemożnej władzy NKWD. Jest to ziemia ludna, zamieszkała przez niezwykle inteligentnych ludzi, dodać trzeba: wrażliwych, bo jeśli nie, to kariera zeka stawała otworem, a tych wciąż było mało.

Szczęśliwa Syberia Dostojewskiego do okruczeń – podpowiada Tomaszewski – to ledwie odbłysek promienia rajskiego. Lepiej uznać ją za mit. Zesłańców wszystkich narodów i czasów łączyła na początku zsyłki złudna nadzieja przechodząca w marną stabilizację prowadzącą wreszcie do marazmu i stagnacji w oczekiwaniu na śmierć. Ostatnie stadium było niebezpieczne, bo powrót do żywego ducha niemal niemożliwy. I co, jeśli wtedy nagle wydarzył się cud zwolnienia z łagru, jak Gorbacowi z *Innego świata*, który na odchodne usłyszał jedynie od „żywego” popa Dimki: „Synok, szczęśliwej żyzni. Nam uże gibel, my uże bywyszje ludi, no ty jeszcze mołodoj, synok, tiebie swoboda połagajetsia”.

Przywołana przez Tomaszewskiego więźniarka E. Ginzburg wspominała w *Stromej ścianie* o jeszcze jednej mało rozpoznanej cesze Syberii łagrów – rabunku płci: „stwory w watowych spodniach, szmacianych czuniach, w nasuniętych głęboko czapkach, o ceglanych twarzach z czarnymi plamami oparzeń, opatulone aż po oczy jakimisź szmatami – są po prostu pozbawione płci. [...] A więc to nas tu czeka. Nas, które straciłyśmy zawód, przynależność partyjną, obywatelstwo i rodzinę, czeka w Elgenie jeszcze utrata płci”.

Ukraiński reżyser i przedsiębiorca Ołeh Sencow, aresztowany i skazany na dwadzieścia lat łagru w 2014 roku, pięcioletni pobyt tak wspomina: „teraz lepiej karmią, jest lepsza odzież niż w 1937 roku czy w latach 40., gdy siedział Sołżenicyn. W barakach jest w miarę ciepło, ludzi nie tak często biją i rzadziej zabijają. Pod tym względem obecnie jest lepiej, jednak stosunek do człowieka jak do zwierzęcia pozostał. Jesteś tam nikim, jesteś po prostu pyłem łagrowym, nie jesteś dla nich człowiekiem”.

Bogdan Bernat

Feliks TOMASZEWSKI, *Syberia i rosyjska/radziecka Północ. Niekończąca się gra: zakrywanie – odsłanianie*, Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, Gdańsk 2020.

## Bajki dla dzieci Polonii



Trudno zrozumieć kulturę danego kraju bez znajomości jego klasycznych bajek (w tym baśni), legend i opowiadań. Tego typu opowieści pełnią funkcję zarówno wychowawczą, jak i poznawczą, a niekiedy również ludyczną i terapeutyczną. Część bogatego dziedzictwa kultury polskiej, które stanowią wymienione utwory, jest wykorzystywana w edukacji szkolnej, także poza granicami ojczyzny. Jak zaznaczają autorki *Antologii bajek, baśni, legend i opowiadań z zadaniami*, książka została wydana z myślą głównie o uczniach szkół polonijnych.

Mimo że teksty nie są łatwe w pierwszym odbiorze przede wszystkim ze względu na różnego typu archaizmy, to mają zaznaczyć najmłodszym pokoleniu Polonii z częścią kanonu literatury dla dzieci w Polsce.

Antologię tworzą dwadzieścia dwa utwory przypisane poszczególnym kategoriom tematycznym, które wynikają z programów nauczania języka polskiego jako obcego na poziomach A1–C2: człowiek, rodzina, miejsca, transport, praca, edukacja, jedzenie, zdrowie, środowisko naturalne, państwo i społeczeństwo. Wśród autorów są klasycy znani (m.in. J. Brzechwa, W. Chotomska, M. Konopnicka, J. Porazińska) i dziś już nieco zapomniani (m.in. C. Niewiadomska, M. Rodziewiczówna, L. Siemieński). Utwory lub ich fragmenty zostały opatrzone przypisami wyjaśniającymi niektóre słowa, a także komentarzami metodycznymi, o których będzie mowa za chwilę. Jedynym niedostatkim antologii w zakresie tekstów literackich jest niestety powszechny w publikacjach dla dzieci i młodzieży brak jakichkolwiek informacji o podstawie źródłowej (skąd zaczerpnięto tekst, czy wprowadzono modernizacje, kto opracował przypisy).

Komentarz metodyczny jest niezwykle klarowny, rzeczowy i trafny. Najpierw, po tytule każdego utworu, są podane słowa kluczowe, np. rodzina, jezioro, małżeństwo, drzewo, wąż. Kolejno autorki zamieściły pytania niewynikające z treści dzieła, ale wprowadzające kontekst pomocny do jego zrozumienia. Oto przykład: przed fragmentem *Akademii Pana Kleksa* są pytania: „1) Jaka jest twoja szkoła? Co ją wyróżnia spośród innych? 2) Czy pamiętasz swój pierwszy dzień w szkole? Jak wyglądał? 3) Jak wyglądałby twój wymarzony dzień w szkole?”. Następnie są krótkie polecenia, zwykle polegające na podkreślaniu wybranych wyrazów i przyporządkowywaniu ich do części mowy. Dalej znajduje się tekst utworu lub jego fragment. Zasadnicza część metodyczna następuje po tekście literackim, a tworzą ją przede wszystkim: słowa i wyrażenia do zapamiętania (oczywiście są one wyjaśnione), pytania do tekstu (średnio sześć) oraz zadania inspirowane tekstem. Np. po bajce magicznej *Sadoka Bora* z *Śmiech* autorki zaproponowały polecenia: „1) Wyjaśnij znaczenie przysłowia śmiech to zdrowie. 2) Jak myślisz, dlaczego uśmiechnięci ludzie są bardziej lubiani przez otoczenie niż smutni? 3) Czy lubisz uśmiechniętych ludzi? Uzasadnij swoją odpowiedź”.

Warto jeszcze podkreślić, że treści książki zostały przygotowane zgodnie z założeniami trendu w nauczaniu języka polskiego jako obcego (drugiego), w myśl którego języka należy uczyć przez kulturę, a kultury przez język.

Bogactwo tematyczne i artystyczne wybranych przez autorki tekstów literackich, a także interesujące treści metodyczne (objaśnienia, pytania i ćwiczenia) przemawiają za tym, że publikacja może posłużyć nie tylko dzieciom mieszkającym poza Polską, ale i rodakom w kraju.

Książka została wydana w odpowiednim, „dydaktycznym” formacie A4, ułatwiającym pracę z tekstem (na lekcji i poza lekcją). Otrzymała również staranne opracowanie graficzne, tzn. przejrzysty układ tekstu oraz ilustracje autorstwa Katarzyny Wójcik, dostosowane do wieku dzieci.

Marcin Lutomiński

*Antologia bajek, baśni, legend i opowiadań z zadaniami*, wybór i oprac. Anna DUNIN-DUDKOWSKA, Agnieszka TRZEŚNIEWSKA-NOWAK, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2020, seria: Człowiek – język – kultura – Polska.



Leszek Szaruga

# Zdalne nauczanie

Nauka wspólna – czy będzie to szkoła podstawowa, czy uniwersytet – wymaga żywego kontaktu między ludźmi, którzy w tym procesie uczestniczą. Przynajmniej tak było jeszcze przed rokiem, w zamierzczłych z pewnego punktu widzenia czasach, w których wirus nas jeszcze nie dopadł, choć jego pomruki z odległych Chin można już było całkiem wyraźnie usłyszeć. Zagrożenie, jakie niósł z sobą, traktowano z pewnym niedowierzaniem czy nawet prześmiewczo, zbywając obawy złąkionych radami, by wsadzali sobie lód do majtek bądź, już nieco później, wzmogli konsumpcję jabłek, gdyż – jak wiadomo – jabłko z wieczora i nie trzeba doktora, co skądinąd nie jest radą zupełnie bezrozumną, gdyż jabłka akurat, niezależnie od okoliczności, winny być ważnym składnikiem naszej diety. Chwilę później zaczęliśmy nosić maseczki, unikać wszelkich zgromadzeń, często myć ręce i uczyć się zdalnie, czyli korzystać z internetowych platform komunikacyjnych. W okresie wakacji można było usłyszeć, że wirus w promieniach słońca słabnie, przestaje być groźny i w zasadzie nie trzeba się go bać, lecz niemal natychmiast po tych zapewnieniach liczba zakażonych osób wzrosła, zaś śmiertelność wśród chorych skłaniała do zaostrożenia środków ostrożności.

Wakacje się skończyły i powróciliśmy do pracy, czyli – z niewielkimi wyjątkami – do wysiadania przed ekranami komputerowymi. Akademiki jakby opustoszały, zaś jedyny prawdziwy zysk stanowiły oszczędności dojeżdżających do ośrodków uniwersyteckich studentów, którzy w normalnych warunkach musieliby opłacać najmowane kwatery. Blokada bibliotek dopełniła miary nieszczęść, zwłaszcza w tych przypadkach, w których przeczytanie zaleconego tekstu miało być podstawą wspólnej pracy podczas zajęć. Można było z tego wybrnąć – i niektórym wykładowcom ta sztuka się udawała – wysyłając studentom skany zadawanych lektur, lecz to też tylko wówczas, gdy miały one relatywnie niewielką objętość. Przy okazji warto wspomnieć, że procesy pozwalające korzystać z zasobów bibliotecznych za pomocą internetu wciąż są w Polsce dość odległe od tego stanu rzeczy, jaki panuje w Niemczech czy USA, co pokazuje, jak trudno w poszczególnych dziedzinach wyznaczać priorytety pozwalające w nieprzewidywalnej przyszłości radzić sobie w zaskakujących sytuacjach; tu zresztą nie ma mądrych, jeszcze nie raz będziemy zaskakiwani przez aktywność nawet tak niepozornych istot jak mikroorganizmy.

Jak to bywa w początkach roku akademickiego, w przestrzeni uczelnianej wspólnoty pojawiły się nowe roczniki. I oto

zapewne po raz pierwszy mamy do czynienia z sytuacją, w której studenci pierwszego roku – chyba w większości przypadków, bo zdarzają się wyjątki – wzajemnie się nie znają i pozostają dla siebie ekranowymi ikonkami, które bardziej zna się z nazwiska i głosu, jak to stwierdza jedna ze studentek w rozmowie z „Newsweekiem” i dodaje: „Fizyczna obecność w sali w naturalny sposób wzbudza szacunek do prowadzącego i kolegów. Choć się nudzisz, nie zaczynasz ziewać, głupio z kimś rozmawiać. Na zdalnym łatwiej się «wyłączyć», przestać słuchać bez poczucia winy, odpuścić...”

Cóż, niezależnie od szacunku bądź jego braku bezpośredni kontakt z wykładowcami oraz koleżankami i kolegami – z tymi ostatnimi także poza salą, na wspólnych imprezach – jest ważnym składnikiem procesu edukacyjnego zarówno w szkole, jak na uniwersytecie. Zdalne nauczanie – przynajmniej w obecnych warunkach, przy tych środkach technicznych, jakimi dysponujemy – jest wyrwaniem procesu nauki z należnego mu środowiska naturalnego. Tak się dzieje dziś, ale oczywiście nie ma nikogo, kto zagwarantuje, że w przyszłości wszystko to nie ulegnie niedającym się dziś nawet wyobrazić zmianom. Póki co jednak jesteśmy tu, gdzie nas los w czasie wrzucił i jakoś sobie musimy z powstałą sytuacją radzić, wierząc głęboko, że jest to okres przejściowy, który się niebawem, za sprawą rozwoju farmaceutyki – jak się okazało, zdolnej nieprawdopodobnie wprost przyspieszyć w sytuacji pandemicznego zagrożenia – skończy, ale przecież nie wykluczając wariantu pesymistycznego czy nawet katastroficznego, do którego nas nasza kultura świetnie za sprawą Janowej, spisanej na wyspie Patmos apokalipsy od dwóch tysięcy przygotowuje.

Mam nadzieję, że dół, w jakim się znalazł obecnie proces nauczania, okaże się jedynie epizodem. Interesuje mnie natomiast, czy ten epizod i nasze w nim zachowania są przedmiotem badania profesjonalistów zdolnych na tej podstawie sformułować jakieś zalecenia na przyszłość oraz czy specjaliści od technik informacyjnych i komunikacyjnych potrafią przezwyciężyć te ograniczenia, które sprawiają, że zdalne nauczanie – a być może nie tylko ono, wszak można sobie wyobrazić inne okoliczności życia społecznego, w których ludzie będą od siebie fizycznie izolowani – przestanie być, jak to określają w tytule autorzy reportażu w „Newsweeku”, działalnością „na pół gwizdka” sprowadzającą się tak naprawdę do czysto formalnych procedur, w których emocje żywych przecież uczestników ulegają niemal całkowitemu wygaszeniu.



Wydawnictwo  
FRSE

Fundacja Rozwoju Systemu Edukacji – Narodowa Agencja Programu Erasmus+, od niemal 30 lat wspierająca rozwój badaczy i naukowców,

**ogłasza**

# KONKURS na najlepsze monografie

**poświęcone edukacji**

Zwycięskie prace ukazać się w językach polskim i angielskim nakładem Wydawnictwa FRSE, wpisanego na listę wydawnictw punktowanych Ministerstwa Edukacji i Nauki.

PATRONAT

**FORUM**  
AKADEMICKIE

Zapraszamy do współpracy

szczegóły:

[www.frse.org.pl/wydawnictwo](http://www.frse.org.pl/wydawnictwo)



Unia Europejska  
Europejski Fundusz Społeczny





Stowarzyszenie Zbiorowego Zarządzania Prawami Autorskimi  
Twórców Dzieł Naukowych i Technicznych

## SZANOWNI TWÓRCY DZIEŁ NAUKOWYCH I TECHNICZNYCH!

Stowarzyszenie KOPIPOL uprzejmie informuje, że przystąpiło do repartycji środków zainkasowanych w **2019 roku** tytułem opłat o których mowa w art. 20 oraz 20<sup>1</sup> ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych, tj. od producentów i importerów urządzeń reprograficznych (kserokopiarek, skanerów, drukarek, itp.) oraz tzw. punktów ksero. **Środki te stanowią formę rekompensaty strat ponoszonych przez twórców na skutek kopiowania ich prac za pomocą urządzeń reprograficznych w ramach dozwolonego użytku osobistego.** Jednocześnie informujemy, że Stowarzyszenie KOPIPOL kontynuuje repartycję środków zainkasowanych za lata 2008 – 2018.

**Wszystkich uprawnionych Twórców uprzejmie prosimy o zgłaszanie się do Stowarzyszenia w celu podjęcia należnych środków.**

Każdy Autor może sprawdzić swoje uprawnienie do otrzymania należnych wynagrodzeń oraz wygenerować niezbędne dokumenty korzystając z wyszukiwarki uprawnionych autorów znajdującej się pod adresem [wyszukiwarka.kopipol.pl](http://wyszukiwarka.kopipol.pl).

Wyjaśniamy, przy tym, że uprawnionymi do otrzymania wynagrodzenia z systemu repartycji indywidualnej są ci autorzy, którzy publikowali swoje utwory naukowe i techniczne w wydawnictwach, których udział, oszacowany na podstawie badań statystycznych przeprowadzonych przez CEM Instytut Badań Rynku i Opinii Publicznej Sp. z o. o. w Krakowie, wyniósł w danym roku podziałowym 1% lub więcej ogółu publikacji wszystkich wydawców.

W podziale środków zainkasowanych w 2019 roku biorą udział autorzy publikujący w następujących wydawnictwach: *Wydawnictwo C.H. Beck, Wolters Kluwer, Wydawnictwo Naukowe PWN, Wydawnictwo Lekarskie PZWL, Polskie Wydawnictwo Ekonomiczne, Pearson Education Limited, Wydawnictwo Nowa Era, Oficyna Wydawnicza Impuls oraz Gdańskie Wydawnictwo Psychologiczne.*

Wykaz wydawnictw objętych systemem repartycji indywidualnej w latach 2008-2018 dostępny jest na stronie internetowej Stowarzyszenia w zakładce *Strefa Autora*.

Serdecznie prosimy wszystkich uprawnionych Twórców do zapoznania się z zasadami repartycji indywidualnej oraz szczegółowymi informacjami na temat działalności Stowarzyszenia dostępnymi na stronie internetowej [www.kopipol.pl](http://www.kopipol.pl).

Informacje o systemie repartycji indywidualnej udzielane są również telefonicznie pod numerem: (41) 341 54 39 lub drogą e-mailową pod adresem [repartycja@kopipol.pl](mailto:repartycja@kopipol.pl).

Czekamy na Państwa dokumenty.

Skarbnik Stowarzyszenia KOPIPOL

dr Zdobysław Kuleszyński